



ROBYN CARR



***POŻEGNANIE
Z PRZESZŁOŚCIĄ***

W cieniu sekwoi 04

Tytuł oryginału: A Virgin River Christma

PROLOG

Marcie stała koło jasnozielonego garbusa. Słońce ledwie wstało, zapowiadał się szary dzień, chłodny, ponury, ale dla niej wyjątkowy. Wreszcie zrealizuje zamierzenie, z którym nosiła się od dobrych kilku miesięcy. Była gotowa do drogi. Na tylnym siedzeniu czekała niewielka chłodziarka z kanapkami i colą, w bagażniku zgrzewka wody mineralnej, na fotelu pasażera termos z kawą. Spakowała śpiwór, na wypadek gdyby pościel w motelach nie prezentowała się zachęcająco, wrzuciła do torby kilka par dżinsów i wygodne bluzy bawełniane. Pomyślała o ciepłych skarpetach i mocnych, ciężkich butach, jednym słowem o wyposażeniu odpowiednim na wyprawę po górskich miasteczkach północnej Kalifornii. Najchętniej już siadłaby za kierownicą, ale kochane rodzeństwo, młodszy brat Drew i starsza siostra Erin, nie mogli się z nią rozstać.

– Zabrałaś karty telefoniczne, które ci dałam? – upewniała się Erin. – W tych górskich ostępach twoja komórka może tracić zasięg.

– Zabrałam.

– Wystarczy ci pieniędzy?

– Dam sobie radę.

Za niecałe dwa tygodnie Święto Dziękczynienia.

Zdążę wrócić. Gdyby powiedziała cokolwiek innego, znów zaczęłoby się gadanie. – Odnalezienie Iana nie powinno zająć mi zbyt wiele czasu. Wiem już, gdzie go szukać.

Przemyśl to jeszcze, Marcie. – Erin podjęła ostatnią próbę odwiedzenia siostry od podróży. – Znam bardzo dobrych prywatnych detektywów, moja

firma często zatrudnia ludzi z tej branży. Dotrą do Iana i przekażą mu to, co chcesz przekazać.

– Przerabialiśmy to dziesiątki razy – powiedziała Marcie. – Chcę go zobaczyć, porozmawiać z nim.

– Znajdźmy go najpierw, wtedy będziesz mogła... Wy tłumacz jej, Drew – zwróciła się o wsparcie do brata.

Drew odetchnął głęboko.

– Znajdzie go, zobaczy, co się z nim dzieje, porozmawia, da mu karty bejsbolowe i wróci do domu.

– Moglibyśmy...

Marcie położyła dłoń na ramieniu siostry, spojrzała jej w oczy.

– Dość. Muszę to zrobić. I zrobię po swojemu. Nie dyskutujmy już na ten temat. Wiem, myślisz, że jestem głupia, ale nie zmienię decyzji. – Pocałowała Erin w policzek.

– Och, nie jesteś głupia, ale... – Wiotka, piękna, wytworna, spełniona zawodowo, absolutne przeciwieństwo Marcie, matkowała młodszej siostrze, właściwie wychowała ją, i teraz nie mogła zrozumieć, że mała siostrzyczka stała się dorosłą, samodzielną kobietą.

– Nie martw się. Będę uważać na siebie. Niedługo wrócę. – Cmoknęła Drew. – Doktorze, przepisuj jej coś na uspokojenie. – Był to taki żarcik, dobrotliwa kpinka dla rozładowania sytuacji. Owszem, Drew studiował medycynę, ale wiele jeszcze będzie przyływów i odpływów na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu, nim zdobędzie prawo wypisywania recept. Brat zaśmiał się głośno i uściskał Marcie.

– Wracaj szybko, bo ona mnie wykończy.

– Obchodź się z nim łagodnie. – Marcie spojrzała na Erin. – To był mój pomysł, nie jego. Ani się obejrzysz i będę z powrotem.

Zostawiła siostrę i brata na chodniku przed domem i wsiadła do samochodu. Dopiero kiedy wyjechała na autostradę, poczuła łzy w oczach. Wiedziała, że rodzeństwo będzie się martwić, ale nie miała wyboru.

Wkrótce minie rok od śmierci męża Marcie, Bobby'ego. Odszedł tuż przed ostatnim Bożym Narodzeniem, miał dwadzieścia sześć lat. Trzy ostatnie lata życia spędził w szpitalu, potem w domu opieki, przykuty do łóżka, sparaliżowany, całkowicie odcięty od świata, z poważnym urazem mózgu. Służył w marines, brał udział w amerykańskiej interwencji w Iraku, wrócił jako warzywo. Jego sierżantem i najserdeczniejszym przyjacielem był Ian Buchanan. Dla Bobby'ego nie ulegało wątpliwości, że Ian odsłuży w korpusie pełnych dwadzieścia lat, ale odszedł ze służby wkrótce po tym, jak Bobby został ranny.

Odszedł z armii i zniknął bez śladu.

Marcie wiedziała, że Bobby nigdy nie wróci do zdrowia. Liczyła się z najgorszym, oczekiwała, że śmierć będzie wybawieniem, przynajmniej dla niego. Miała nadzieję, że ona sama wyjdzie ze stanu zawieszenia, w którym trwała przez ostatnie lata, zacznie nowy etap w życiu. Miała dopiero dwadzieścia siedem lat i mnóstwo możliwości przed sobą. Mogła się kształcić, podróżować, poznawać nowych ludzi.

Minął rok, a ona trwała ciągle w tym samym punkcie, nie była w stanie zrobić kroku. Wiedziała, że powinna, och, doskonale wiedziała, ale co z tego? Nie potrafiła zerwać się do lotu, do biegu, choćby do człapania w przód. Człapała więc w miejscu. Tak to trwało i trwało, aż wreszcie coś w niej pękło i ruszyła w drogę.

By ruszyć w następną drogę, nową drogę życia, musiała najpierw przebyć tę.

Musiała znaleźć odpowiedzi, ułożyć wszystko w swojej głowie, i pójść dalej.

Nie rozumiała, dlaczego człowiek, którego Bobby kochał jak brata, po prostu zapadł się pod ziemię, nie pisał, nie dzwonił, nie dał żadnego sygnału, co z nim się dzieje. Zerwał kontakty z kolegami z marines, z własnym ojcem. A także z nią, żoną swojego najlepszego przyjaciela.

A pomysł z kartami bejsbolowymi... Erin uważała, że trudno o coś bardziej absurdalnego, ale Marcie znała Bobby'ego od czasów szkolnych i wiedziała, czym był dla niego bejsbol i ukochana kolekcja kart. Bobby znał na pamięć wyniki każdego meczu ligowego, potrafił wyrecytować skład dowolnej drużyny. Okazało się, że Ian też jest fanatykiem bejsbolu, też zbierał karty. Bobby pisał w listach do żony, że po powrocie do Stanów wymienią się dubletami, już ustalili, co za co.

Gdzieś tam, na irackiej pustyni, zagrożeni przez snajperów i bomberów samobójców, dwóch przyjaciół zażarcie dyskutowało o lidze bejsbolu. Czyż to nie czysty surrealizm?

Ostatni list Bobby'ego, pisany na krótko przed tym, jak został ranny, cały był poświęcony Ianowi: że Bobby chciałby być taki jak on, że Ian jest prawdziwym żołnierzem piechoty morskiej, że myśli o nich, potrafi wyprowadzić oddział z najgorszych starć, że nigdy żadnego żołnierza nie zostawiłby samemu sobie pod ogniem nieprzyjaciela. Był zawsze przy swoich chłopcach, prowadził ich do walki i płakał z nimi nad listami z domu. Potrafił ich rozśmieszać, ale potrafił być też twardy i wymagający. W tym samym liście Bobby pisał, że chce zostać zawodowym żołnierzem Marine Corps, jak Ian Buchanan, i prosił żonę o wsparcie. Będzie dumny, jeśli bodaj w połowie dorówna Ianowi. Wszyscy chłopcy uważali swojego sierżanta za

prawdziwego bohatera, człowieka, który jeszcze trochę, a stanie się żywą legendą.

Marcie czytała ten list dziesiątki razy, chociaż w całości poświęcony był Ianowi. On również powinien poznać ten list, powinien wiedzieć, jak Bobby go szanował, a zarazem kochał po bratersku, jak to się zdarza między towarzyszami broni, jakim był dla niego autorytetem, w ogóle jak go widział.

Minął prawie rok od śmierci Bobby'ego, a ona ciągle miała poczucie, że ciężką nad nią niezakończoną, niedomkniętą sprawą, jakby brakowało jakiejś części całości.

Ian uratował życie Bobby'emu. Co prawda nie zdołał ocalić przyjaciela od ciężkich obrażeń, ale wyniósł go żywego spod ognia. Po czym zniknął. Nie mogła tego tak zostawić.

Nie miała zbyt wiele pieniędzy. Od pięciu lat pracowała jako sekretarka. Owszem, mili ludzie, sympatyczne zajęcie, ale pensja raczej jednoosobowa, dla kogoś bez zobowiązań, za to z minimalnymi potrzebami. Miała szczęście, że szef dał jej urlop bezpłatny.

– Posada czeka na ciebie – zapewnił przy tym. – Po prostu wracaj, kiedy już będziesz mogła.

Pojechała najpierw do Niemiec, gdzie Bobby został przetransportowany z Iraku, potem była przy nim cały czas, gdy przewieziono go do Waszyngtonu. Obciążenia finansowe, jakie się z tym wiązały, przekraczały jej możliwości. Bobby służył trzeci rok w marines i zarabiał ledwie tysiąc pięćset dolarów. Marcie wyjęła wszystkie pieniądze z kart kredytowych, pozaciągała pożyczki, chociaż Erin i rodzice Bobby'ego chcieli jej pomóc. Później było jeszcze gorzej, jako że polisa na życie Bobby'ego nie wystarczyła na spłacenie długów, a wdowie odszkodowanie też było niewysokie.

Jakimś cudem, dzięki upartym staraniom Erin, udało się umieścić Bobby'ego w rodzinnym Chico. Większość rodzin inwalidów, nie mając innego wyboru, przenosiła się w pobliże ośrodka, do którego pacjent trafiał zgodnie z ustalonymi procedurami, i nikt się nie przejmował, że będą daleko od domu. Erin udało się jednak wywalczyć miejsce w prywatnym domu opieki. Koszty pobytu refundowano z Programu Zdrowotnego dla Służb Mundurowych. Inni nie mieli takiego szczęścia, system administracji wojskowej, jak każdy system biurokratyczny, był niewydolny, ociążały, przesiąknięty rutyną.

Wszystkie formalności związane i z opieką nad Bobbym, i ze sprawami dotyczącymi wypłaty polisy, odszkodowania i renty, wzięła na siebie Erin. Sama też opłacała wszystkie rachunki domowe, do tego dochodziło jeszcze czesne Drew.

Na wyprawę w nieznane Marcie nie wzięła ani grosza od siostry. Erin i tak już zrobiła dla niej więcej, niż mogła. Byłoby rozsądniej zaczekać do wiosny, odłożyć trochę więcej pieniędzy i dopiero wówczas ruszyć na poszukiwanie Iana Buchanana, jeżdżąc po małych miasteczkach północnej Kalifornii, ale zbliżające się święta

Bożego Narodzenia, a także rocznica śmierci Bobby'ego, wszystko to popychało ją do działania. Chciała jak najszybciej zamknąć sprawę. Oby udało się jej odnowić kontakt z Ianem przed świętami.

Była zdeterminowana, przeświadczona, że go odnajdzie. Duchy przeszłości odejdą, a ona i Ian będą mogli zacząć nowe życie...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Marcie wjechała do kolejnego miasteczka, szóstego już tego dnia. Na środku głównej ulicy zobaczyła choinkę, którą ubierały trzy kobiety. Były drobne, choinka natomiast ogromna, wysoka na dobrych dziesięć metrów, co powodowało pewną niekompatybilność ekipy i obiektu.

Marcie zatrzymała się przy krawężniku i wysiadła z samochodu. Jedna z kobiet, mniej więcej w jej wieku, trzymała w dłoniach pudło z ozdobami. Druga, starsza pani o siwych, kręconych włosach, z wielkimi okularami na nosie, zadzierała głowę i z zapalem wskazywała na czubek drzewka. Marcie nie mogła się nie uśmiechnąć, patrząc na samozwańczą panią generał dowodzącą oddziałem do zadań świątecznych. Trzecia dama, śliczna blondynka, stała na szczycie wysokiej, składanej drabiny. Drzewko usadowiono między niewielkim, piętrowym budyneczkiem a starym kościołem, który zdecydowanie pamiętał lepsze czasy, teraz zaś robił wrażenie zamkniętego na cztery spusty.

Nie minęła chwila, gdy na ganku budyneczku pojawił się mężczyzna. Spojrzał w górę, stanął jak wryty i zaklął szpetnie, po czym stanowczym krokiem podszedł do drabiny.

– Nie ruszaj się. Nie oddychaj – powiedział cichym, rozkazującym głosem i zaczął się wspinać, biorąc po dwa szczeble naraz. Kiedy dotarł do blondynki, objął ją mocno wpół powyżej zaokrąglonego już brzucha, i mruknął: – Schodzimy. Ostrożnie, powoli.

– Odczep się, Jack! – fuknęła jasnowłosa dama.

– Nie awanturuj się, bo cię zniosę – zagroził przyszły ojciec, bo najpewniej był to mąż pięknej pani i troskliwy rodzic in spe. – Już, schodzimy.

– Na litość bos...

– Schodzimy – syknął rodzic in spe.

Blondynka zaczęła schodzić zabezpieczana przez męża. Kiedy stanęli na ziemi, wzięła się pod boki i posłała domowemu tyranowi paskudne spojrzenie.

– Sama decyduję, co mi wolno! – Dla wzmocnienia efektu prychnęła gniewnie.

– Gdzie ty masz rozum, kobieto? Mogłaś spaść!

– To bardzo solidna drabina, wcale bym nie spadła.

– Aha, czyli zamiast rozumu masz jasnowidzenia, tak? Nie będziesz w ciąży skakać po drabinach jak jakaś głupia koza! – Pan mąż też wsparł się pod boki. – Ktoś będzie musiał cię pilnować od rana do wieczora. – Spojrzał wymownie na dwie pozostałe damy.

– Mówiłam, ostrzegałam, że się wściekniesz. – Szatynka bezradnie wzruszyła ramionami.

– Ja się nie wtrącam w rodzinne awantury – oznajmiła z godnością siwa pani i poprawiła wielkie okulary w ciężkich, czarnych oprawkach. – Nie moja broszka.

Marcie zatęskniła za domem. No, zatęskniła wprost okropnie. Wyjechała z Chico zaledwie przed kilkoma tygodniami, a już brak jej było domowych awantur i tych wszystkich kłopotów i problemów, które przynosiło zwyczajne życie. Tęskniła też za swoją pracą i za przyjaciółkami. A także za rozstawianiem po kątach uprawianym przez kochaną siostrzyczkę. No i, rzecz jasna, za lekko porąbanym braciszkiem, który co miesiąc odkrywał nową miłość.

Święto Dziękczynienia minęło, a ona ciągle była w drodze. Bała się zajrzeć do domu, a to w obawie, że Erin drugi raz już jej nie wypuści. Wszyscy, siostra, brat, rodzina Bobby'ego uważali, że jej wyprawa to poronio-

ny pomysł. Dzwoniła prawie codziennie i kłamała, że ma pewny trop, już tylko trochę, a na pewno dotrze do Iana.

Pojawił się jednak jeden zasadniczy problem. Ogromny problem. Mianowicie kończyły się pieniądze. Od pewnego czasu sypiała w samochodzie, oszczędzając na noclegach w motelach, co nie było najlepszym rozwiązaniem, bo robiło się coraz zimniej. Przecież był początek grudnia i lada dzień spadnie pierwszy śnieg albo przyjdzie deszcz, przymrozki, ślizgawica na drogach i mały garbusek sfrunie w przepaść.

Trudno. Garbusek nigdzie nie pofrunie, a ona nie wróci do domu, dopóki nie odnajdzie Iana. Musi wypełnić misję. W najgorszym razie przerwie na jakiś czas poszukiwania, zarobi kilka groszy i znowu ruszy w drogę. Ale za nic nie odpuści.

Choinkowe damy i przyszły rodzic przyglądali się jej ciekawie. Nerwowym ruchem odgarnęła włosy. Nie jakieś tam banalne włosy, tylko rude, kręcone i niesforne, zawsze wiały, gdzie chciały, i nie dawały się uładzić.

– Ja... mogłabym wejść na górę. Nie mam lęku wysokości...

– Nie musisz. – Blondynka w ciąży uśmiechnęła się słodko.

– Ja to zrobię – zadeklarował pan opiekuńczy. – Albo poproszę kogoś, ale ty na pewno nie będziesz łązić po tej cholernej drabinie.

– Jack, zachowuj się, bo pójdziesz do kąta – podkpiwała sobie z mężusia. – Już nazwałeś mnie głupią kozą, teraz ta cholera. Gdzie twoje maniery? Coś ty, dzikus z lasu?

Opiekuńczy zwany Jackiem odchrząknął, po czym spojrzał na Marcie.

– Nie przejmuj się – łagodził sytuację. – Tylko tak sobie gadamy. Możemy ci w czymś pomóc?

– Ja... hm... –Podeszła bliżej, wyjęła zdjęcie z kieszeni kamizelki i podsunęła opiekuńczemu. – Szukam tego człowieka. Straciłam z nim kontakt trzy lata temu, ale wiem, że musi gdzieś tu mieszkać. To pewne, bo ma skrytkę na poczcie w Fortunie.

– Jezu – mruknął Jack.

– Znasz go?

– Nie. – Pokręcił głową, przyglądając się zdjęciu młodego mężczyzny w mundurze korpusu. – Dziwne, bo znam wszystkich marines w promieniu stu kilometrów, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia.

– Może się nie przyznawać, kim był. Pod koniec służby miał podobno jakieś problemy...

Pan opiekuńczy spojrzał na Marcie znacznie przyjaźniej.

– Jack Sheridan – przedstawił się. – Moja żona, Mel. A to Paige. – Wskazał szatynkę. –I Hope McCrea, nasza agencja informacyjna i wywiadowcza w jednej osobie. – Wyciągnął dłoń.

– Marcie Sullivan.

– Dlaczego szukasz tego faceta? – zapytał.

– To długa historia – powiedziała Marcie. – Był przyjacielem mojego nieżyjącego już męża. Teraz musi wyglądać inaczej niż na zdjęciu. Ma bliznę na lewym policzku. Prawdopodobnie nosi brodę. W każdym razie nosił, kiedy widziałam go ostatnio przed kilku laty.

– Brodatych mamy pod dostatkiem. To kraina drwali, a drwale nie zwracają sobie głowy goleniem.

– Nie chodzi tylko o brodę – ciągnęła Marcie. – On ma teraz trzydzieści pięć lat, a zdjęcie było robione, kiedy miał dwadzieścia osiem.

– Mówisz, że to przyjaciel twojego męża? Z korpusu?

– Tak. Razem byli w Iraku. Bardzo chciałabym go odnaleźć. Tak długo się nie odzywał...

Jack uważnie studiował zdjęcie, rozważał coś, w końcu powiedział:

– Chodź do baru. Przegryziesz coś, napijesz się piwa, jeśli masz ochotę. Zresztą zamówisz, co zechcesz. Powiesz mi, co to za facet i dlaczego go szukasz.

– Bar? – Marcie rozejrzała się niepewnie.

– Bar i grill. Jedzenie i napoje. Usiądziemy, porozmawiamy.

Marcie zaburczało w żołądku. Dochodziła czwarta, a ona od rana nie miała nic w ustach. Resztki pieniędzy oszczędzała na paliwo, uznawszy, że benzyna jest niezbędna, natomiast jedzenie niekoniecznie. Kombinowała, że kupi gdzieś bochenek wczorajszego chleba i słoiczek masła orzechowego, a potem zje w samochodzie. A przed nocą znajdzie jakiś bezpieczny parking i prześpi się kilka godzin...

– Szklanka wody wystarczy w zupełności. Jestem cały dzień w drodze, zatrzymuję się w kolejnych miasteczkach, pokazuję zdjęcie, ale głodna nie jestem.

– Wody mamy pod dostatkiem. – Jack z uśmiechem położył dłoń na plecach Marcie, kierując ją w stronę baru, ale nagle zatrzymał się, zmarszczył czoło. – Idź pierwsza, zaraz do ciebie dołączę.

Marcie weszła na ganek i odwróciła się, ciekawa co zatrzymało Jacka. A troskliwy mąż konfiskował właśnie drabinę, uniemożliwiając ciężarnej żonie kolejną wspinaczkę. Złożył groźny dla życia i zdrowia sprzęt, po czym wziął go pod pachę.

– Nie rządź się tak! – zawołała za nim Mel. – Jesteś jak wrzód na dupie. Nie będziesz mi rozkazywał! – Wzniosła oczy ku niebiosom, jakby tan szukała sprawiedliwości.

Jack tylko wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, jakby złoźnica posłała mu całusa.

– Siadaj – zaprosił Marcie i zniknął za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Biedaczka wciągnęła głęboko powietrze i jęknęła cicho. Z kuchni dochodziły wspaniałe zapachy, coś się tam warzyło, coś gorącego, zawiesistego, aromatycznego. Ach, duszona wołowinka, dobrze przyprawiona zupa, świeży chleb, ciasto, gorąca czekolada. Katorga dla żołądka.

Po chwili Jack pojawił się z tacą, na której niósł miseczkę chili con carne, kilka kromek chleba kukurydzianego, masło z miodem i sałatkę. Postawił to wszystko przed Marcie.

– Ojej, to niepotrzebne – mruknęła. – Nie jestem głodna.

Jack nalał dobrze schłodzonego piwa do szklanki, na co Marcie pociekła ślinka. Miała wszystkiego jakieś trzydzieści dolarów, nie mogła tracić tych nędznych resztek na objadanie się chili, bo za co kupi paliwo?

– Zjesz tyle, ile będziesz chciała. Przekonasz się, jak gotuje Proboszcz. To mój kucharz. Pokazałem mu zdjęcie, ale on też nigdy nie widział faceta. Zapytamy jeszcze Mike'a, to miejscowy policjant, dobrze zna okolicę, może coś podpowie. Obaj służyli w Marine Corps.

– Gdzie ja właściwie jestem?

– W Virgin River. Sześćset dwudziestu siedmiu mieszkańców według ostatnich obliczeń.

– Metropolia.

– W porównaniu z okolicznymi osadami bez wątpienia. Spróbuj przynajmniej. – Wskazał brodą miseczkę.

Marcie uniosła łyżkę do ust. Nigdy chyba nie jadła tak doskonałego chili. Rozpływało się w ustach. Przymknęła oczy i westchnęła z zachwytu.

– Z dziczyzny – poinformował Jack. – Ustrzeliliśmy pięknego kozła. Po takim polowaniu mamy wspaniałe chili, potrawki, hamburgery, kiełbasy. Trochę mięsa suszymy. Nikt nie robi takiego mięsa suszonego jak Proboszcz.

Jedzenie rzeczywiście było doskonałe. Marcie, mimo obietnic składanych siostrze i bratu, nie dojadła, nie dbała o siebie, liczyła każdy grosz. Gdyby Erin zobaczyła, jak kochana siostrzyczka schudła, natarłaby jej uszu.

– Opowiedz mi o tym facecie – poprosił Jack.

Marcie bardziej obchodził akurat stan portfela niż Ian. Cholera, klęła w duchu, zapłaci za żarcie i będzie musiała wracać do domu. Od kilku dni nie jadła porządnego ciepłego posiłku. Człowiek musi przecież czasami coś zjeść, żeby nie paść.

Kiedy zaspokoila pierwszy głód, upiła łyk piwa. Niebo w gębie, czysta rozkosz dla podniebienia.

– Nazywa się Ian Buchanan. Pochodzimy z jednego miasta, ale nigdy się nie spotkaliśmy, chociaż Chico to ledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Chłopcy poznali się dopiero w marines, Ian był... jest osiem lat starszy od nas. Z Bobbym chodziłam do szkoły. Pobraliśmy się wcześniej, mieliśmy po dziewiętnaście lat. Zaraz po skończeniu szkoły Bobby zaciągnął się do marines.

– To tak jak ja – powiedział Jack. – Odsłużyłem swoich dwadzieścia lat. Jak się nazywał twój mąż?

– Bobby Sullivan. Robert Wilson Sullivan. Może przypadkiem...?

– Nie przypominam sobie żadnego Roberta Sullivana ani Iana Buchanana. Masz zdjęcie męża?

Marcie wyjęła portfel i pokazała Jackowi kilka zdjęć umieszczonych w plastikowych kieszonkach: ślubne, w mundurze galowym, polowym... I

ostatnie zdjęcie, już ze szpitala: zmieniona nie do poznania, straszliwie wychudzona twarz, nieprzytomne spojrzenie...

Jack podniósł wzrok.

– Wysłali ich do Iraku na samym początku konfliktu. – Marcie odłożyła łyżkę. – Miał dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia trzy, kiedy został ranny. Uraz rdzenia kręgowego i uraz mózgu. Żył jeszcze trzy lata.

– Rany boskie, dzieciaku – szepnął Jack. – Musiało być ci piekielnie ciężko.

Owszem, miała za sobą naprawdę trudne chwile, momenty rozpacz, załamania. Zdarzało się, że przeklinała swój los, kiedy indziej tuliła Bobby'ego w ramionach i wspominała, jacy byli szczęśliwi.

– Czasami było – odpowiedziała powoli. – Ale przetrwałam. Miałam wsparcie rodziny, nie byłam sama. Bobby chyba nie cierpiał.

– Kiedy umarł?

– Niedługo będzie rocznica. Zmarł tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Odszedł spokojnie. Bardzo spokojnie.

– Moje kondolencje.

– Dziękuję, Ian był sierżantem Bobby'ego. Bobby go uwielbiał, ciągle pisał o nim w swoich listach, uważał, że trudno o lepszego żołnierza piechoty morskiej. Szybko się zaprzyjaźnili. Bobby cieszył się, że obaj pochodzą z tego samego miasta i będą mogli się spotykać już w cywilu, jak często będą chcieli.

– Mnie też wysłali do Iraku zaraz po wybuchu konfliktu. Musieliśmy być tam w tym samym czasie. Ja trafiłem do Al-Falludży.

– To tam Bobby został ranny.

Jack pokręcił głową, oddał portfel Marcie.

– Strasznie mi przykro. I dlatego chcesz odnaleźć Buchanana? Żeby powiedzieć mu, jak bardzo Bobby go lubił, cenił?

– On powinien wiedzieć. Wysłałam do niego kilka, może kilkanaście listów na skrytkę w Fortunie. Musiał je odebrać, bo nie wróciły do mnie. – Zadumała się na moment, wreszcie pokiwała głową i mówiła dalej: – Nie wiem, co się z nim dzieje. Kiedy Bobby był hospitalizowany w Niemczech, potem w Waszyngtonie, miałam z nim jeszcze kontakt. Dopytywał się o stan Bobby'ego, chciał wiedzieć, jak ja sobie radzę. Czekałam na jego listy, poznawałam go coraz lepiej, rozumiałam, dlaczego był tak bliski Bobby'emu. Zaczynałam traktować go jak przyjaciela. W sumie to dziwne, bo nasze kontakty były jakies takie... enigmatyczne. Chociaż ja wiem? – Znów milczała przez chwilę. – Pisał prawie wyłącznie o Bobbym, ale miałam wrażenie, że między wierszami czytam o nim. Dowiadywałam się, jakim jest człowiekiem.

– Listy to dla każdego żołnierza bardzo ważna forma kontaktu – powiedział Jack cicho.

– Nie wiem, na ile moje listy były ważne dla niego, wiem natomiast, jak wiele znaczyły dla mnie jego listy. Wrócił z Iraku kilka miesięcy po przewiezieniu Bobby'ego do kraju, odwiedził go raz i wkrótce potem odszedł z piechoty morskiej. Miał jakies problemy w korpusie. Wszyscy byli przekonani, że odsłuży pełnych dwadzieścia lat, tymczasem poddał się, wycofał po pierwszym nieszczęściu. – Zaśmiała się niewesoło. – Nigdy już się nie odezwał, nie napisał. Zerwał ze swoją dziewczyną, przestał kontaktować się z ojcem, zniknął. Mniej więcej rok później dowiedziałam się, że żyje w lesie jak pustelnik.

– Jakim sposobem się dowiedziałas?

– W Chico jest dom opieki dziennej dla weteranów wojennych. Bywałam tam czasami. Poznałam kilku marines, którzy szukali kontaktu z Ianem. Okazało się, że pojawił się tam kiedyś, jeden jedyny raz. Mówił, że mieszka w lesie, nie ma adresu, korespondencję odbiera na poczcie w

Fortunie. Do ośrodka przyjechał, bo ranił się siekierą w czasie rąbania drewna. Założono mu szwy, dostał antybiotyk. Był więc w mieście, ale nie odezwał się, nie zadzwonił do mnie, nie odwiedził nawet ojca. Zachował się zupełnie nie jak człowiek, którego w swoich listach malował mi Bobby. Nie znam tego Iana, muszę go poznać. – Zjadła trochę chili, posmarowała kromkę chleba masłem i pochłonęła ją w mgnieniu oka. „Nie jestem głodna”... Hm, wolne żarty. Jack nie odzywał się, nie poganiał jej, czuła jednak, że chłonie każde jej słowo. Należał do tych, którzy potrafią słuchać, gdy ktoś chce być wysłuchany. Rzadka i cenna zaleta. Wiedziała też, że zaraz będzie miał do niej sporo szczegółowych pytań. Odpowie na nie, rzecz jasna.

– Zaczęłam wysyłać listy do Fortuny, ale Ian uparcie milczał. Zresztą pisałam chyba bardziej dla siebie niż z myślą o nim. Prosiłam, żeby dał znak, zadzwonił do mnie na mój rachunek, lecz nigdy się nie odezwał.

– I teraz próbujesz go odszukać?

– Muszę to zrobić. Muszę się dowiedzieć, jak żyje, jak sobie radzi. Wiele o tym myślałam. Myślę, że wrócił z Iraku mocno poraniony. Zupełnie inaczej niż Bobby, ale to tak samo straszne rany... Ciężki uraz psychiczny, jak sądzę. Jeśli rzeczywiście tak było, Korpus powinien był mu pomóc...

– Masz rację, jeśli potrzebował pomocy, powinni mu pomóc, ale nie obwiniaj Korpusu. To skomplikowane. Szkoli się chłopców, żeby byli twardzi, nieulekli. Jak ktoś taki ma potem prosić o pomoc, mówić, że przeszedł załamanie?

– Tak czy inaczej...

– Może po prostu wybrał sposób życia, który mu odpowiada? Kiedy ja skończyłem służbę w marines, zacząłem rozglądać się za spokojnym miejscem, gdzie mógłbym polować, łowić ryby– i tak trafiłem do Virgin River. Też przez pewien czas żyłem jak odludek.

– Zerwałeś kontakt z rodziną? – Marcie uniosła brwi.

– Nie odpowiadałeś na listy?

Jack nigdy nie zerwał kontaktu ani z rodziną, ani z chłopcami ze swojego oddziału.

– No nie. Punkt dla ciebie.

– Odnajdę go. Są sprawy, które należy wyjaśnić, zamknąć. Rozumiesz?

– On może być w kiepskim stanie. – Jack położył dłonie na blacie baru, nachylił się. – Może nawet okazać się niebezpieczny.

– Jego ojciec to stary, schorowany człowiek. Powinni się spotkać, zapomnieć o urazach, pogodzić się. Pan Buchanan to uparty zrzęda, ale jestem pewna, że w głębi duszy tęskni za synem. – Marcie zabrała się do sałatki.

– Rozumiem, ale powtarzam, że facet może być niebezpieczny dla innych.

Marcie zaśmiała się.

– Wątpię. Objeździłam całą okolicę. Byłam na policji, w biurze szeryfa, w barach, sklepach i na stacjach benzynowych. Nikt nie zna Iana Buchanana. Nie jest notowany. Gdyby był niebezpieczny, dałby się ludziom we znaki i zwróciłby na siebie uwagę. Nie, zaszył się gdzieś i gorzknieje coraz bardziej, zamiast zmierzyć się ze swoimi problemami.

– Marines, którzy brali udział w walce, odreagowują to potem na różne sposoby. Być może ten twój Ian chce zapomnieć, przez co przeszedł, a twoja wizyta otworzy niepotrzebnie stare rany.

– No cóż, ty brałeś udział w wojnie, wiesz coś na ten temat...

– Owszem dźwigałem na plecach niezły bagaż, poznałem na własnej skórze, co to znaczy zespół stresu pourazowego, ale na szczęście miałem wsparcie.

– On ma dopiero trzydzieści pięć lat. Może jeszcze stanąć na nogi, zacząć wszystko na nowo, wrócić między ludzi. Ojciec sarka i złorzeczy na syna, ale przecież go kocha. – Marcie upiła łyk piwa. – Założę się, że go kocha.

– Dlaczego w takim razie sam nie szuka Iana?

– Nikt go nie szuka. Narzeczonego go znienawidziła, bo ją rzucił, ojciec ma siedemdziesiąt jeden lat i jest chory. Zaciął się, nie chce wybaczyć synowi. Ze mną jest inaczej, ja po prostu muszę spotkać się z człowiekiem, który był najlepszym przyjacielem Bobby'ego. Wymienialiśmy listy zaledwie przez kilka miesięcy, ale mam wrażenie, że dobrze go znam i uważam, że jest wspaniały, ciepły, wrażliwy. Czuję się, jakbym straciła przyjaciela... – Uśmiechnęła się. – Jak coś postanowię, muszę dopiąć celu. Jestem zdeterminowana.

– Dlaczego?

– Muszę się dowiedzieć, dlaczego ktoś, kogo mój mąż kochał całym sercem i kogo szczerze podziwiał, zniknął nagle bez słowa. Dlaczego odwrócił się od nas. Inaczej nie odzyskam spokoju. Zaszyć się w lesie, z nikim się nie kontaktować, to chore. Muszę z nim porozmawiać. Nie odpuszczę.

Jack uśmiechnął się mimo woli. Ta dziewczyna z pewnością wie, czego chce.

– Deser? – zagadnął, widząc, że kończy sałatkę. – Mamy tort czekoladowy.

– Nie, dziękuję. Jedzenie było doskonałe, ale już dość. – Marcie dokończyła piwo i otworzyła portfel. – Ile płacę?

– Kpisz sobie? Wybierasz się szukać jednego z moich braci i myślisz, że wezmę od ciebie pieniądze? Cholera, pomógłbym ci, ale sama widzisz, nie

mogę na chwilę zostawić Melindy samej. Przyjmij przynajmniej poczęstunek. Zagląдай do nas. Zawsze coś zjesz, opowiesz, co działałaś, czy już trafiłaś na ślad faceta. Będziemy czekać na ciebie. Jest nas tu kilku starych marines.

– Dlaczego akurat tutaj? Jack wyszczerzył zęby.

– Skarbie, marines są wszędzie. Kiedy otworzyłem bar, chłopcy zaczęli przyjeżdżać na polowania, na ryby. Paru przeniosło się tu na dobre. Trzymamy się razem. Jeden za wszystkich i tak dalej.

Marcie zamknęła portfel, uśmiechnęła się ciepłym, pełnym wdzięczności uśmiechem. Należała do tych ludzi, którzy potrafią przyjmować pomoc bez obiekcji, a to rzadka umiejętność.

– W takim razie zjem kawałek tortu – oznajmiła.

– Kawa?

– Koniecznie – przytaknęła z entuzjazmem. Dobrze schłodzone piwo i aromatyczna kawa to były jej dwie największe słabości.

– Tak dobrej kawy z pewnością jeszcze nie piłaś. – Jack napełnił kubek i podsunął Marcie talerzyk z tortem. – Powiedzmy, że odnajdziesz Iana. I co dalej?

– Był taki dobry dla Bobby'ego. Chcę mu podziękować. Porozmawiać. Poznać go lepiej. Mam coś po Bobby'm, co chciałam mu dać. Wypytam go, dlaczego zniknął. Może będę mogła jakoś mu pomóc, przy okazji pomagając sobie. Czuję, że oboje tego potrzebujemy. Nie wiem, co to jest, Jack. Pragnienie wolności? Potrzeba uwolnienia się od tego, co minęło i już nigdy nie wróci? Chyba tak.

Jack uniósł brwi.

– A jeśli ten twój Buchanan nie będzie chciał rozmawiać?

Marcie zlizwała resztki kremu czekoladowego z widelczyka i uśmiechnęła się promiennie.

– Będę go prześladować tak długo, aż skapituluje. Nie spocznę.

Marcie kończyła właśnie kawę, gdy do baru wszedł postawny mężczyzna o urodzie Latynosa. Minę miał mocno skwaszoną, w dłoni trzymał jakiś katalog, który najwyraźniej był przyczyną niesmaku malującego się na przystojnej twarzy.

– Mel kazała mi szukać podnośnika – oznajmił z wyrzutem. – Co to za pomysł?

– Twój, jeśli się nie mylę – powiedział Jack – więc nic się nie uskarżaj na moją żonę. Nie ubierzesz tej choinki bez podnośnika. Trzeba koniecznie wynająć to cholerne urządzenie, zanim Mel z tym swoim brzuchem zacznie skakać jak cyrkówka z gałęzi na gałąź. Mike, poznaj Marcie. Marcie, to Mike Valenzuela.

– Miło mi. – Marcie wyciągnęła dłoń.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mike uśmiechnął się ciepło. – To był jego pomysł – dodał dla porządku. – On chciał wielką choinkę, a to w tym celu, by zrobić wrażenie na żonie. Mel powiedziała, że drzewko ma być „wysokie”, więc Jack zarządził, że takie ma być. Cały dzień uganiał się po wzgórzach, aż znalazł „wysoki” świerk. Najwyższy, jaki nadawał się do transportu bez cięcia.

Nieco zakłopotany Jack przerwał Mike'owi opowieść o świerku:

– Marcie szuka jednego z żołnierzy piechoty morskiej. Facet po powrocie z Iraku zerwał ze wszystkimi kontakt, przepadł bez śladu. Pokaż mu zdjęcie, Marcie.

– Proszę. – Wyjęła fotografię.

– Nigdy go nie widziałem. – Mike pokręcił głową.

– On teraz może wyglądać zupełnie inaczej...

– Oczy nigdy się nie zmieniają – powiedział Mike. Marcie westchnęła ciężko.

– Gdzie mam go szukać?

– Cóż. – Mike podrapał się po brodzie. – To, że nigdy nie widziałem faceta, nie znaczy jeszcze, że nie mieszka gdzieś w okolicy. Tutaj sporo mamy takich nietowarzyskich. Ktoś jednak mógł zetknąć się z twoim żołnierzem.

– Dokąd powinna jechać?

– Mogę dać ci kilka wskazówek. Przede wszystkim musisz wiedzieć, dokąd nie jechać. Są miejsca, które lepiej omijać z daleka. Mamy tu hodowców marihuany, a ci wręcz obsesyjnie nie lubią gości. Rozumiesz, pilnują swojego terytorium. Budują pułapki, mają broń. – Sięgnął po serwetkę, wyjął długopis. – Tu masz szosę 36...

– W ciągu kilku minut wyrysował mapkę, na której oznaczył kilkanaście samotnych chat na wzgórzach. Jeśli ktoś mógł znać Iana, to najprędzej, zdaniem Mike'a, mieszkający tam ludzie. – Krążę po okolicy, rozglądam się. Kilka chat należy do samotnych starych ludzi. Są dwie czy trzy pary, jedna rodzina z trójką dzieciaków, ale nie słyszałem o żadnym trzydziestopięcioletnim singlu.

– Może nie jest singlem.

– Może... Tyle że nie spotkałem nikogo z takimi oczami.

– Uwierz mu, po prostu mu uwierz – wtrącił się Jack.

– Mike jest doświadczonym gliną. Pracował wiele lat w Los Angeles, zanim osiadł w naszej dziurze, gdzie nie ma tak zwanej przestępczości. Nie licząc oczywiście tych bubków od marihuany.

– Miło tu – ze śmiechem skomentowała Marcie.

– Zero przestępczości i wielka choinka. Takiej wielkiej nigdy chyba jeszcze nie stawialiście?

Jack i Mike wybuchnęli śmiechem.

– Prawie dziesięć metrów – powiedział Jack. — Strasznie się nadęliśmy, że znaleźliśmy takie rosłe drzewko. Niestety zaczęły się schody, kiedy trzeba było przetransportować roślinkę do Virgin. Obwiązaliśmy ją jak baleron, żeby nie połamać gałęzi, i ciągnęliśmy za furgonetką. To jeszcze nic w porównaniu z tym, co przeszliśmy, żeby postawić tego potwora do pionu. Mordowaliśmy się cały dzień.

– Dwa dni – sprostował Mike. – Kiedy wstaliśmy rano, nasz świerczek leżał jak długi na bruku. Cud prawdziwy, że nie obalił się na bar i nie rozwalił dachu.

Marcie parsknęła śmiechem.

– Tak to się kończy, jak ktoś koniecznie chce zaimponować żonie.

– Nie, to nie to. Straciliśmy niedawno przyjaciela w Iraku. Jeden z naszych chłopców, którego wszyscy tu kochamy, zaciągnął się do marines. Pomyśleliśmy, że ta choinka powinna być poświęcona żołnierzom. Taki symbol. Jednak w przyszłym roku pewnie zadowolimy się ociupinę mniejszym symbolem. Wyjdzie taniej i oszczędzimy sobie nerwów. Tak czy siak, muszę jechać do Eureka i wypożyczyć podnośnik. Dziewczynom bardzo zależy, żeby drzewko prezentowało się pięknie.

– Jest wspaniałe... – Marcie ogarnęła melancholia. Koniecznie chciała odnaleźć Iana przed świętami. Z jakichś powodów było to dla niej niezwykle ważne.

Kiedy się zegnała, zaczynało zmierzchać, bar powoli zapełniał się wieczornymi gośćmi. Za późno, by kontynuować poszukiwania, pomyślała. Znajdzie bezpieczny parking koło stacji benzynowej, gdzie rano będzie mogła się umyć, przenocuje w samochodzie i o świcie ruszy w dalszą drogę. Nie bardzo wierzyła w powodzenie swojego przedsięwzięcia. Tyle przejechanych

kilometrów, odwiedzonych miasteczek i ciągle nic. Skreślała kolejne miejscowości z listy i coraz bardziej nabierała przekonania, że szuka igły w stogu siana.

Zanim wsiadła do samochodu, podeszła do drzewka. Było udekorowane mniej więcej do jednej trzeciej wysokości. Zawieszono bombki w kolorach flagi, białe, czerwone i niebieskie, między nimi umieszczono złote gwiazdy i naszywki z mundurów różnych formacji, laminowane dla ochrony przed śniegiem i wilgocią.

Dotknęła kilku z rewerencją i poczuła ucisk w gardle, łzy napłynęły jej do oczu. Oto dlaczego chciała znaleźć Iana. Ci faceci nigdy nie zapominali, nie znikali bez śladu. Musiał mieć bardzo poważne powody, żeby zerwać z rodziną, z braćmi z Korpusu, opuścić rodzinne miasto. Czy ktoś ratuje towarzysza broni, by się potem od niego odwrócić? Ian za uratowanie Bobby'ego otrzymał dwa ważne odznaczenia, Brązową Gwiazdę i Purpurowe Serce. Został dwa razy postrzelony, ale wyniósł przyjaciela spod ognia irackich snajperów. Nie należał do tych, którzy łatwo kapitulują. Dlaczego zatem poddał się?

ROZDZIAŁ DRUGI

Pieniądze, wszystkiego dwadzieścia osiem dolarów i osiemdziesiąt siedem centów, skończyły się następnego dnia. Dwadzieścia pięć wydała na benzynę, za trzy dolary kupiła chleb i dwa jabłka, po czym wróciła do baru Jacka, licząc, że pozwolą jej zadzwonić do domu. Limit na kartach telefonicznych zdążyła już wyczerpać, dzwoniła prawie codziennie i wysłuchiwała pouczeń Erin, coraz bardziej poirytowanej przedłużającą się eskapadą siostry.

Kucharz o ksywce Proboszcz wpuścił ją do kuchni.

Marcie wystukała numer. Nie było to przyjemne, ale nie miała wyjścia. Prawda była taka, że musiała poprosić Erin o pieniądze.

– Potraktuj to jako pożyczkę – przekonywała. – Wiem już, gdzie jest Ian – kłamała. – To kwestia kilku dni.

– Umawialiśmy się, że jedziesz na dwa tygodnie – srożyła się Erin. – Minał miesiąc. Nie pojawiłaś się na Święto Dziękczynienia.

– Nie mogłam. Tłumaczyłam ci. Dostałam sygnał...

– Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu i zastanowiła się nad inną metodą poszukiwań.

– Mowy nie ma. Nie zrezygnuję.

– W porządku, nie rezygnuj, ale wróć do Chico i zrobmy to profesjonalnie. Wynajmiemy detektywa. Nie dam ci pieniędzy, Marcie, i to dla twojego dobra. To jedyny sposób, żeby zmusić cię do powrotu. Wyślę ci akurat tyle, żeby wystarczyło na drogę do domu. Masz wracać, i to natychmiast. Boję się o ciebie.

– Nie wrócę!

Marcie rozłączyła się, po czym zadzwoniła do brata. Nie pochwalał co prawda jej pomysłów, ale miał łagodniejsze usposobienie od Erin.

– Nie zamierzam wstawiać się za tobą – ogłosił na wstępie. – Erin ma rację, za długo to trwa. Opuść. Diabli mnie biorą, kiedy myślę, co wyprawiasz. Zdana tylko na siebie uganasz się za jakimś popaprań...

– Proszę... – uderzyła w błagalny ton, po czym zaczęła argumentować: – Nie wiemy, czy jest popaprańcem, jak to raczyłeś ująć. Może być zupełnie w porządku. No, trochę przygnębiony, rzecz oczywista... Dajcie mi jeszcze kilka dni. Już go namierzyłam.

Drew westchnął, co było oznaką zbliżającej się kapitulacji

– Ja wiem? – dumął przez chwilę. – No dobra, wyślę ci stówę, ale obiecaj, że wrócisz niedługo, nie będziesz się już włóczyła Bóg wie gdzie. I nie wydaj się przed Erin, że pożyczyłem ci kasę.

– Nie wygadam się. – Marcie z uśmiechem otarła łzy. – Dziękuję, Drew. Kocham cię.

– Pewnie, pewnie – mruknął braciszek. – Ja też cię kocham, nie wiesz nawet, jak bardzo. I dlatego martwię się o ciebie.

– No to się nie martw. – Marcie pociągnęła nosem. – Po prostu przelej na moje konto kilka dolców, bo benzyna mi się kończy i zaczynam jeździć na luzie. Pod warunkiem, że mam akurat z górki.

– Kto i gdzie widział faceta?

– Hm... Mieszka w chacie na wzgórzach. Zamierzam tam jechać, sprawdzę, czy to on. – Ledwie to powiedziała, poczuła, jak palą ją policzki. – Pa, braciszku. – Nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. – Uff... – westchnęła i napotkała przenikliwe spojrzenie olbrzyma.

– Nikt go nie widział, prawda? – odezwał się Proboszcz.

– Może widział. Nic nie wiem na pewno. Namierzyłam go, ale muszę to sprawdzić – powtórzyła, co powiedziała już Drew.

– Czasami lepiej zostawić człowieka w spokoju. Pomyślałaś o tym? – Proboszcz wyjął z szuflady torebkę foliową, otworzył lodówkę i wrzucił do torebki coś, co wyglądało na zawinięte w papier śniadaniowy sandwicze.

– Przypuszczałam, że znajdę go szybciej – mruknęła Marcie. – Trochę się to przeciąga, ale muszę z nim porozmawiać, podziękować za to, co zrobił dla mojego męża. Potem wrócę do Chico, spotkam się z jego ojcem, powiem, że się widziałam z Ianem i że chce, by zostawić go w spokoju. A jednak to dziwne... Tyle lat żyć z dala od ludzi.

Proboszcz włożył do plastikowego pojemnika solidną porcję sałatki ziemniaczanej.

– Zawzięłaś się, prawda?

Tak, zawzięła się. Zniknięcie Iana nie dawało jej spokoju, stało się obsesją. Wysłała kilkanaście, może kilkadziesiąt listów. W pierwszych opowiadała o Bobbym, o sobie, właściwie informowała, potem zaczęła pisać bardziej dla siebie, listy zamieniły się w rodzaj dziennika.

Wzruszyła ramionami.

– Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć.

Proboszcz dołożył kilka pikli do torebki z popasem i wręczył ją Marcie.

– Nie rezygnujesz łatwo.

– Raczej nie. Co to? – zapytała, odbierając torebkę.

– Musisz porządnie się odżywiać. Najpierw zjedz sałatkę, bo jak się zagrzeje, będzie paskudna. I powodzenia. Oby ci się udało znaleźć tego faceta.

– Bardzo bym chciała. – Marcie uśmiechnęła się nieporadnie.

Po południu miała już pieniądze, sto dolarów, no, osiemdziesiąt... Garbusek sunął gładko na najlepszej benzynie, a jej został jeszcze jeden

sandwicz z szynką i serem, kilka pikli i resztką najpyszniejszej sałatki ziemniaczanej, jaką zdarzyło się jej jeść. Ten facet to kartoflany geniusz, zawyrokowała, spróbowałszy dzieła Proboszcza.

Boczne drogi, które przemierzała przez całe popołudnie, były w fatalnym stanie. Samochodzik trząsał się, podskakiwał, ale trzymał się dzielnie, podobnie jak Marcie. Oczywiście wolałaby podróżować superterenówką z napędem na cztery koła. Gdyby zaczekała jeszcze kilka miesięcy, może udałoby się jej kupić jakiegoś rovera czy toyotę na raty, ale nie chciała zwlekać z wyjazdem. Nakłamała Erin i Drew, że wróci za dwa tygodnie, ale wzięła urlop bezpłatny do końca grudnia. Od pięciu lat, czyli od chwili, gdy Bobby pojechał do Iraku, pracowała w firmie ubezpieczeniowej. Na szczęście miała wyrozumiałego szefa.

Erin od samego początku była przeciwna jej pomysłowi. Kilka miesięcy musiała przekonywać siostrę, że poszukiwania mają sens, jednak Erin widziała to inaczej. Niech Iana szuka policja, można też wynająć prywatnego detektywa... Cokolwiek, dziesiątki pomysłów, tylko nie samotna eskapada, ale Marcie nie dała się przekonać.

Rodzina Bobby'ego też nie była zachwycona planami Marcie. Nie wynikało to z uprzedzeń do Iana. Nie znali go, prawie nic o nim nie wiedzieli, ale uważali, że skoro nie interesował się Bobbym, kiedy leżał w domu opieki, to więź nie była zbyt mocna.

Ojciec Bobby'ego, antypatyczny staruch, jak określała go Marcie na własny użytek, oznajmił, że synowa traci czas, by zaś wszystko było jasne, dodał, że los jedynaka w ogóle go nie obchodzi.

Buchanan senior był bardzo schorowanym człowiekiem. Przed kilku laty przeszedł lekki wylew, miał nadciśnienie, raka prostaty oraz chorobę Parkinsona, a także, co było coraz bardziej widoczne, demencję.

– Nie tęsknisz za nim? – pytała. – Nie jesteś ciekaw, co się z nim dzieje?

– Ani trochę. To nie ja zwinąłem manatki i spaliłem za sobą mosty.

Kiedy to mówił, oczy podejrzenie mu zwilgotniały. Nie stać go było na ciepłe uczucia, ale Marcie była pewna, że chciałby jeszcze kiedyś zobaczyć syna albo wiedzieć bodaj, że Ian ma się dobrze.

Shelly, była narzeczona Iana, ciągle miała mu za złe, że ją zostawił, choć wkrótce potem wyszła za mąż i właśnie spodziewała się pierwszego dziecka. Nie miała dobrego słowa dla człowieka, który wyniósł rannego towarzysza spod ognia snajperów. To, że Ian był bohaterem odznaczonym Brązową Gwiazdą i Purpurowym Sercem, nie robił na niej żadnego wrażenia, nadal nienawidziła go z całej duszy. Nie potrafiła współczuć, nie obchodziło jej, że Ian boryka się z piętnem, które odcisnęła na nim wojna, i właśnie dlatego nie potrafi uporządkować sobie życia.

Natomiast dla Marcie po tym, co przeszła, patrząc na wegetującego męża, który nie był nawet w stanie uśmiechnąć się do niej, współczucie i wyrozumiałość dla niego były już dziecinną igraszką.

Pamiętaj, napominała się, że nie tak łatwo wczuć się w czyjeś nieszczęście. Znasz tylko to, czego sama w życiu doświadczyłaś, dlatego nie masz prawa osądzać innych.

Liczyło się tylko jedno: spojrzeć w twarz Iana i zapytać, dlaczego zniknął, zamilkł, przestał odpowiadać na jej listy.

Może uzyska odpowiedź, która przyniesie jej wreszcie spokój. Muszą porozmawiać, przegadać wszystko, zamknąć jakiś rozdział w życiu obojga. Psychiatrzy czasami nazywają to klauzurą, choć odwrotnie niż w języku zakonnym, oznacza wyjście z izolacji psychicznej i powrót do ludzi.

Zatrzymała się przed niewielkim domkiem z byle jak oheblowanych desek. Prawie natychmiast zza węgła wyłonił się mężczyzna z naręczem

polan. Gładko ogolony, łysy i przygarbiony, około siedemdziesiątki, jak oceniała. Na widok Marcie zatrzymał się.

Wysiadła z samochodu i podeszła do starego.

– Dzień dobry.

Odłożył drewno i obrzucił Marcie nieufnym spojrzeniem.

– Może będzie mógł mi pan pomóc. Szukam kogoś. – Wyjęła zdjęcie Iana. – Chodzi o tego człowieka. Tak wyglądał siedem lat temu. Od tego czasu musiał się zmienić, to jasne. Podobno nosi brodę. Mówią, że mieszka gdzieś w tej okolicy. Próbuję go odnaleźć. Facet ma teraz trzydzieści pięć lat, wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Mężczyzna wziął zdjęcie.

– Rodzina? – spytał.

– Prawie. Serdeczny przyjaciel mojego męża, razem służyli w marines. Chciałam się z nim zobaczyć, powiedzieć mu, że mój mąż nie żyje.

– Nie znam. Nie widziałem nikogo takiego.

– Mógł się zmienić – powtórzyła Marcie. – Przytyć, wyłysieć albo wychudnąć...

– Hoduje maryskę? – Stary oddał zdjęcie.

– Nie wiem.

– Pojawiają się tu różni goście, tacy w jego wieku, znikają tam, gdzie ich nie widać. Wiadomo, po co. Hodują marihuanę. Lepiej omijać ich z daleka, choćby byli z rodziny, bo potrafią być mało sympatyczni.

– Słyszałam. Zna pan kogoś, z kim mogłabym pogadać, zapytać? Będę ostrożna.

– Jest taki jeden tu niedaleko, straszny odludek. Może mieć dwadzieścia lat albo pięćdziesiąt, trudno powiedzieć. Wysokie chłopisko. Musi pani wrócić do szosy 36, cofnąć się półtora kilometra i skręcić w boczną drogę. Dojedzie

pani do bramy, jest zawsze otwarta. Kiedyś mieszkał tam facet, którego dobrze znałem, stąd wiem. Będzie dwa lata jak umarł, a ten brodaty to był z nim pod koniec, aż do śmierci, chatą mu została po nieboszczyku.

– Skąd będę wiedziała, gdzie skręcić?

– Skąd, skąd – marudził stary. – To proste, trzeba skręcić w prawo, potem koło kilometra w górę. Jak nie zobaczysz bramy, musisz zawrócić i skręcić w następną drogę.

– Mógłby pan pojechać pan ze mną? Odwiozę pana potem.

– Nie. – Stary pokręcił głową. – Nie chcę widzieć faceta. To dziwak. Wstaje o brzasku, gada do siebie, gwizdże, śpiewa. Aha, jakby tego było mało, myśli, że jest niedźwiedziem.

– Co takiego?

– Sam słyszałem. Ryczy jak dziki zwierz. Lepiej zostaw go w spokoju.

– Rozumiem. – Marcie schowała zdjęcie. – Dziękuję.

Ruszyła w drogę. To mógł być Ian, opis zdawał się pasować do niego. Nie pierwszy raz budziła się w niej nadzieja. Tak było, gdy jechała do domów weteranów, odwiedzała schroniska dla bezdomnych, szpitale, misje kościelne. Przemierzała leśne drogi, tłuła się po wertepach, rozmawiała z drwalami i najmitami na farmach. Nikt nie widział Iana Buchanana, nikt o nim nie słyszał. Jechała w następne miejsce, zaglądała kolejnym mężczyznom w oczy.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni oczu Iana. Brązowe, z bursztynowym światłem. Potrafiły spoglądać łagodnie i ciskać gniewne błyski. Widziała Iana tylko raz, trwało to niewiele ponad kwadrans, kiedy odwiedził Bobby'ego w Chico. Dziwny człowiek, jego spojrzenie zmieniło się niemal z sekundy na sekundę. Był na przepustce, ona przywiozła Bobby'ego do domu. Od fatalnych strzałów w Al-Falludży minęło pięć miesięcy.

Ian położył dłoń na czole przyjaciela i szepnął głucho:

– Och, mój stary... Mój stary... – powtórzył kilka razy, po czym obrócił się do Marcie z gniewnym błyskiem w oku. – Nie powinienem był do tego dopuścić. Wszystko nie tak, nie tak.

Wizyta trwała kilkanaście minut. Myślała, że Ian jeszcze się pojawi, lecz nie, nigdy więcej już go nie widziała.

Jeśli czytał jej listy, wiedział, że wkrótce po jego wyjeździe Bobby znalazł się w domu opieki. Miała wrażenie, że zaczynał reagować, odwracał głowę, patrzył na żonę. Wbrew wszystkim, wbrew rozsądkowi wierzyła, że tli się w nim iskierka świadomości, że czuje jej obecność, wie, że jest otoczony miłością, opieką. Ale czy to mogło wystarczyć, by utrzymał się przy życiu? Rodzina nie chciała przedłużać jego cierpienia, domagała się usunięcia tuby, przez którą był karmiony. Marcie nie mogła się na to zgodzić, ale na szczęście decyzja nie należała do niej. Jej obowiązkiem było trwać przy mężu, pocieszać, okazywać troskę, dbać, by miał wszystko, czego potrzebował. Nie była osobą szczególnie religijną, rzadko chodziła do kościoła. Modliła się, gdy się bała, nie radziła sobie z problemami, i zapominała o siłach nadprzyrodzonych, kiedy wszystko układało się dobrze. W głębi duszy wierzyła jednak, że jest Bóg i zabierze Bobby'ego do siebie. Co ma być, to będzie.

Co miało być, dokonało się.

Dopiero za czwartym razem trafiła na właściwą drogę i znalazła bramę. Odetchnęła z ulgą, bo biedny garbus ledwie zipsał na leśnych wertepach. Pokonała kilometr, może dwa, aż wreszcie w zapadającym zmierzchu zobaczyła chatę, przed którą stał niewielki pikap.

Była tak zmęczona, że w ogóle nie myślała o tym, jak zareaguje, jeśli się okaże, że znalazła Iana. Zbyt długo go szukała, zbyt wiele miała za sobą fałszywych tropów, manowców, porażek. Zatrzymała się przed domem i

nacisnęła klakson, bo na wsi tak się zawiadamia o wizycie, jako że ludzie nie mają dzwonek przy drzwiach. Gospodarze mogą być w domu albo w obejściu, w lesie albo nad strumieniem, więc gość daje znać o swoim przybyciu pohukiwaniem, strzałem ze strzelby albo klaksonem. Biedny garbusek wydał skromne piśnięcie, nie miał zbyt wielkich możliwości wokalnych.

Marcie wysiadła, rozejrzała się. Chata musiała liczyć sobie kilkadziesiąt lat, ktoś bardzo dawno temu pomalował elewację na pomarańczowo. Wokół chaty nie było drzew, nie było obory, śladu inwentarza, natomiast rzucała się w oczy wielka przyzma polan ułożona pod ścianą i przykryta brezentem. Żadnego ganku, niewielkie, wysoko umieszczone okna, z boku wygodka i niewielka szopa na narzędzia. Marcie nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można mieszkać na takim odludziu i w tak prymitywnych warunkach.

Mogła podejść do drzwi, ale czekała, aż pojawi się gospodarz, o ile usłyszała piskliwy dźwięk klaksonu. Zarazem była ogromnie spięta, jak i przepelniona nadzieją. Strasznie nakłamała Erin i Drew. Rozmawiała z dziesiątkami, z setkami ludzi w osadach, miasteczkach, na farmach, i nikt z nich nie widział Iana. Miała dość. Najchętniej zjadłaby ostatniego sandwicza, dokończyła sałatkę, włączyła silnik, dotarła na parking najbliższej stacji benzynowej i przygotowała się do noclegu.

Lecz oto proszę bardzo! Gospodarz wyszedł zza węgła domu, z siekierą w ręku, potężny, szeroki w barach, brodaty. W złachanym kaftanie z postrzępionymi rękawami, w znoszonych butach, połatanych spodniach. Wyglądał okropnie. W pierwszej chwili pomyślała, to nie on, cholera, to nie może być on! Ogniecie ruda, strasznie zmierzwiona broda, chociaż długie, związane w kucyk włosy były brązowe. Żadnej szramy przez brew, obie gęste, krzaczaste. Nie mógł być to Ian.

– Hej – bąknęła niepewnie. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale...

Podszedł do niej z wściekłym grymasem na twarzy.

– Do diabła, co tutaj robisz?!

Spojrzała w jego oczy, w których zapaliły się bursztynowe błyski.

Chryste, to jednak on.

– Ian?

– Pytam, co tu, do diabła, robisz?

– Ja... byłam... jestem... w okolicy. Szukałam cię. Jestem...

– Wiem, kim jesteś! No dobra, znalazłaś mnie. Zadowolona? Więc możesz już się zabierać, wracać, skąd przyjechałaś.

– Poczekaj, chciałam porozmawiać.

– Nie mam ochoty na rozmowy.

– Chciałam opowiedzieć ci o Bobbym. On nie żyje. Odszedł. Niedługo minie rok. Pisałam ci o jego śmierci.

Ian zacisnął powieki, stał przez chwilę bez ruchu, z opuszczonymi rękami. Widziała na jego twarzy ból, cierpienie.

– Pisałam...

– W porządku. Przekazałaś wiadomość.

– Ianie...

– Wracaj do domu – warknął. – Zajmij się swoimi sprawami. – Odwrócił się i wszedł do chaty, trzaskając z całej siły drzwiami.

Marcie przez chwilę wpatrywała się w nie, potem spojrzała na chylące się ku zachodowi słońce, na zegarek. Tu, na szczycie wzgórza, było jeszcze trochę światła, jednak na dole, w cieniu gęstych drzew, musiał panować już mrok. Nie chciała tkwić w obejściu Iana do nocy, zbyt długo go jednak szukała, by dać się spławić.

Odetchnęła głęboko, powiedziała sobie, że nie ma do czynienia z wariatem, najwyżej z pokiereszowanym psychicznie facetem, i podeszła do drzwi, zabębniła z całej siły, po czym cofnęła się przezornie.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast.

– Czego jeszcze?

– Co tak się wściekasz? Przyhamuj, chciałam tylko porozmawiać.

– Nie mam ochoty rozmawiać. – Ian usiłował zatrzaskać drzwi, ale Marcie zdążyła postawić stopę na progu.

– Może wobec tego przynajmniej wysłuchasz.

– Nie! – ryknął.

– Nie przestraszysz mnie! – Też potrafiła huknąć, i tak też zrobiła, choć nie miała zielonego pojęcia, jaką reakcję spowoduje.

Ian zawył jak dziki zwierz, obnażył zęby, oczy rozbłysły ogniem.

Przerażona Marcie odskoczyła, po czym zadzwiała:

– No, nieźle, jednak mnie przestraszyłeś. Co prawda tylko trochę, ale i tak nieźle. – Gdy Ian znów zatrzaskał drzwi, porzuciła spokojniejszy ton i ponownie wydarła się straszliwie: – Nie rozumiesz?! Za długo cię szukałam! Nie po to uganiałam się za tobą jak głupia, żebyś odstraszył mnie dzikimi rykami. – Kopnęła w drzwi z taką furją, że aż krzyknęła z bólu.

Iana, jeśli słyszał, a słyszeć musiał, niewiele to jednak obeszło. Marcie powstała chwile, zastanawiając się, co dalej. Nie podkuli przecież ogona i nie weźmie nóg za pas tylko dlatego, że znerwicowany facet ryknął na nią jak dzika bestia. Wielkie mi mecyje, pomyślała, dodając sobie ducha. Nie spuści z tonu, nie czmychnie jak wystraszona polna myszka.

Taką decyzję podjęła, uznała jednak przy tym, że na razie nie ma sensu przypuszczać kolejnego ataku. Musi dać ochłonąć Ianowi Buchananowi. Najpierw niech się niedźwiedź uspokoi, a potem niech dotrze do niego, że ona

nie skapituluje. Poczeka więc, a korzystając z chwili przerwy, coś przegryzie. Tak, to dobry plan.

Wróciła do garbuska, umościła się na tylnym siedzeniu i wyjęła z chłodziarki resztki zapasów przygotowanych przez Proboszcza. Zajadając sandwicza, rozmyślała o powitaniu zgotowanym przez Iana.

Wszystko miało wyglądać inaczej. W czasie poszukiwań układała sobie różne scenariusze.

Najczęściej jawił się jej taki: Ian cieszy się na jej widok, obejmuje serdecznie, rozkleja się. Rozmawiają, zwierają się sobie, płyną długie godziny, aż wreszcie wszystko sobie powiedzą i świat stanie się lepszy, bardziej zrozumiały.

Inny, mniej optymistyczny, przewidywał, że Ian jest jakby nieobecny, owszem, poznaje ją, ale tylko duka coś wycofany, schowany w swoim świecie. Lecz ona cichym, serdecznym słowem kruszy te bariery, popłyną słowa...

Dopuszczała też inny wariant, najgorszy: Ian zachowuje się jak obłąkany, nie wie, na jakim świecie żyje, bo z tej wielkiej wojennej traumy postradał zmysły. Wtedy ona poruszy niebo i ziemię, by ktoś mu pomógł, wojskowy psychiatra czy psycholog.

Jednak nawet nie powstało jej w głowie, że Ian, ledwie na nią spojrzy, natychmiast wyda z siebie dziki ryk. Że okaże się okrutny, podły, pozbawiony serca.

Popiła sandwicza wodą z termosu, wiele dni temu przestała kupować butelkowaną, i spojrzała na drzwi. Krew uderzała jej do głowy z wściekłości, że tak ją przyjął. Chciała tylko upewnić się, że z nim wszystko w porządku. Za nic nie zasłużyła na takie traktowanie! Co za dupek... Łzy napłynęły jej do oczu. Nie zrobiła przecież nic złego. Jak on mógł? Ryczy, zatrząskuje jej

drzwi przed nosem. Nawet nie próbował wysłuchać, co miała mu do powiedzenia. Wystarczyło, żeby zaprosił ją na chwilę do środka, zapewnił, że radzi sobie, i prosi, by zostawić go w spokoju. Dałaby mu karty bejsbolowe...

Łzy spływały po policzkach, a przecież od tak dawna nie płakała. Cóż, naiwnie idealizowała moment spotkania. Twardo stąpająca po ziemi, rozsądna Erin miała więc rację, gdy się upierała, by wynająć profesjonalistę. Ian Buchanan nie potrzebował pomocy, a już na pewno nie z jej strony.

Być może to raczej ona potrzebowała jego pomocy. Chciała do końca zrozumieć, dlaczego był taki bliski Bobby'emu, przez co i ona zaczęła traktować go jak przyjaciela. Tymczasem wszystko, co Ian miał do zaoferowania, to zwierzęce wycie i trzaskanie drzwiami. Lecz ona nie ruszy się stąd, ten dureń musi zrozumieć, że się jej nie pozbędzie, dopóki z nim nie skończy, co sobie zamierzyła. Tyle że sytuacja jest nader skomplikowana, bo facetowi rzeczywiście musiało poprzestawiać się w głowie.

Nie była w stanie dokończyć sandwicza. Zawinęła go i schowała na powrót do chłodziarki. Jak człowiek przestaje jeść, traci apetyt, ot co.

Słońce schowało się za widnokretem, w oknach chaty zapłonęło światło, z komina zaczął unosić się dym. Ułożyła się wygodnie. Fizycznie czuła się dobrze, ale psychicznie była wykończona. Postanowiła jednak wytrwać, nie ruszy się stąd, dopóki coś się nie wydarzy, dopiero wtedy zdecyduje, co dalej.

Wytrwałość wytrwałością, ale fizjologia dawała znać o sobie. W ostatnich dniach Marcie miała jedno życzenie, a mianowicie by nie musieć sikać w nocy. Zwykle zatrzymywała się na nocleg tak sprytnie, żeby nie biegać zbyt daleko do toalety. Nocowała na parkingach przy stacjach benzynowych, korzystała z łazienek w schroniskach IWCA i na kampusach. Po miesiącu włóczęgi po Kalifornii stała się doświadczoną traperką. Przez

pierwszy tydzień eskapady nocowała w motelach, ale okazało się to zbyt kosztowne, musiała więc przystosować się do innych warunków.

Przypomniała sobie, że podjeżdżając pod chatę, widziała wygodkę. Pomyśleć, że myśl o wiejskiej wygodce może tak ucieszyć człowieka!

Drew, a Erin już z pewnością, umarliby ze zgrozy, gdyby dowiedzieli się, że siostra nocuje w garbusku. Pokręciła głową. Jestem tak samo rąbnięta jak ten cholerny dzikus, pomyślała.

Na szybę garbusa zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu. Skrzyły się w ostatnich promieniach ginącego za horyzontem słońca. Ze wzgórza rozciągał się zapierający w piersiach dech widok. Pięknie tu, pomyślała. Jak się widzi takie cuda natury, nie sposób trwać w przygnębieniu i wciąż żywić zapiekłe pretensje do Iana. Tylko jak go usprawiedliwić, by wygnąć z siebie złość, tego najgorszego z doradców? Ianowi nie jest łatwo, to widać gołym okiem. Ma udręczoną duszę, stąd jego reakcja. A może po prostu zapomniał, że kiedyś byli przyjaciółmi?

Lub też poprzestawiało mu się w głowie i dlatego ryczał jak obłąkany. Nie, nie! – zaprotestowała w duchu.

Marcie nakazała sobie inne myślenie. Musi wierzyć, że Ian nadal jest tym samym człowiekiem, którego opisywał jej w listach Bobby, silnym, pełnym empatii, wrażliwym, lojalnym i odważnym. Jak wtedy, kiedy wynosił Bobby'ego spod ognia snajperów.

Przymknęła oczy, mając pod powiekami widok zapadającego nad szczytami zmierzchu, i pogрузzyła się w zadumie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ian pilnował się, żeby nie podchodzić do okna. A już na pewno nie otworzy drzwi, niech Bóg broni. Wokół panowała taka cisza, że usłyszałby przekręcanie kluczyka w stacyjce. Dorzucił polan do ognia w piecyku, zapalił gaz na kuchence propanowej i wstawił wodę na kąpiel w dwóch wielkich saganach.

Pierwszy rok w chacie przeżył w najprymitywniejszych warunkach, dopiero później wprowadził kilka ulepszeń: kupił generator, zainstalował żarówki, na złomowisku znalazł starą żeliwną wannę, mógł wreszcie kąpać się i czytać wieczorami. Kąpiele nie należały do komfortowych, wannę był w stanie napęłnić zaledwie w jednej trzeciej, najwyżej do połowy, woda, szczególnie zimą, stygła błyskawicznie, ale i tak było to znacznie lepsze niż chlapanie się nad zlewem. Kanalizacji nie zamierzał zakładać, bał się wydatków, a nie znał się na tyle na robotach hydraulicznych, żeby samemu zakasać rękawy. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni brał porządny prysznic, ale w końcu był facetem, nie musiał się pluskać, ważne, że chodził czysty.

Wyszorował się, przebrał w czyste rzeczy i odgrzał resztkę potrawki. Był ciekaw, co robi Marcie, ale powiedział sobie, że nie będzie sprawdzał. Nie zamierzał z nią rozmawiać, wykazywać najmniejszego zainteresowania. Liczył na to, że demonstracyjnie zlekceważona w końcu zostawi go w spokoju. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

Kilka lat przeżytych w górskiej głuszy nauczyło go nie rozpamiętywać przeszłości, ale wystarczyło, by pojawiła się Marcie, i wszystko wróciło. Po raz pierwszy zobaczył ją na zdjęciu, które nosił przy sobie Bobby: śliczna zielonooka dziewczyna z burzą rudych włosów.

Bobby był wyjątkowym chłopakiem wstępującym w wiek męski. Choć ledwie dwudziestolatek, od dwóch już lat służył w marines, kiedy zeszyli się ich drogi, a mianowicie Ian objął dowództwo oddziału. Pierś Bobby'ego zdobiło już kilka odznaczeń, ale co się dziwić, skoro od razu się czuło, że to materiał na znakomitego żołnierza, nie czasu pokoju, ale z pierwszej linii ognia, Ian od razu polubił nieustraszonego, bystrego i wesołego chłopaka. Wielki, mocno zbudowany, okazał się zupełnym łajzą, jeśli idzie o musztrę, Ian nie miał dla niego litości, cóż, musztra uczy posłuchu i współdziałania, ale ujęło go samozaparcie Bobby'ego. Tego się zresztą spodziewał, taki charakter od razu w nim wyczuł, no i odznaczenia zdobiące pierś tego musztrowego patałacha mówiły same za siebie. Nie wiedzieć kiedy i jak, ale stał się dla młodego żołnierza kimś więcej niż tylko dowódcą, bo prawdziwym mentorem, a potem, przy całej różnicy szarż, przyjacielem. Szybko uczynił z Bobby'ego doskonałego żołnierza, najlepszego, jakiego można sobie wyobrazić, nie garnizonowego służbistę i karierowicza, ale kogoś, kto jest wprost stworzony do prawdziwej walki.

Czasami szli razem na piwo, rozmawiali o domu, o zainteresowaniach, sporcie, muzyce, samochodach i polowaniach.

A potem nastał Irak.

Pokazywali sobie zdjęcia swoich kobiet, czytali na głos fragmenty listów od nich. Bobby był już żonaty, myśleli z Marcie o dziecku, Ian dopiero się zaręczył, ale Shelly przygotowywała już wszystko do ślubu, czekała tylko na powrót ukochanego. Obie śliczne. Marcie drobna, rudowłosa, z szelmowskim uśmiechem. Shelly wysoka, smukła blondynka o długich, prostych blond włosach, prawdziwa młoda dama. Marcie przysłała kiedyś Bobby'emu swoje majtki, które z dumą pokazywał kolegom, ale nikomu nie pozwolił tknąć. Ian dostał od Shelly pukiel włosów, choć zapewne wołałby koronkowe figi.

Marcie przysłała Bobby'emu swoje zdjęcie na motocyklu, w samej bieliźnie. Shelly sprezentowała najdroższemu swój portret na tle choinki, w spodniach i golfiku. Dziewczyny przysyłały też ciastka, książki, karty, skarpetki, kasety, różne różności. Kiedy intendentura ogłosiła, że kończą się kamizelki kuloodporne i żołnierze zaczęli zaopatrywać się we własnym zakresie, Ian i Bobby dostali je w paczkach z domu.

Ian znów się powstrzymał, nie zerknął na zewnątrz.

Nie chciał myśleć o przeszłości. Nie był w stanie zmusić się do rozmowy. Czy tak trudno to zrozumieć? Usiadł przy stole, wsparł głowę na dłoniach. Niełatwo uciec od wspomnień.

Tego dnia w Al-Falludży chłopcy z oddziału Iana przeczesywali budynek po budynku w poszukiwaniu irackich snajperów. Na ulicach nie było niemal nikogo, gdzieś w drzwiach domów stały kobiety, przyglądały się nieufnie Amerykanom. Wtedy się zaczęło, najpierw jedna po drugiej dwie eksplozje, samochód z ukrytą bombą i granat, zaraz potem snajperzy otworzyli ogień, Ian widział, jak siła wybuchu wyrzuca jednego z jego chłopców w powietrze. Dopiero po chwili zorientował się, że to Bobby. Pozostali żołnierze zdążyli już zająć pozycje i odpowiadali na ostrzał Irakijczyków. Zanim Ian dobiegł do Bobby'ego, biedaka dosięgły dwie kule, trafiając w pierś i w głowę.

– Schowaj się – wykrztusił na widok sierżanta.

– Nie pieprz – burknął Ian. – Wyniosę cię stąd. – Uniósł go. Bobby był bezwładny i jak każdy bezwładny człowiek, potwornie ciężki. Przeniósł go pod ścianę na wprost zniszczonego domu, wezwał sanitariusza i czekał, usiłując tamować krwawienie z ran.

W końcu pojawiła się pomoc medyczna. Sanitariusz ostrożnie odwrócił Bobby'ego.

– Kule przeszły na wylot przez pierś – stwierdził, przykładając tampony.
– Dopiero jak go dokładnie zbadamy, będzie wiadomo, jak poważne odniósł obrażenia, ale wygląda to paskudnie.

– On przeżyje – powiedział Ian. Chciał w to wierzyć.

– Nie mamy w pobliżu żadnego helikoptera. – Sanitariusz zaczął opatrywać głowę. – Trzeba go wziąć na nosze.

– Rób, co w twojej mocy, dopóki nie zorganizujemy transportu.

Jednak sanitariusz został już wezwany do następnego rannego, więc zdany tylko na siebie Ian sam czuwał przy rannym przyjacielu i podwładnym. Bobby był nieprzytomny, ledwie oddychał. Helikopter pojawił się stosunkowo szybko, ale Ian miał wrażenie, że minęły całe wieki. Czuł, widział instynktownie, że Bobby, nawet jeśli przeżyje, nigdy już nie wróci do zdrowia, ale wołał o tym nie myśleć.

– Wszystko będzie dobrze, staruszkule – powtarzał. – Trzymaj się. Wydostanę cię stąd.

Kiedy karabiny snajperów zamilkły i na moment zapanował względny spokój, Ian dźwignął Bobby'ego i ruszył z nim do helikoptera, który czekał kilka przecznic dalej, w bezpiecznej strefie. Po drodze dostał postrzał w udo, na szczęście niezbyt groźny, i szedł dalej. Kiedy kula drasnęła policzek, poczuł tylko pieczenie. Wreszcie dojrzał budynek, za którym, jak go poinformowano, miał czekać helikopter.

Tak też było. Bobbym zajęli się natychmiast medycy, Ian chciał wracać do oddziału, ale jeden z ratowników chwycił go za rękaw.

– Zaczekaj, sierżancie. Nie puścimy cię.

Ian spojrział na swój mundur. Cały był zalany krwią. Dopiero teraz poczuł ból, zakręciło mu się głowie.

– Musimy cię opatrzyć, bo...

– Zajmijcie się nim – wykrztusił Ian. – Mnie nic nie będzie.

– Zajmujemy się każdym rannym, sierżancie. – Medyk sięgnął po nożyczki i rozciął nogawkę spodni, żeby obejrzeć ranę.

– Cholera – zaklął Ian na widok rozszarpanego uda i zachwiał się. Medyk posadził go, opatrzył rany na nodze, na czole i policzku, tymczasem reszta ekipy ratunkowej zajęła się Bobbym.

– Mało dzisiaj rannych – stwierdził ktoś. Co oni wiedzieli...

Helikopter po kilkunastu minutach wreszcie wzniósł się i skierował do najbliższego szpitala polowego. Tutaj Bobby trafił prosto na salę operacyjną, a Ian do namiotu zabiegowego, gdzie założono mu szwy. Zostały mu brzydkie blizny na twarzy, ale szybko odzyskiwał formę. Bobby'ego już nie zobaczył. Przyjaciel wkrótce po operacji został przetransportowany na dalsze leczenie do Niemiec, natomiast Ian przeszedł dwumiesięczną rekonwalescencję.

W tym czasie zaczął wymieniać listy z żoną Bobby'ego. Pocieszał ją, że wszystko będzie dobrze, że Bobby na pewno wyzdrowieje. Podtrzymywali korespondencję, kiedy była w Niemczech i kiedy przeniesiono Bobby'ego do Walter Reed Medical Center w Waszyngtonie. Potem Bobby trafił do szpitala dla weteranów w Terasie, wreszcie do rodzinnej miejscowości Chico. Ian odpowiadał na każdy list Marcie. Donosiła mu, że z Bobby jest sparaliżowany, że nie ma z nim kontaktu, że jest poddawany fizjoterapii. Pisała, że zaczął sam oddychać, cieszyła się, że „uśmiechnął się do niej”. Ale też przekazywała obawy lekarzy, którzy podejrzewali trwały uraz mózgu. Nie był to bezpośredni efekt postrzału w głowę, lecz skutek obrzęku.

W którymś liście przyszła tragiczna wiadomość. Ian przeczytał ze zgrozą:

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Bobby nigdy nie wróci do zdrowia. Jest świadomy, ale nie reaguje, nie ma z nim kontaktu.

Dla Iana był to cios między oczy. Sięgnął do wcześniejszych listów. Nic w nich nie zapowiadało strasznego wyroku. Owszem, Marcie relacjonowała fakty, nie traciła jednak nadziei, a on nie dopuszczał najgorszego do świadomości.

Cóż, dostał odznaczenia za uratowanie Bobby'ego, lecz każdego dnia zadawał sobie pytanie: jaka to zasługa uratować człowieka, który będzie dożywał swoich dni w martwym ciele?

Kiedy przyleciał do kraju na krótki urlop, postanowił odwiedzić Bobby'ego. Myślał, że zna sytuację i wie o tym wszystkim, co najgorsze, był pewien, że jest przygotowany.

Marcie rzuciła mu się na szyję, dziękowała, a on wymiękł, rozsypał się. Nie, nie był przygotowany na to, co zobaczył.

Nie potrafił w widmie człowieka dojrzeć swojego przyjaciela. Ta dziwna istota, to coś z martwym spojrzeniem, zanikiem mięśni, sztucznie odżywiane, intubowane... Bobby odszedł, ale serce w tym „czymś” ciągle pracowało, płuca napępniały się powietrzem. Koszmarna farsa. Za coś takiego odznacza się żołnierza?

Otworzył oczy. Miał piasek pod powiekami. Nie wiedział nawet, kiedy przeniósł się w przeszłość, stało się coś, czego unikał przez lata. Nigdy do końca nie rozstrzygnął, czy późniejsze wydarzenia były spowodowane całym bagażem doświadczeń i cierpień wyniesionych z Iraku, czy też stanem, w którym zastał Bobby'ego. Tak czy inaczej po powrocie do kraju rozsypał się kompletnie. Wizyta u Bobby'ego trwała piętnaście minut. Poczł się koszmarnie, kiedy zobaczył, co zostało z jego przyjaciela. Odwołał ślub, czego Shelly nigdy mu nie wybaczyła. Wrócił do służby jako ktoś zupełnie inny, po prostu wrak człowieka.

Kilka razy zadzwoniła do niego Erin, prosiła, żeby kontaktował się z Marcie, bo siostrze bardzo to pomoże. Nie potrafił, co przyczyniało mu kolejnych wyrzutów sumienia.

Zaczął mieć kłopoty w marines, on, wzorowy żołnierz, zaczął przysparzać kłopoty swoim przełożonym. Wdawał się w bezsensowne burdy, kilka razy trafił do aresztu. Ojciec oznajmił, że nigdy jeszcze nie najadł się tyle wstydu, jednak do Iana nic nie docierało, nadal zachowywał się irracjonalnie, delikatnie mówiąc. Wreszcie dowódca zasugerował mu, że powinien się zastanowić nad przejściem do cywila. Tak się mówi żołnierzowi, którego za dawne zasługi nie chce się poniżyć i daje mu się szansę na honorowe odejście. Następnym krokiem będzie, rzecz oczywista, dyscyplinarne wydalenie ze służby.

Ian rozumiał to doskonale, tyle że wciąż nie radził sobie z sobą. Czuł się winny temu, że Bobby dogorywa, że zawiódł ojca, że porzucił narzeczoną. Innymi słowy, jedna wielka udręka. Zaiste, stał się wrakiem, i dlatego nie potrafił być wsparciem dla Marcie. Zarazem wiedział, że powinien coś z tym zrobić, dlatego odciął się od wszystkich i próbował uporządkować swoje życie.

Na darmo.

Jedyne, co go ratowało, to niepamięć.

Dlatego nie chciał rozmawiać z Marcie, wracać do tego, co minęło. Nie wiedział, jak miałby ją przeproszać. Powinna wrócić do domu, zostawić go samego z jego demonami, żeby nikogo nigdy już nie skrzywdził.

Czuł się winny, strasznie winny. Nie był w stanie wysłuchiwać relacji o ostatnich miesiącach, ostatnich dniach życia Bobby'ego.

Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Poczul, że musi pójść do wychodka. Cóż, mógł użyć nocnika, uznał jednak, że pora się przekonać, czy natrętny gość wreszcie odjechał.

Włożył kurtkę, modląc się w duchu, że nie zobaczy już garbusa przed domem.

Niech to diabli, stał dalej, oczywiście przysypany warstewką śniegu. Ryknął rozwścieczony. Marcie powinna się przerazić, tymczasem żadnej reakcji. Zabębnił pięścią w szybę.

– Ejże! Ty tam! Wynoś się! Wracaj do domu! – Dalej nic, więc zaczął kołysać samochodzikiem.

Marcie nadal nie reagowała.

Niech to szlag. Chyba nie usnęła. Spadł śnieg, robiło się coraz zimniej. Trzeba być skończoną idiotką, żeby tak narażać własne zdrowie. Otworzył drzwiczki od strony pasażera. Idiotka zniknęła.

– Jasna cholera! – Po tej cholerze posłał soczystą wiązanekę, zakończoną tymi oto słowami: – Pieprzę cię, Marcie! Gdzie cię wcięło?

Cisza, a w tej ciszy kołowały wokół płatki śniegu.

Nagle Ian usłyszał skrzypnięcie zawiasów. Spojrzał w tamtą stronę. Drzwi wygodki kołysały się lekko w powiewach wiatru.

Pobiegł tam. Marcie leżała na podłodze z nogami na zewnątrz. Podniósł ją, przytknął wargi do czoła, sprawdzając temperaturę. Wariatka była zupełnie wyziębiona. Przeniósł ją biegiem do chaty. Na szczęście nie zeszywniała na kość, więc najpewniej żyła.

Zaczął się modlić.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to zdarzyło.

Boże, nie chciałem ryczeć na nią, wrzeszczeć, kajał się w duchu. Pomyślałem tylko, że będzie najlepiej, jeśli wyjedzie. Nie pozwól, Panie, żeby coś się jej stało. Zrobię wszystko... wszystko.

Położył Marcie na kanapie i dorzucił kilka polan do piecyka. Teraz musi zdjąć z niej wilgotne ubranie... Kamizelka, buty, dżinsy... Na szczęście miała na sobie porządne, grube dżinsy i mocne zimowe buty, była w miarę zabezpieczona przed mrozem. Sam rozebrał się szybko i przykrył Marcie sobą, musiał ją rozgrzać.

Po kilku minutach ciepło zaczęło przenikać do jej ciała. Wspierał się na łokciach, żeby nie zgnieść tej drobiny swoim ciężarem. Przypominały mu się dziwne obrazy: pompki w wojsku. Ileż tych pompek zrobił w życiu? Ileż kazał robić swoim żołnierzom?

Grzał ją tak przez godzinę. Oddychała spokojnie, równo. W końcu podniósł się z ociąganiem i okrył Marcie miękką kapą. Jeszcze raz dorzucił polan do kozy, postawił czajnik na kuchence. Wyposażenie chaty składało się z kilku szafek kuchennych, zlewu, pompy do wody. Były dwie skrzynie na ubrania, a w niewielkiej blaszance trzymał przedmioty, które uważał za cenne. W jednym kącie stał sprzęt wędkarski, w drugim strzelby do polowania na grubego zwierza. Regularnie wypożyczał książki z biblioteki, korzystając z karty, którą przed laty wyrobił stary Raleigh, poprzedni właściciel chaty i sporej połaci gruntów wokół.

Przed śmiercią zapisał Ianowi wszystko, co posiadał.

Podszedł do Marcie. Spała spokojnie. Mógłby też się położyć, tyle że...

Normalnie spałby już o tej porze, bo wieczorami nie było nic do roboty. Teraz usiadł przy stole i otworzył książkę, którą właśnie czytał. Kiedy woda się zagotowała, wyłączył gaz pod czajnikiem i znów sprawdził, jak ma się

Marcie. Nadal spała w najlepsze, wrócił więc do czytania. Po chwili ponownie włączył gaz, po raz kolejny nachylił się nad Marcie.

Tłukę się bez sensu, uznał wreszcie.

Te jej włosy rozsypane na poduszce... Gęste, piękne. Ujął pukiel w palce. Ich jedyne spotkanie na zawsze wryło mu się w pamięć. Dwudziestotrzyletnia kobieta, dziewczyna nieledwie, od czterech lat mężatka, pielęgnująca żywego trupa. Boże, co to musiało być za życie.

Jeszcze kilka razy gotował wodę na herbatę, co i rusz podchodził do śpiącej Marcie. W końcu usłyszał, że się rusza. Zakasłała. Spojrzał na zegarek, nabytek za dziesięć dolarów, który służył mu od dobrych kilku lat. Dochodziła czwarta. Przyklęknął obok kanapy.

– Budzisz się?

Otworzyła oczy, uniosła się gwałtownie na łokciu.

– Co się dzieje?

– Spokojnie. Wszystko w porządku. No, prawie...

Rozejrzała się, wciąż jeszcze nie do końca rozbudzona.

– Gdzie ja jestem?

– W mojej chacie. Gdybym cię tu nie przyniósł, zamarzałabyś na śmierć. Jesteś zdrowo porąbana.

Posłała mu niezbyt przyjazne spojrzenie, po czym odparła gniewnie:

– Wcale nie jestem porąbana, tylko nie przywykłam do życia w górach.

– Usiadła. – Gdybym wiedziała, że brew ci odrosła i masz rudą brodę, pewnie znalazłabym cię wcześniej. – Myślała przez chwilę, jakby układała w głowie wszystko od a do zet, wreszcie podjęła decyzję. – Odjeżdżam stąd. Nie będę ci się narzucać.

– Nigdzie nie pojedziesz. – Ian położył jej dłoń na ramieniu, powstrzymując przed wstaniem. – Nie możesz się stąd wydostać. Ja też nie.

– Nie szkodzi – upierała się. – Zwykle nocuję w samochodzie. Mam śpiwór...

– Padłaś na progu kłopa, rozumiesz? Leżałaś w śniegu, naprawdę niewiele brakowało, żebyś zamarzła na śmierć. Tylko idiot...

– Daruj sobie, dobra? – osadziła go ostro.

– Dobra, dobra... – Przetarł dłońmi twarz. – Chciałaś się ze mną spotkać, porozmawiać, masz więc okazję.

Jednak jakby go nie słuchała. Owszem, nie słuchała, bo coś innego zwróciło jej uwagę. Zdumiało, zażenowało. Rozwścieczyło.

– Jestem... jestem naga?! – krzyknęła.

– Co ty, zostawiłem ci bieliznę, ale resztę musiałem z ciebie ściągnąć lub pozwolić ci umrzeć. Nie była to łatwa decyzja – sarknął.

– Rozebrałeś mnie i przykryłeś kapą?

– Chyba że zrobił to ktoś inny. – Teatralnie rozejrzał się wokół. – Nie widzę, nie słyszę, więc zapewne ja... No i nawet nie wspomnę o tym, że grzałem cię przez godzinę własnym ciałem. – Przerwał na moment. – A od pięciu lat nie dotykałem kobiety – wyznał zdziwiony, bo jakoś do dzisiaj mu tego nie brakowało. – Co się właściwie stało? Straciłaś przytomność?

– Nie mam pojęcia. Ucieszyłam się, że jest sraczyk, więc nie będę musiała kucać za krzakiem. Chciałam wrócić szybko do samochodu, ale poczułam się strasznie zmęczona. Nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Nic więcej nie pamiętam. – Zakasłała. – Nie sądziłam, że jestem aż tak zmęczona, żeby usnąć.

– Nie usnęłaś – sprostował Ian. – Straciłaś przytomność. Hipotermia. Omal nie zamarzałaś na śmierć.

Owszem, przemarzła już w samochodzie.

– Chce mi się siku – oznajmiła. – Muszę wyjść.

Ian dotknął suszących się przy piecyku ubrań, lecz były wilgotne. Podszedł do skrzyni, wyjął flanelową koszulę, podał Marcie, po czym wyciągnął z kąta błękitny fajansowy nocnik w białe kropki, licząc co najmniej pół wieku skorupę, czyli jeszcze trochę, a przestanie być zwykłym nocnikiem i przemieni się w zabytkowy nocnik.

– Użyj tego.

– Do czego? – Zaciekawiona patrzyła na przyszły obiekt muzealny.

– Do sikania.

– O nie. Oddaj mi moje dzinsy i buty. Pójdę do tej twojej budy... – Zaniósła się kaszlem.

– Nigdzie nie pójdziesz. Nie będę cię pielęgnował, jak się rozchorujesz, nie mam na to czasu.

– Nie rozchoruję się. Drapie mnie trochę w gardle, to wszystko. Napiję się wody i przejdzie, ale najpierw muszę...

– Wyjaśnijmy sobie jedno – oznajmił Ian. – Przynajmniej przez kilka najbliższych godzin nie wypuszczę cię. – Rozległ się gwizd czajnika, Ian zgasił gaz, włożył kurtkę. – Zostawię cię teraz samą. Wrócę za chwilę, napijesz się herbaty i pójdziesz spać.

Marcie wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Masz... papier?

Westchnął zniecierpliwiony, przymknął powieki. Podszedł raz jeszcze do skrzyni, wyjął nową rolkę papieru i wyszedł. Odczekał pięć minut, trzęsąc się z zimna, i zapukał ostrożnie. Odpowiedział mu gwałtowny atak kaszlu, nie czekał więc dłużej.

Marcie siedziała na kanapie, wychudzone nogi wystawały spod koszuli. Obok na podłodze stało tak zwane naczynie nocne.

– Co mam z tym zrobić? – zapytała.

– Ja się tym zajmę. – Schylił się i podniósł nocnik.

– Zaraz wracam.

Bez dwóch zdań jest chora, pomyślał zamykając drzwi za sobą. Nie wiadomo, od jak dawna sypiała w tym cholernym samochodzie, pewnie niewiele jadła, jest bardzo osłabiona, a wyprawa do sraczyka dopełniła dzieła.

Wrócił, odstawił nocnik do kąta, umył dłonie, zaparzył herbatę, nalał szklanek wody i podał Marcie trzy tabletki.

– A to co znowu?

– Przeziębiałaś się. Albo to efekt dzisiejszego leżakowania na śniegu, albo czegoś jeszcze, więc połknij te aspiryny. – Jest zupełnie wykończona, ocenił. – Od rana muszę pracować. Wrócę koło południa, nie potrafię dokładnie powiedzieć o której. Chcę cię tutaj zastać po powrocie. Jeśli będziesz się dobrze czuła, pojedziesz, dokąd chcesz, ale nie wcześniej, aż powiem, że możesz. Teraz prześpij się, odpocznij. W nocy korzystaj z nocnika, nie wychodź do klopa. Nie będę biegał i sprawdzał, czy jeszcze żyjesz. Zrozumiałaś?

Uśmiechnęła się blado.

– Jednak obchodzę cię trochę.

Prychnął i obnażył zęby, co miało oznaczać: jestem strasznie groźny i cię zjem.

Marcie zaśmiała się i znowu zaczęła kasłać.

– Sprawia ci przyjemność udawanie złego wilka?

– Gdy Ian tylko odwrócił głowę, dodała: – Ludzie omijają cię z daleka. Twój sąsiad mówi, że masz źle w głowie. Wyjdziesz do księżycy i takie tam?

– Nie wściubiaj nosa w nie swoje sprawy – warknął, wciąż udając groźnego. – Dolać ci herbaty?

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym się przespać. Nie chcę sprawiać kłopotu, ale jestem potwornie zmęczona.

Podszedł i wyjął jej kubek z ręki.

– Skoro nie chcesz przeszkadzać, po jaką cholere uganiaasz się za mną?

– Chryste, po prostu chciałam odnaleźć dawnego przyjaciela. – Oparła głowę na poduszce i owinęła się kapą. – Z czego żyjesz?

– Handluję drewnem na opał. Rozwożę zamówienia po okolicy, sprzedaję polana wprost z samochodu. Jutro powinien być niezły utarg, rozumiesz, pierwszy śnieg. Może uda mi się wrócić w miarę szybko, ale tak czy inaczej masz na mnie czekać. Jasne?

– A moje jasne brzmi inaczej: Do cholery, jestem tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli! To ja cię szukałam, więc nie będziesz mi teraz rozkazywał, co mam robić. Gdybym nie była tak strasznie zmęczona, odjechałabym natychmiast, choćby tylko po to, żeby cię wkurzyć. No, może byłby to błąd, bo coś mi wygląda, że lubisz się wkurzać.

Ian podniósł się, włożył kurtkę, wyjął rękawice z kieszeni.

– Widzę, że doskonale się rozumiemy.

– Poczekaj! – zawołała Marcie. – Jeszcze nie zaczęło świtać.

– Zaczynam przed świtem. Muszę załadować drewno na furgonetkę.

I wyszedł.

Marcie wyciągnęła się wygodnie na kanapie, zamknęła oczy. Słyszała, jak Ian wrzuca polana na skrzynię, a kiedy zapadała już w sen, doszło ją pogwizdywanie.

Nie wiedziała, jak długo spała, ale kiedy otworzyła oczy, przez okna sączyło się szare światło poranka, Ian... śpiewał. Słyszała wyraźnie. Miał piękny, czysty głos. Nie mogła wychwycić słów, ale była pewna, że to na pewno on.

Pomyślała, że jeśli człowiek nosi w sobie cierpienie, jeśli duszę zatruwają mu smutek i żal, to nie jest w stanie śpiewać.

Po prostu nie. Tyle wiedziała.

TTLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

W dolinie i nabrzeżnych miastach nie padało, jednak na wzgórzach sypał już mokry śnieg, Ian ustawił się z drewnem w pobliżu zjazdu na ruchliwą przelotówkę. Była siódma, najlepszy czas na taki handel, bo ludzie jechali do pracy. Stali klienci, którzy od czterech lat regularnie kupowali u niego drewno, przyzwyczaili się wypatrywać znajomej furgonetki parkującej na poboczu szosy. Nikt nie wiedział, gdzie Ian mieszka, czy ma telefon... No, nie miał. Właśnie zatrzymało się koło niego pięć samochodów i Ian zapisał w swoim zeszycie tyleż zamówień, obiecując dostarczyć drewno pod wskazane adresy w ciągu najbliższych dwóch dni. Od dwóch klientów, których dobrze znał, przyjął czeki, pozostali mieli zapłacić gotówką przy odbiorze.

Szóstym klientem był szef lokalnej policji. Każdej zimy kupował od Iana sag drewna. Ufał mu i płacił zawsze z góry, inni byli bardziej przezorni: najpierw drewno, potem pieniądze.

– Dobry masz towar w tym roku? – zagadnął szef, odliczając banknoty.

– Będzie pan zadowolony. Zaraz dostarczę drewno do domu.

– Złóż je, proszę, w szopie, jedną wiązkę zostaw na ganku przy drzwiach kuchennych.

– Jak zawsze, pamiętam.

– Uważaj, chłopie. – Choć nikogo nie było w pobliżu, policjant zniżył głos. – Jakaś kobieta szuka faceta w twoim wieku, twojej postury. Wszędzie wypytuje. – Podrapał się po głowie. – E, nieważne... Robię z tego sensację, a każdemu wolno pytać. – Niby nic, ale uważnie zerkał na Iana.

Ten zaś uśmiechnął się do siebie. Nie, szefie, to z pewnością nie ja, podkpiwał w duchu.

– Podrzucę panu drewno jeszcze dzisiaj.

– Dzięki.

Ian przyjął jeszcze jedno zamówienie i ruszył w drogę. Zatankował paliwo, potem kupił w sklepie spożywczym bulion w kostkach, pół kurczaka, cebulę, seler, mrożone warzywa, makaron, dwa kartoniki soku pomarańczowego, dwie świeże pomarańcze, jabłka, kawę, chleb, masło orzechowe i miód.

Wrócił do chaty przed dwunastą.

Ogień dawno wygasł, w izbie było zimno. Marcie rozkopała się we śnie i wystawiła pupę ustrojoną w majtki z lawendowej koronki. Sądząc po pałających policzkach, musiała mieć gorączkę.

Ian odstawił zakupy, dorzucił drewna do piecyka, po czym obudził Marcie i podał jej pigułki.

– Wychodzisz? – zapytała na wpół przytomnie.

– Właśnie wróciłem. Połknij aspirynę. Masz gorączkę. Rwie cię w płucach? Co cię boli? Głowa? Brzuch? Gardło? Powiedz.

– Trudno powiedzieć, po prostu to jakby nie ja.

Myślę, że zwyczajnie jestem przemęczona. Odpocznę i wszystko będzie w porządku.

– Najpierw sok i aspiryna – zakomenderował Ian, pomagając jej usiąść.

– Moim zdaniem masz regularną gripę.

– Uff. Przepraszam. Ale nie, to nie może być grypa. Szybko dojdę do siebie. Trochę się przeziębiam, to wszystko. – Połknęła posłusznie tabletki i popiła sokiem.

– Znowu muszę wyjść, Marcie. Masz sok na stole. Podsunąć nocnik tak, żebyś miała go w zasięgu ręki?

– Nie – fuknęła. – Żadnych nocników.

– Jadę po lekarstwa. W Virgin River jest stary doktor, może da mi jakieś leki przeciwgrypowe. To pół godziny jazdy w jedną stronę.

– Virgin River. – Marcie przymknęła oczy. – Postawili tam śliczną choinkę... Musisz ją zobaczyć.

– Jasne. Wrócę za jakąś godzinę. Ogień w piecyku przez ten czas raczej nie wygaśnie, ale radzę, nie rozkopuj się. Przynajmniej do mojego powrotu.

– Gorąco mi...

– Aspiryna zbije temperaturę. Okryj się porządnie i czekaj cierpliwie.

Marcie szeroko otworzyła oczy.

– Tak, będę... – Przerwała na moment. – Ian, musisz być na mnie niezłe wkurzony. Chciałam cię odnaleźć, pogadać i zniknąć, a tymczasem narobiłam ci sporo kłopotu.

Odgarnął jej włosy z czoła.

– Już się uspokoiłem, Marcie – powiedział łagodnie. – Teraz myśl o tym, żeby szybko pozbyć się tego paskudztwa. Potem pewnie pogadamy... zgoda?

– Jak chcesz. Możesz nawet ryczeć jak dziki zwierz. Coś czuję, że sprawia ci to przyjemność.

Ian uśmiechnął się mimo woli.

– Owszem. Sprawia. – Ruszył do drzwi. – Okryj się porządnie. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Ledwie wjechał do miasteczka, zobaczył choinkę. Początkowo myślał, że Marcie majączy w gorączce, ale nie, drzewko stało na środku ulicy, ogromne, do samego nieba. Nigdy jeszcze nie widział takiej ogromnej choinki. Na razie była udekorowana do jednej trzeciej wysokości bombkami w kolorach flagi narodowej, złotymi gwiazdami i tak dalej. Ian zwolnił,

przejeżdżając obok drzewka. Skąd ta patriotyczna gama kolorystyczna? Oni tak co roku? Miejscowi chłopcy walczą z terroryzmem w Iraku?

Nieważne. Musi załatwić leki dla Marcie. Doktor zaglądał do chaty, kiedy Raleigh był już mocno chory. Ian przywoził go i odwoził zdezelowaną furgonetką starego. Raleigh nigdy nie pomyślał o zainstalowaniu telefonu, Ianowi też było to obojętne.

W recepcji u Doka prezydowała młoda blondynka.

– Dzień dobry. Zastałem doktora?

– Owszem. Zaraz go poproszę. Pracuję tutaj od dwóch lat, ale nigdy się nie spotkaliśmy. Zna pana?

– Poznaliśmy się, myślę, że mnie pamięta.

Blondynka uśmiechnęła się i poszła po Doka. Pojawił się natychmiast w okularach zsuniętych na czubek nosa, z uniesionymi brwiami.

– Witam – rzucił.

Ian wyciągnął rękę na powitanie, po czym spytał:

– Ma pan jakieś leki przeciw grypie?

– Wybacz, synu, twarz znajoma, ale nazwisko uleciało mi z głowy. Jesteś...?

– Buchanan, Ian Buchanan z Clint Mountain. Mieszkam w chacie, którą zbudował stary Raleigh. To ja się nim opiekowałem do końca.

– Przypominam sobie. Co ci dokucza?

– Nie chodzi o mnie. Mam gościa. Wczoraj zjawiała się u mnie pewna kobieta i rozchorowała się. Ma gorączkę, dreszcze, łamie ją w kościach, narzeka na ból gardła. Daję jej aspirynę, pije dużo soku, ale to wszystko, co mogę zaordynować. Nie chciałem jej tu przywozić w taki mróz, bo ogrzewanie w mojej furgonetce prawie nie działa. Jeśli ma pan jakieś lekarstwa...

- W bród, chłopcze, ale zawsze wolę obejrzeć pacjenta.
- Pamięta pan, gdzie to jest? Kawalek drogi.
- Pamiętam, pamiętam. Żaden problem, podjadę do chorej. Spakuję torbę i pojedę za tobą. Te leśne drogi na zawsze pozostaną dla mnie tajemniczą płataniną.

Ian dotknął zwitka banknotów w kieszeni. Miał jakiś tam zapas pieniędzy, ale paliwo do wozu i propan do kuchenki to jednak wydatki, a jeszcze wiosną będzie musiał zapłacić podatek za chatę i grunt. Latem było łatwiej. Nie musiał grzać wody, oszczędzał na świetle. Zawsze musiał też mieć rezerwę finansową, w razie gdyby trzeba było naprawić furgonetkę. Często pracował dla firmy transportowej, oczywiście na czarno. Dzięki temu miał trochę grosza, mógł zajmować się ogrodem, wędkować i przygotowywać drwa na zimową sprzedaż. Jakoś sobie radził, choć w wypadku poważnej choroby groziła mu totalna klapa.

Lecz nagle jakoś tak się stało, że koszty leków i wizyty Doka nie miały znaczenia. Nawet gdyby Marcie miała trafić do szpitala, wszystko jedno, zapłaci. Chciał, żeby znowu uśmiechała się jak na zdjęciach, które pokazywał mu Bobby.

Blondynka gdzieś zatelefonowała, co ledwie do niego dotarło, i włożyła kurtkę.

Gdy Dok wrócił z torbą, spojrzął groźnie na gotową do wyjścia blondynkę.

- A ty gdzie się wybierasz? – nasrożył się strasznie.
 - Jadę z tobą. David jest z Jackiem, a przecież jedziemy do chorej kobiety, więc będziesz mnie potrzebował.
 - Jesteś w ciąży, nie ryzykuj zarażenia się grypą.
- Roześmiała się, a wtedy jej twarz cudnie się rozjaśniła.

– Jakby dookoła nie było pełno grypy. Taka pora roku. Nie przesadzaj. Jedziemy. – Dziarsko wyszła na zewnątrz.

– Uparta jak cholera – narzekał Dok. – Nigdy nie przyjmie ode mnie żadnego polecenia, bo pilnuje swoich kompetencji i niezależności, feministka jedna, ale przyjacielską radę mogłaby jednak docenić. – Ruszył przez próg. – Kobiety są jak wrzód na du... No, wiadomo, na czym, i dlatego nigdy się nie ożeniłem. – Pokiwał smętnie głową. – Nieprawda, żadna mnie nie chciała – monologował pod nosem Dok, schodząc z ganku.

– Nie zamyka pan przychodni? – zapytał Ian.

– Po co? Oczywiście zamknąłem szafkę z lekami, a Jack i Proboszcz są po drugiej stronie ulicy. Wyczują natychmiast, gdyby coś się działo, a są uzbrojeni po zęby. Kto by zresztą próbował wchodzić do przychodni i w jakim celu?

– Hm... – W tej małej osadzie wszystko jakby było idealnie zsynchronizowane, pomyślał Ian. W jego życiu od dawna brakowało takiej synchronizacji.

Blondynka siedziała już za kółkiem imponującego hummera. Że też mogła sobie pozwolić na taki superwóz...

Musieli zbijać w przychodni wielką kasę. Poczuł, jak pieniądze, które miał w kieszeni, gwałtownie topnieją.

Ian otworzył drzwi, przepuszczając Mel i Doka. Marcie spała smacznie.

– Dorzucę tylko drew do piecyka i zaczekam na zewnątrz.

Mel przysunęła krzesło do kanapy, żeby Dok mógł usiąść, a potem zaczęła budzić chorą, powtarzając raz za razem:

– Marcie, otwórz oczy. – Gdy wreszcie tak się stało, dodała: – Hej, podobno kiepsko się czujesz? Pamiętasz mnie? Mel Sheridan z Virgin River.

To mnie ściągano brutalnie z drabiny na środku osady. Co za straszne upokorzenie...

– Pamiętam. – Marcie zanosła się kaszlem i odwróciła głowę.

– To Dok Mullins, lekarz rodzinny. Pracujemy razem. Ja jestem dyplomowaną pielęgniarzką i położną. Ian sprowadził nas tutaj. Uważa, że masz gripę, a ty jak sądzisz?

– Myślę, że to tylko paskudne przeziębienie.

– Nie masz kataru – stwierdził Dok. – Usiądź, proszę. Osłucham cię. – Przyłożył stetoskop do pleców Marcie, a ona znowu zanosła się suchym kaszlem. Kiedy napad przeszedł, kilka razy odetchnęła głęboko, jak kazał. Potem obejrzał gardło, zajrzał do uszu, zmierzył temperaturę i pomacał węzły chłonne.

– A więc znalazłaś faceta – powiedziała Mel.

– Znalazłam. Mąż ci opowiedział, że szukam?

– Mhm. Ja nie mogę opowiadać o swoich pacjentach, ale Jack mówi mi, co się dzieje w barze, chyba że ktoś prosi o zachowanie tajemnicy. Jak Ian cię przyjął?

– Był wkurzony jak diabli, po prostu wściekły. Powinnaś go słyszeć, ryczał jak tygrys syberyjski. Niesamowite. Naprawdę mnie wystraszył w pierwszej chwili.

– A teraz? – indagowała Mel.

– Uratował mi życie. Omal nie zamarzłam w wygodce. Przyniósł mnie do chaty, ogrzewał. No i pojechał po was...

– Nie chciał przywozić cię do miasteczka, bo ogrzewanie w jego furgonetce kiepsko działa, ale ja mam dobry wóz, możemy zabrać cię do przychodni, jest tam salka szpitalna na dwa łóżka...

– Wolałabym zostać tutaj.

– Jesteś pewna?

– Tyle czasu go szukałam...

– Możesz jechać z nami do miasteczka i wrócić tutaj, jak już poczujesz się lepiej. I zawsze możesz liczyć na pomoc moją i mojego męża.

– Dzięki, ale nie. – Marcie pokręciła głową. – Załatwię, co mam do załatwienia, i wrócę do domu. – Bała się, że Ian znowu jej zniknie, ale to zachowała dla siebie.

– Czujesz się tu bezpieczna? Warunki są dość prymitywne. Twój syberyjski tygrys nie zapewni ci żadnych wygod.

– Wystarczy, że jest ciepło i mam co jeść. Ian robi mi herbatę, podaje sok pomarańczowy i aspirynę.

– Nie znam go, Marcie. Ty też go nie znasz. To odludek. Ma jakichś przyjaciół?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ma mnie.

– Czy to znaczy, że nie będzie więcej na ciebie ryczał? – upewniała się Mel.

– Mam nadzieję. Najwyraźniej się uspokoił.

– Nie chciałabym zostawiać cię w nieodpowiednich warunkach. Czuję się odpowiedzialna za swoich pacjentów.

Marcie uśmiechnęła się leciutko.

– Rano, kiedy ładował drewno opałowe na furgonetkę, bo handluje drewnem, śpiewał. Gdybyś tylko też tu była wtedy... Ma piękny głos. Kiedy go usłyszałam, wiedziałam, że z niego popędliwy gwałtownik, ale ma dobre serce. Wiem, że mam rację, on nawet jeśli nie chce, i tak daje tego dowody.

– Cóż, twoja decyzja, ale zawsze możesz liczyć na naszą pomoc.

– Grypa – stwierdził doktor. – Chłopak dobrze rozpoznał, powinien być lekarzem, a ty za kilka dni poczujesz się znacznie lepiej. Dam ci zastrzyk z

antybiotyku, chociaż działa tylko na bakterie, a to jest wirus grypy. Dojdiesz szybko do zdrowia, ogólnie jesteś w dobrej kondycji, do tego masz młody, zdrowy, silny organizm i dobrą opiekę. Ian bardzo troszczył się o starego, z którym wcześniej tu mieszkał. Nadaje się na pielęgniarza.

– Możliwe – powiedziała Mel – ale zanim odjedziemy, muszę się upewnić, czy chce się zająć tobą, Marcie. Zaraz go o to spytam, to mój obowiązek. Ian nie musi cię pielęgnować, skoro jest inna możliwość zapewnienia ci opieki. Jeśli nie ma pieniędzy i ochoty...

– Dobrze – zgodziła się Marcie. – Aha, jak już będziesz go pytać, to powiedz mu, że mam osiemdziesiąt dolarów i mogę mu je dać na leki i jedzenie.

Mel uśmiechnęła się.

– Nie omieszkam wspomnieć.

– Mogę cię prosić o przysługę?

– Mów śmiało.

– Masz może starszą siostrę?

– Tak się składa, że mam.

– Ja też. Erin Elizabeth. Nasza matka zmarła, kiedy miałam cztery lata, tata odszedł jedenaście lat później. Erin jest siedem lat starsza ode mnie, wychowywała mnie i mojego młodszego brata. Jest dobrym człowiekiem, chociaż zdarza się, że za bardzo nami dyryguje. Strasznie protestowała, to było absolutne weto, kiedy oznajmiłam, że zamierzam na własną rękę szukać Iana, ale nie bardzo mogła mnie powstrzymać, w końcu jestem dorosła, cokolwiek by na temat mówiła. Jednak wymogła na mnie, że mam dzwonić do niej co drugi dzień. Wiem, że niecierpliwie czeka, aż dam sobie spokój z tymi poszukiwaniami. Chce mieć nad wszystkim pełną kontrolę i czasami trudno się z tym pogodzić...

– Moja siostra mogłaby sobie z nią rękę podać. No a Jacka to już miałaś okazję poznać!

– Owszem. – Marcie nie mogła się nie uśmiechnąć. – Jak widzę, wiesz równie dobrze jak ja, jak to jest, gdy ktoś koniecznie chce decydować o tobie. Trzeba jednak zadzwonić do Erin i powiedzieć jej, że znalazłam Iana, że wszystko jest w porządku i że zostanę tutaj trochę. Wy tłumacz jej, że Ian nie ma telefonu, a ja zadzwonię do niej przy najbliższej wizycie w miasteczku. Niech się nie martwi o mnie.

– To cała twoja rodzina? – spytała Mel.

– Tak, Erin i Drew, mój młodszy brat. No i cała rodzina zmarłego męża, naprawdę ogromna rodzina. Ponieważ zostałam wdową, koniecznie chcą się mną opiekować. Nie jestem sama. Dam ci numer, zadzwonisz?

– Chętnie, o ile Ian powie, że chce cię gościć.

– Nie musisz jej mówić, że jestem chora. Nie musisz, prawda?

– Chcesz oszukiwać siostrę? – Mel skrzywiła się lekko.

– Czasami trzeba – stwierdziła Marcie. – Jest zbyt bystra.

– Odsłoń pupę – zakomenderował Dok ze strzykawką w dłoni. – Dam ci jeszcze coś na kaszel, na podrażnienie śluzówki. Poza tym dużo snu, soki, woda, lekkie posiłki, przez dwa dni same buliony, rosółki. Zaufaj swojemu organizmowi, on ci powie, jak masz wypoczywać. Sen i duża ilość płynów to najlepsze lekarstwo. Żadnego wysiłku fizycznego, a zobaczysz, że szybko dojdiesz do siebie.

– Ale do wygodki mogę chodzić, nie muszę używać nocnika?

– Możesz, oczywiście. Nie jesteś przeziębiona, tylko masz grype, chłód nie powinien zrobić ci krzywdy, ale też nie przesadzaj.

– Niby jakim cudem? Siedział pan kiedyś w wychodku w grudniu?

– Dziecko, wiele w swoim życiu przeżyłem.

– Marcie, jeśli będziesz nas potrzebowała, przyślij Iana do przychodni – odezwała się Mel.

– Dziękuję, to takie miłe.

– Trzymaj się.

Ian czekał koło hummera, więc Mel, zgodnie z obietnicą, mogła zamienić z nim kilka słów. Nie uszło jej uwagi, jak bardzo nie dbał o siebie. Dawno niestrzyżone włosy, zmierzwiona, długa broda, stare ciuchy. Z drugiej strony żaden farmer, ranczer czy drwal nie będzie przecież stroił się do pracy. Mel poznała doskonale tutejsze warunki życia i panujące obyczaje. Ludzie tak tu się noszą, mocno przechodzone ubranie wcale nie musi oznaczać ubóstwa. W każdym razie Ian nie był brudny, nie śmierdział, więc jakoś tam dbał o siebie. W chacie stała wanna, panował porządek, a sam jej właściciel, potężny chłop, robił wrażenie dobrze odżywionego.

Dok szybkim krokiem dopadł hummera i usadowił się za kierownicą, co wywołało grymas na twarzy Mel.

– Proszę, jaki żwawy mimo swojego artretyzmu – mruknęła zgryźliwie.

– Panie Buchanan, miał pan absolutną rację, to grypa. Marcie musi odpoczywać, spać, pić dużo płynów. Zapewne minie kilka dni, zanim poczuje się lepiej, myślę, że około tygodnia, zależy, jak szybko zareaguje na leki. Proponowałam, że umieścimy ją w naszej salce szpitalnej w przychodni, ale powiedziała, że woli zostać tutaj. Pytanie, czy chce pan mieć ją pod swoim dachem. Nie ma pan wobec niej żadnych zobowiązań. Dok pozwolił jej chodzić do wygodki, tyle że musi się opatulić. Nie będzie wymagała jakiegś szczególnej troski, ale to w końcu pański dom.

– Chce zostać? – Ian uniósł brwi. – Tutaj?

– Tak powiedziała, prosiła też przekazać panu, że ma osiemdziesiąt dolarów na swoje utrzymanie.

– Jezu. – Ian pokręcił głową. – Oczywiście, że może u mnie zostać, chociaż nie rozumiem dlaczego. Nie jestem wymarzonym towarzyszem.

– Myślę, że jest wdzięczna za dotychczasową troskę, za to, jak się pan nią zajął. Może są jeszcze jakieś inne powody, ale nie wspomniała o nich. W każdym razie, żeby sprawa była jasna, w każdej chwili mogę przyjechać i zabrać ją do naszej salki szpitalnej. Decyzja należy do pana. Gdyby obecność Marcie zaczęła panu ciążyć, niech da mi pan znać.

– Zajmę się nią. Mam bulion i soki, kupiłem połówkę kurczaka na rosół.

– Świetnie. Widzę, że wie pan, jak dbać o chorych. Mogłabym w czymś panu pomóc?

– Dostała leki?

– Antybiotyk w zastrzyku, który nie zdziała cudów w przypadku wirusa. Ma pigułki, ma coś na kaszel, najnowszy syrop. Wszystko jest kwestią czasu, czasem grypa mija po kilku dniach, ale może trwać nawet kilka tygodni. Na szczęście Marcie jest młoda, silna i w dobrej kondycji. Miejmy nadzieję, że pan się nie zarazi.

Ian wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Mel, która pracowała w górach północnej Kalifornii już od jakiegoś czasu, podejrzewała, że to cały majątek tego odludka. Ludzie w tych stronach nie mieli kart kredytowych ani książeczek czekowych, polegali na gotówce. Ten zwitek miał mu wystarczyć przez jakiś czas na wszystko, na paliwo, jedzenie...

– Ile jestem wam winien?

– Niech policzę. Dziesięć za antybiotyk i dziesięć za pozostałe leki.

– A za wizytę domową?

– Pięć za benzynę? – podsunęła Mel.

– To wszystko? – zdziwił się Ian. – Liczy pani po kosztach? A może Marcie dała pani jakieś pieniądze?

– Nie wzięłam od niej żadnych pieniędzy – odparła z uśmiechem. – Nie robimy interesów, nie próbujemy za wszelką cenę zbijać kasy. Ja to nazywam wiejską medycyną, skromnie, prosto, tanio, taka zasada. Na dłuższą metę to się naprawdę opłaca.

– Ile by pani policzyła, gdybym mieszkał w wielkim domu i jeździł superbryką?

– Taki ktoś płaciłby ze swojego ubezpieczenia.

Ian parsknął śmiechem. Stary Dok nie miał hummera ani ślicznej pielęgniarce, kiedy umierał Raleigh, ale zawsze powtarzał:

– Masz osiemdziesiąt osiem lat, jesteś ciężko chory, nie będę brał od ciebie pieniędzy, coś musisz zostawić sobie na pogrzeb.

Ian odliczył trzydzieści dolarów i podał Mel.

– Nie zabieram pani jedzenia od ust?

– Mądrze wybrałam męża, bo wyszłam za właściciela baru, więc jadam lepiej, niż się powinno. Dok też nie narzeka i nie chodzi z pustym żołądkiem, ale dziękuję. Tych dodatkowych pięć dolarów przyda się dla kogoś w potrzebie. Obiecuję, że zrobię z nich dobry użytek. – Wsiadła do samochodu.

Ian wrócił do chaty, dorzucił drewno do piecyka, zdjął kurtkę, zakasał rękawy, wyszorował ręce, po czym napompował wody do rondla, ustawił go na propanowej kuchence, odwinął z papieru kurczaka i wrzucił go do garnka. Pokroił cebulę, seler i wrzucił do wody, na powrót włożył kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Marcie słyszała, że ładuje drewno na furgonetkę. Pogwizdywał, ale nie śpiewał. Miała nadzieję, że nie z jej winy.

To śpiewanie było dla niej absolutnym zaskoczeniem. Bobby nigdy o tym nie wspominał, Ian w swoich listach też nic nie pisał o muzyce. Twardy, potężny żołnierz piechoty morskiej wyśpiewujący serenady, jakże to tak? Miał zwierzać się żonie przyjaciela, że kocha śpiewać i ma anielski głos?

Stawy ją bolały, wciąż miała gorączkę, spróbowała zatem uciec w sen. Drzemała. Od czasu do czasu dochodziły do niej odgłosy rąbania drewna i pogwizdywanie, trzask polan wrzucanych na skrzynię furgonetki. I znowu przysypiała.

Aż wreszcie na dobre obudził ją rozkoszny zapach. W chacie panował mrok rozpraszany tylko przez żarówkę nad stołem i blask idący z piecyka. Słońce dawno zaszło, a na kuchence dochodził rosół.

Ian siedział przy stole, miał na sobie spodnie od dresu i granatowy T-shirt. Spodnie i koszula, w które ubrany był wcześniej, leżały na skrzyni. Marcie uniosła się na łokciu.

– Co robisz?

Ian zamknął książkę.

– Czytałem. Chcesz... iść do toalety?

– Tak. – Marcie usiadła, podniosła się, zachwiała i ponownie opadła na kanapę. – Możesz podać mi dżinsy i buty?

– Jasne. – Bezzwłocznie spełnił prośbę, po czym sam włożył buty i kurtkę. – Pomóc ci? – zapytał odwrócony do Marcie plecami.

– Dam sobie radę. – Wciągnęła dżinsy, wzięła buty na białe stopy. – Jest tu gdzieś moja kurtka?

Zdjął kurtkę z oparcia krzesła i podał Marcie.

– Wrócę za moment...

Nie przekonała go. Chwycił ją na ręce i poniósł do drzwi.

– Jesteś osłabiona. Może to nadmiar snu, nie wiem, w każdym razie nie zamierzam znów zbierać cię z ziemi. Nie pozwolę, żebyś szarżowała.

– Pozwoliłeś mi zostać – powiedziała, gdy niósł ją przez podwórze.

– Pielęgniarka powtórzyła mi, że tego chciałaś, chociaż nie rozumiem dlaczego.

– Lubisz mnie. – Oparła mu głowę na ramieniu i objęła za szyję. – Spróbuj zaprzeczyć. – Właśnie teraz musiała rozkasłać się paskudnie, siejąc zarazki.

Ian szybko odwrócił twarz, chrząknął, i przed drzwiami wychodka ostrożnie postawił Marcie na ziemi.

– Nie musisz mnie już nieść – oznajmiła po wyjściu. – Wrócę do chaty o własnych siłach.

– Tylko nie upadnij. Nie chcę zbierać cię z ziemi – powtórzył. – Możesz chwycić się mnie. Przykro mi, że w chacie nie ma łazienki, tym bardziej przykro, gdy jesteś chora.

– I tak uważam to za luksus. W czasie podróży korzystałam z toalet na stacjach benzynowych, zanim ułożyłam się do snu w samochodzie. Zwykle wytrzymałam do rana, ale zdarzało się, że w nocy musiałam kucać gdzieś za krzakiem, w chłodzie, przy pustej drodze.

W oczach Iana pojawił się ciepły błysk.

– Jesteś twarda, chociaż na taką nie wyglądasz.

– Nie wiem, czy jestem twarda. W każdym razie teraz jestem chora i słaba jak mucha, ale... – Spojrzała na niego zadziornie. – Ale potrafię być równie uparta jak ty. – Gdy Ian wydał jakiś dziwny dźwięk, spytała: – Cholera, czyżbym się przesłyszała? A może to naprawdę był śmiech?

– Kaszel – skłamał. – Musiałem się zarazić od ciebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po powrocie do chaty Marcie ułożyła się z powrotem na kanapie, a Ian podszedł do kuchenki, na której stał garnek z rosółem.

- Zjesz trochę zupy?
- Chętnie. Wspaniale pachnie.
- Rosół z kury, trochę jarzyn, nic specjalnego.
- Nie bądź taki skromny.

Patrzyła, jak nalewa zupę do wielkiego kubka, stawia na tacce, kładzie obok łyżkę, dodaje kromkę chleba z masłem na talerzyku.

– Nie mam zbyt wielu naczyń, tylko najpotrzebniejsze. – Podał jej jedzenie. – Uważaj, gorące.

Marcie ustawiła tackę na kolanach.

- Ale radzisz sobie doskonale z tym, co posiadasz.
- Im mniej do zarządzania, tym łatwiej zarządzać.

Podszedł do kuchenki i nalał sobie zupy, po czym usiadł przy stole.

Marcie spróbowała kilka pierwszych łyżek rosółu. Albo był wręcz doskonały, albo tak strasznie zgłodniała.

Przeniosła się z tacą do stołu i usiadła naprzeciwko Iana.

Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

- Świetna zupa – pochwaliła. – Mogę zjeść tutaj, razem z tobą?
- Jeśli masz ochotę. – Wzruszył ramionami.
- Ian, moglibyśmy porozmawiać...

W zapadłej ciszy odłożył łyżkę, odchylił się w krześle, po czym oznajmił:

– Powiem to najprościej, jak się da. Przez kilka ostatnich lat zrobiłem wszystko, żeby zapomnieć o Iraku, jednak co jakiś czas wspomnienia wracają,

przyprawiają o ból głowy, miewam sny, które nie są zbyt przyjemne. Nie chcę o tym rozmawiać, nie chcę odpowiadać na żadne pytania.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– Marcie, jeśli przyjechałaś o tym rozmawiać, tylko niepotrzebnie tracisz czas.

Podniosła łyżkę do ust, wbiła wzrok w kubek.

– Nie sędzę, bym traciła czas.

– Jak twoja rodzina zareagowała, kiedy postanowiłaś mnie szukać?

– Siostra nie była zbyt zadowolona. – Wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Nie?

– Powiedziała, że to głupi pomysł, lekkomyślność. – Odetchnęła głęboko. – Że nie zdaję sobie sprawy co robię, w co się pakuję. Że jesteś obcym człowiekiem.

– Tu akurat miała rację.

– W pewnym sensie, choć nie do końca. Przecież znałam cię z listów i nie wierzyłam, żebyś się bardzo zmienił. I widzisz, miałam rację, okazałeś się naprawdę miłym facetem. – Gdy Ian tylko prychnął w reakcji na komplement, dodała szybko: – Możemy porozmawiać o czymś innym. – Położyła dłoń na książce, która leżała na stole. – O tym, co czytasz. Wypożyczasz książki w bibliotece?

– Nic mnie to nie kosztuje. Korzystam z karty, którą wyrobił stary Raleigh, poprzedni właściciel chaty. Nadal ją uznają, chociaż doskonale wiedzą, że to nie moja karta. Ale jestem stałym czytelnikiem i książki zwracam w terminie, więc nikt się nie czepia.

– Opowiedz mi o tym starym, który tu mieszkał. Doktor Mullins mówi, że się nim opiekowałeś.

Ian zjadł kilka łyżek zupy.

– Pod koniec. Najpierw to on opiekował się mną. No, w pewnym sensie.

Marcie czekała, ale Ian nic nie dodał, więc wreszcie spytała:

– Czyli w jakim sensie?

Dopił wprost z kubka resztkę rosółu, po czym odstawił naczynie.

– Spałem w lesie, pod gołym niebem. Chciałem kilka dni odpocząć, zanim ruszę dalej. Tak na mnie natrafił. Był strasznie stary, bezzębny, chudy jak patyk. Mieszkał tu samotnie przez dobrych pięćdziesiąt lat. Nie miał żony, żadnej rodziny, nikogo. Znalazł mnie śpiącego w śpiworze, przysypanego śniegiem. Kopnął mnie.

– Kopnął cię? – powtórzyła Marcie oburzona.

– Kopnął, a ja zerwałem się na równe nogi. „A więc jeszcze nie umarłeś – stwierdził. – I bardzo dobrze, bo zwierzęta by miały ucztę. Nie mógłbym cię pochować, ziemia jest zamrznięta, a ja jestem stary i brak mi sił”. Tak się poznaliśmy. Zmierzył mnie kilka razy od stóp do głów niechętnym wzrokiem, w końcu powiedział, że mogę spać w jego chacie, jeść jego jedzenie, jeśli będę palił w piecu i pomagał mu w gospodarstwie. W tym czasie nie potrafiłem podjąć żadnej rozsądnej decyzji, przed sobą nie miałem żadnych perspektyw. Jeszcze dwa dni odmrażałem tyłek w lesie, w końcu zapukałem do chaty. „Wreszcie – przywitał mnie. – Już myślałem, że po tobie”. Tylko tyle. Mieliśmy prosty układ. Rzadko kiedy rozmawialiśmy.

– W ogóle nie rozmawialiście z sobą?

– Po miesiącu czy dwóch zaczęliśmy, ale bardzo zdawkowo. Żył tak długo samotnie, że nie tęsknił do gadania o tym i owym. Jak ja teraz. – Rzucił Marcie niechętnie spojrzenie, ciągnął jednak dalej: – Rąbałem drwa na opał, czasami złowiłem jakąś rybę, ustrzeliłem ptaka albo królika, bo Raleigh miał strzelbę. Zrzucałem śnieg z dachu i woziłem starego furgonetką, kiedy chciał

załatwić coś w mieście, odebrać rentę albo kupić coś do jedzenia. Drewno szybko wychodziło, prawie codziennie rąbałem nowy zapas. Nie wiedziałem, ile ziemi należy do posiadłości, bo jak okiem sięgnąć, nie dojrzysz sąsiadów, wokół tylko lasy i lasy.

– Dzikie piękno, samotność... – szepnęła jakby do siebie.

– No właśnie... – Zadumał się na moment, potem lekko uśmiechnął. – Pierwsze drzewo, które ściałem, omal nie obaliło się na dom. Wtedy stary zaczął mówić. Myślałem, że nigdy nie skończy mnie opieprzać. Kiedyś pojechaliśmy do miasta na zakupy i na pocztę, a jak już się z tym uwinęliśmy, stary zabrał mnie do biblioteki i zaproponował, żebym wybrał sobie jakąś książkę, jeśli mam ochotę. On brał książki dla dzieci, dużo ilustracji, mało tekstu, duża czcionka. Nigdy go nie pytałem, ale myślę, że krótko chodził do szkoły. Kiedy się ociepliło, pokazał, gdzie chciałby mieć warzywnik. Powiedział, że mogę wiosną i latem rąbać drwa, zrobić zapas i sprzedawać zimą wprost z furgonetki. Chętnie skorzystałem z propozycji. Podsunął mi sposób zarabiania pieniędzy. Ot, i cała historia.

– Trochę smutno mieszkać z kimś takim – podsumowała Marcie.

– Jakoś przywykłem do starych, zamkniętych w sobie ludzi.

Gdy Marcie skończyła zupę, Ian ponownie napełnił kubki.

– Za dużo, dla mnie tylko pół porcji – powiedziała, skubiąc chleb.

– Musisz jeść. Jesteś strasznie mizerna.

– Może, trochę. No, ta włóczęga za pewnym facetem ociupinę dała mi w kość, ale spoko, nic złego się nie dzieje. Po prostu łatwo tracę na wadze. Jeśli przestaję się pilnować, natychmiast chudnę i wyglądam na niedożywioną.

– Najwyraźniej nie pilnowałaś się ostatnio.

– Musiałam oszczędzać, żeby mieć na benzynę – powiedziała cicho.

– Oszczędzałaś na benzynę, żeby dalej mnie szukać?

Podniosła głowę.

– Zauważyłeś, jak bardzo zdrożało ostatnio paliwo?

– Jezusie z Nazaretu... – Ian pokręcił głową. – Dopóki tu jesteś, musisz jeść jak najwięcej. Chleb, masło orzechowe, konfitury, owoce, soki... Wszystko jest w domu.

– Powiedziałeś, że to cała historia, a przecież stary zachorował, prawda? A na ciebie spadły wszystkie obowiązki.

– Jak to w życiu. – Ian wzruszył ramionami. – Nie mogę powiedzieć, żeby pojawiła się między nami prawdziwa zażyłość, ale miałem wobec niego dług wdzięczności. Dał mi dach nad głową, nie skąpił nigdy jedzenia. – Znów zadumał się na chwilę. – Raleigh trzymał się, dopóki mógł, lecz wreszcie powaliła go choroba. Opierał się, ale sprowadziłem doktora Mullinsa. Widzisz, kiedy ludzie tutaj chorują, nie mają zwyczaju robić badań, tym bardziej jak ktoś przekroczył osiemdziesiątkę. Doktor zaproponował, że zabierze starego do szpitala, gdzie się nim zajmą jak należy, na co Raleigh powiedział, że prędzej sobie w łeb strzeli. Koniec dyskusji. Doktor zostawił lekarstwa, przyjeżdżał jeszcze kilka razy. Po pół roku stary umarł we śnie. Pojechałem po doktora, bo musiał stwierdzić zgon. Wtedy pokazał mi zapis, który podyktował mu Raleigh już w chorobie, „Ian Buchanan może przejąć moją chatę, ziemię, furgonetkę oraz pieniądze, jakie są w domu, minus to, co trzeba przeznaczyć na pogrzeb”. Podpisał ten zapis, doktor też się podpisał jako świadek. Nie sądziłem, żeby taki testament mógł być ważny. W puszcze było akurat tyle pieniędzy, żeby urządzić skromniutki pogrzeb. Kiedy zapytałem doktora co z chatą i ziemią, odpowiedział, żebym nie prosił się o kłopoty.

– Co miał na myśli? – ze śmiechem spytała Marcie.

– Żebym zostawił wszystko, jak jest, bo taka posesja to wrzód na dupie i czyrak pod pachą, chyba że znajdę frajera na kupno, poza tym te sprawy spadkowe to następny ropień. Jednak się uparłem, bo ta posesja to żaden wrzód na dupie, tylko szansa na takie życie, jakie przynajmniej na razie mi odpowiada, a wtedy doktor powiedział, że ma znajomego prawnika, i on załatwił sprawę. Udało się przenieść na mnie prawo własności, bo nikt nie kwestionował, że byłem opiekunem poprzedniego właściciela, który właśnie zmarł, a spadkobierców nie miał żadnych. Sprytnie to wykombinował. Przerejestrowałem furgonetkę na siebie, płacę podatki za ziemię i chatę.

– Czy ta góra tam dalej należy do ciebie? – zapytała Marcie.

– Nie ma żadnej wartości, bo wyrąb jest zakazany. Mam tę chatę i kawałek lasu, to wszystko. No i podatki do płacenia. Jakoś wiązę koniec z końcem, ale często wydatki są większe niż to, co zdołam zarobić. W każdej chwili mogę wszystko stracić, jeśli choć raz nie zapłacę podatku.

– I wtedy będziesz musiał się stąd wynieść?

– I pomyśleć o czymś innym. – Wzruszył ramionami. Marcie w milczeniu dokończyła zupe, po czym spytała:

– Stary był bardzo chory? Wymagał wiele opieki?

– Prawie nie wstawał z łóżka, a miał nędzne łóżeczko z cieniutkim materacem. Nie mógł już jeść. I tak dalej. Ta choroba to była starość, galopujący ubytek sił, byle infekcja stawała się śmiertelnym zagrożeniem. Kiedy umarł, spaliłem to jego biedne wyrko.

– Sypiasz zwykle na kanapie?

– Nie, jest dla mnie za krótka i zapada się pod moim ciężarem. Śpię na sienniku koło piecyka i jest mi bardzo wygodnie. Gdybym chciał, mógłbym kupić za grosze używane łóżko, ale nie chcę.

– To trudne opiekować się kimś, kogo się prawie nie zna. Musiał być ci bardzo wdzięczny, skoro zostawił ci wszystko, co posiadał.

Ian ryknął śmiechem.

– Wszystko, co posiadał? Matko Przenajświętsza. Jednoizbowa chata bez prądu, z pompą zamiast bieżącej wody. Nie mam nawet łazienki. Kiedy tu zamieszkałem, nie było piecyka, nie było światła. Z czasem kupiłem wannę, generator, piecyk, tę kanapę, krzesła. Brakuje mi prysznicza, ale nie mam pojęcia, jak miałbym go tu zainstalować.

– Wiesz, tego pierwszego wieczoru, kiedy tu przyjechałam – powiedziała cicho Marcie – naprawdę mnie wystraszyłeś...

– Jak widać niezbyt skutecznie, bo rozum ci nie wrócił.

– To już mój problem, nie twój. Ale skoro zacząłeś o rozumie... Jak coś sobie postanowię, nikt mnie od tego nie odwiedzie. Kiedy siedziałam w samochodzie, jadłam to, co zostało mi z lunchu, i patrzyłam na zachodzące słońce, na pierwsze płatki śniegu, miałam wrażenie, że nigdy nie widziałam piękniejszego miejsca. Pojawiła się nawet tęcza! Wszystko było takie nieskalane, wspaniałe. Miasto może mieć swoje plusy, ale czegoś takiego nie kupisz za żadne pieniądze.

Ian milczał przez chwilę, zanim się odezwał:

– Wiesz, co Bobby mówił o tobie? Że jesteś prawdziwym pistoletem.

– Czyżbyś jednak wracał do wspomnień? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Udajmy, że nic nie powiedziałem. Powinnaś się już położyć.

– A ty?

– Zaraz rozłożę siennik i też będę się kładł. Śpij już, powinnaś dużo spać. Poza tym nie jestem przyzwyczajony do rozmów i czuję się zmęczony.

– W porządku. – Podniosła się od stołu i spojrzała na książkę. – „Thomas Jefferson”. Czytałeś o Johnie Adamsie? Lubisz biografie? – Gdy potaknął, dodała: – Ja też. Bardzo lubię tę książkę. Podziwiam Abigail, była niezwykła. Została sama na farmie, z dziećmi, prawie bez pieniędzy, w kraju ogarniętym rewolucją, i potrafiła dać sobie radę. Jest moim idolem. Chciałabym być taka jak Abigail Adams.

– Bo potrafiła dać sobie radę?

– Bo potrafiła cieszyć się życiem, nigdy się nie skarżyła, bo wspierała Johna we wszystkim co robił. Jestem feministką i nie powinnam podziwiać kobiety, która była tylko towarzyszką mężczyzny, żoną i matką. Ale ona tworzyła siebie, jakby brała udział w budowaniu Ameryki. I te ich listy, w których proszą się nawzajem o rady. Byli przyjaciółmi, szanowali swoje poglądy. No i byli kochankami, bo dochowali się całej gromadki dzieci. Byli prawdziwymi partnerami na długo przedtem, zanim ktokolwiek zaczął mówić o partnerskich związkach małżeńskich. A ona...

– Bardzo lubię biografie – przerwał jej, jakby dość miał już zachwyty nad Abigail. – Nie pytaj dlaczego, nie potrafiłbym odpowiedzieć.

Marcie usiadła na kanapie i zzuła buty.

– Może lubisz po prostu śledzić ludzkie losy, zastanawiać się, dlaczego toczą się tak, a nie inaczej. To tajemnica, którą trudno wyjaśnić, prawda?

Ian nie odezwał się. Napompował wody do zlewu i umył naczynia po kolacji, potem przykrył garnek z rosółem pokrywką.

– Nie masz przecież lodówki...

– Ale mam komórkę, w której można przechowywać jedzenie. Nie da się tam trzymać jajek ani mleka, ale jeśli zupa zamarznie, nic złego się jej nie stanie. Następnego dnia można ją odgrzać i będzie dobra.

– Komórka jako lodówka... – Marcie z westchnieniem wyciągnęła się na kanapie. – Załadowałeś już drewno na furgonetkę?

– Tak. Jak się obudzisz, a mnie już nie będzie, nie idź do wychodka, tylko skorzystaj lepiej z nocnika...

– Jeśli nadal będę osłabiona, skorzystam, ale czuję się już znacznie lepiej, jestem tylko trochę zmęczona.

– Oprócz chleba, masła, konfitur i soków, jest cały zapas puszek, zupy, fasolka, możesz sobie którąś otworzyć. Ja pewnie zajrzę na chwilę po kolejny ładunek drewna. – Wziął garnek z zupą i ruszył do drzwi.

– Dziękuję, Ianie, że tak się mną opiekujesz. Wiem, że jestem dla ciebie wielkim kłopotem.

Nic nie odpowiedział, zatrzymał się tylko na chwilę, nim wyszedł.

Marcie ułożyła się wygodnie na kanapie. Chata urządzona była skromnie, tylko kilka absolutnie niezbędnych sprzętów, ale czuła się tu znakomicie, bo wreszcie znalazła Iana. Gdyby chata należała do niej, pomyślałaby o miseczkach do zupy i talerzach, o kilku przyzwoitych meblach, o łazience.

Przypomniała sobie słowa Mel:

– Muszę go zapytać, bo chyba nie ma zbyt wiele pieniędzy.

Rzeczywiście nie miał, to nie ulegało kwestii. Trudno powiedzieć, ile warta była ziemia, którą posiadał, czy w ogóle miała jakąś wartość. Ile tej ziemi było, spłachetek czy całe włości? Ian robił takie wrażenie, jakby niewiele go to obchodziło.

Cieszyła się, że pomimo wszystko jakoś sobie radzi. I że pozwolił jej zostać w chacie, kiedy potrzebowała opieki. A przecież reprezentowała przeszłość, jej obecność budziła wspomnienia, wszystko, od czego chciał uciec.

Po powrocie dorzucił drewno do piecyka, rozłożył siennik, zgasił światło i położył się.

- Przepraszam, że wystraszyłem cię swoim rykiem
- usłyszała po dłuższej chwili jego głos w ciemnościach.
- Nie ryczę znowu tak często.

Marcie uśmiechnęła się i opatulila pledem. Dawno nie było jej tak dobrze jak w tej chwili.

Kiedy obudziła się rano, Iana już nie było. Wciągnęła dzinsy, wyszła przed dom i zobaczyła szybującego nisko wspaniałego orła.

Przez następne dwa dni mnóstwo spała. Nie tylko walczyła w ten sposób z grypą, po prostu nie miała nic lepszego do roboty, Ian wracał wczesnym popołudniem i to on zajmował się domem, rąbał drewno na następny dzień i ładował je na furgonetkę, wracał, mył się i przebierał w domowe rzeczy, czyli w spodnie od dresu i T-shirt. Przywoził zawsze coś do jedzenia i przygotowywał prostą kolację, fasolkę, spaghetti z sosem pomidorowym, duszone mięso.

Któregoś popołudnia obudziła się z długiej drzemki i zobaczyła go zupełnie nagiego przy zlewie.

Przyglądała się mu się zaskoczona, podziwiając muskularną sylwetkę, długi kucyk sięgający łopatek, zgrabną pupę, długie nogi. Dopiero po chwili do jej zaspanej głowy dotarło, że Ian się myje. Namydloną myjką przejechał pod pachami, po karku. Wydała jakiś dziwny pisk i zażenowana odwróciła się twarzą do oparcia kanapy. Ian nie odezwał się słowem, ale słyszała jego cichy śmiech, który przez wiele godzin brzmiał jej w uszach. Kiedy usiedli do kolacji, była tak czerwona jak sos pomidorowy na jej makaronie.

To normalne, że musiał kiedyś się myć, a ona wdarła się w jego prywatną przestrzeń, zakłócała ją. Nie powinna się dziwić, że go zobaczyła

przy zabiegach higienicznych. Ona mogła to robić pod jego nieobecność, on nie miał tego komfortu.

Mógł jednak obudzić ją i uprzedzić:

– Słuchaj, chcę się teraz rozebrać i umyć, więc odwróć się, żeby nie czuć zakłopotania.

Byłoby miło z jego strony, ale tego nie zrobił. Był w końcu u siebie, a mężczyźni mają to do siebie, że nie kępuje ich własna nagość. Nie przejmowali się, że ktoś może ich widzieć, oceniać.

Zjedli, trochę porozmawiali.

– Zwykle kładę się zaraz po kolacji, bo wcześniej zaczynam pracę. – Ian wstał od stołu, zmył naczynia.

Mimo że Marcie przespała prawie cały dzień, po kilku minutach leżenia w ciemnościach, w miłym cieple, już spała. Kiedy obudziła się rano, Iana nie było.

Bardzo lubiła ich wieczorne rozmowy, wypytywała Iana o różne sprawy, ale wyznaczonej granicy nigdy nie ośmieliła się przekroczyć. Kiedy zaczęła opowiadać o wielkiej, kochającej się rodzinie Bobby'ego, zacisnął mocno powieki, jakby dawał jej znak, że nie może tego słuchać. Irak, który uczynił z Bobby'ego roślinę, jego okaleczył psychicznie i trauma dotąd nie minęła.

– Poznałam twojego ojca – powiedziała Marcie któregoś wieczoru, zdobywając się na odwagę. Na te słowa Ian uniósł wzrok, w brązowych oczach coś błysnęło. – Jest bardzo chory. – Jediną reakcją było to, że Ian wbił spojrzenie w talerz i nad wyraz skwapliwie zajął się hamburgerem. – Nie przyjął mnie zbyt miło. Zrobił na mnie niesympatyczne wrażenie – ośmieliła się wypowiedzieć swoją opinię.

Ian zaśmiał się krótko, z ironią.

– Odpychający człowiek, prawda?

– Myślałam, że to sprawa wieku i choroby.

– Źle myślałaś. Zawsze był taki.

– Jest schorowany...

Ian gwałtownie poderwał głowę, w jego oczach malował się gniew.

– Nigdy nie miałem z nim dobrego kontaktu. Tyle w nim złości, goryczy.

Marcie z trudem przełknęła kolejny kęs.

– Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Ian odetchnął głęboko.

– Ja nic go nie obchodzi, rozumiesz? – Z trudem panował nad głosem. – To, że nie wie, gdzie się podziewam i jak żyję, że w ogóle nic o mnie nie wie, na pewno nie przyprawia go o bezsenność.

– Ale on jest chory...

– Marcie, moja matka zmarła, kiedy miałem dwadzieścia lat. Potem regularnie odwiedzałem ojca, sprawdzałem, co u niego, jak sobie radzi. Tymczasem on przez siedem lat ani razu nie odezwał się do mnie. Siedem lat.

Marcie gardło się ścisnęło.

– Ale ty się odzywałeś?

– Tak. – Ian patrzył w talerz. – Tak.

– To musiało być bolesne.

Milczał, długo nie odpowiadał.

– Może bolało, kiedy byłem młodszy – powiedział w końcu.

– Stary głupiec – stwierdziła Marcie, wracając do jedzenia. – Idiota.

Żałuję, że poruszyłam ten temat.

– Nie wiedziałaś.

– Jego strata, tylko tyle mogę powiedzieć.

Ian skończył w milczeniu swoją porcję, wstał od stołu i zabrał się do mycia naczyń.

– Pora się kłaść – rzucił. Czyli koniec rozmowy.

Mijał czwarty dzień pobytu Marcie u Iana. Ciągle jeszcze kasłała, ale czuła się znacznie lepiej. Na tyle lepiej, że zaczynała jej dokuczać bezczynność.

Wstała, zjadła kromkę chleba z miodem, napiła się wystygłej kawy, którą Ian przygotował przed wyjściem, i próbowała czytać jakąś biografię. Po jakimś czasie wyszła na zewnątrz. Powietrze było przejrzyste, rześkie, niebo bez jednej chmurki, na ziemi leżał świeży śnieg.

Nie chciało jej się wkładać dżinsów, miała tylko wysokie do pół łydki buty na nogach i długą flanelową koszulę Iana na grzbiecie. Mogłaby się ubrać i pójść na spacer, ale bała się zgubić w gęstym lesie, dlatego kręciła się wokół chaty, kontemplując cudowną przyrodę.

Nagle usłyszała warczenie. Włosy stanęły jej na karku. Obejrzała się trwoźliwie. Między drzewami stało straszne zwierzę. Na jej widok przywarło do ziemi, gotując się do skoku, obnażyło kły. Drapieżnik, wielki kot, cały płowy, trochę większy od golden retrievera. Nie potrafiła go zidentyfikować, nie знаła tego gatunku. Spojrzała ku chacie i wtedy kot wyskoczył na podwórze.

Marcie zdążyła dopaść do wychodka i zatrzasnęła drzwi.

Próbowała zebrać myśli, zastanowić się, co dalej, gdy usłyszała łoskot. A więc drapieżca usiłował dostać się do niej! Drapał w drzwi, warczał. Cholera!

Robiło jej się zimno, ale z dwojga złego lepiej zamarznąć na śmierć niż być rozszarpaną przez tajemniczego dzikiego kota. Wstała, opuściła klapę i przygotowała się na dłuższe posiedzenie. Cóż, musi przeczekać wizytę drapieżnika. Głupio zrobiła, że nie włożyła dżinsów, ale skąd mogła wiedzieć,

że będzie miała towarzystwo? Nie wiedziała nawet, ile czasu może tu tkwić, bo oczywiście nie wzięła zegarka.

Od czterech dni nie zdejmowała wielkiej koszuli flanelowej Iana, spała w niej, jadła, chodziła po chacie i na zewnątrz. Przejechała dłonią po włosach. Miała na głowie szopę. Myła codziennie zęby, zmieniała majtki, ale poza tym na pewno zarosła brudem. Musiała wyglądać jak włóczęga, nieszczęsna bezdomna uwięziona w wychodku Iana.

Spojrzała ponownie na nadgarstek, na którym nie było zegarka, i zaczęła po cichu liczyć sekundy, żeby zorientować się w upływie czasu. Jak długo ten duży kot czy mały lew będzie czekał na swoją ofiarę? On miał futro, ona tylko flanelową koszulę, i choćby na tym polu nie byli równymi przeciwnikami. Kombinowała, że otworzy drzwi i sprawdzi, czy zwierzę nadal waruje na podwórzu. Jeśli go nie dojrzy, może zdoła przemknąć do chaty?

Jak pomyślała, tak zrobiła. Bardzo ostrożnie uchyliła drzwi wychodka i wysunęła głowę. Nie zobaczyła futrzanego potwora, więc wyszła – i wtedy go usłyszała. Czaił się koło komórki, jakieś sześć metrów od niej. Cofnęła się i zatrasnęła drzwi.

– Cholera! – zaklęła głośno. – Cholera, cholera, cholera.

Podciągnęła kolana pod brodę i próbowała okryć gołe nogi koszulą. W wychodku nie było nic, czego mogła by użyć jako broni, nie było też choćby kawałka gazety, nic do czytania. Cały Ian, tylko to, co niezbędne. Nie miał w domu ani jednej książki, wszystkie pożyczał z biblioteki. Zaczęła trząść się z zimna i co gorsza, kasłać. Próbowwała powstrzymać kaszel, nie chciała, by kot ją słyszał, mógłby znowu rzucić się na drzwi wychodka, próbować dostać się do środka.

Trudno, zamarznie tutaj na śmierć. Nie pamiętała, jak to było pierwszego wieczoru, kiedy omal nie zamarzła, a skoro nie pamiętała, więc musi być to bezbolesny proces.

W końcu usłyszała nadjeżdżającą furgonetkę, ten stary, głośny silnik. Nie mógł być to nikt inny tylko Ian.

Przerażona zerwała się na równe nogi. Przecież ta mała bestia, która czaiła się na podwórzu, zaraz zaatakuje Iana!

Kiedy usłyszała, że już zaparkował, uchyliła drzwi.

– Ian, uważaj, koło szopy jest...

Nie dokończyła, bo agresor rzucił się ku niej. Zatrzasnęła natychmiast drzwi, rada, że zaatakował ją, a nie nieprzygotowanego Iana.

Pięknie, pomyślała. Ona siedzi uwięziona w kłocie, a Ian albo w furgonetce, albo w chacie. Zimno jak jasna cholera. Wspaniale.

Kiedy tak narzekała w myślach, rozległ się potężny huk. Marcie podskoczyła, wstrzymała oddech. Drzwi wychodka otworzyły się i stanął w nich Ian z wielką strzelbą w dłoni.

– Jak długo tu siedzisz? – zapytał zaniepokojony.

– Nie mam pojęcia. Całe wieki – odpowiedziała Marcie, dzwoniąc zębami.

– Skończyłaś? – zapytał głupkowato.

Marcie wybuchnęła śmiechem, po czym dostała ataku kaszlu. Śmiała się i kasłała na przemian.

– Tak, skończyłam i chciałabym wrócić do domu.

– Do domu? Marcie, twój samochód...

– Mam na myśli chatę, Ian. – Znowu zaczęła się śmiać. – Jezu, czy w ogóle nie masz poczucia humoru?

– To wcale nie było śmieszne. Nie wiem, dlaczego przyszedł tutaj. Nie ma śmietnika z resztkami jedzenia, nie trzymam drobiu, nie hoduję królików, nic, co mogłoby go przynęcić.

– Kręcił się koło szopy. Może lubi rosół?

– Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Podszedł tak blisko, nie kryjąc się przed ludźmi, zupełnie się nie bał...

– Co to za zwierzę?

– Puma – odpowiedział Ian. – Lew górski.

– Wiedziałaś, że puma. Nie zrobiłaś jej krzywdy?

– Marcie, ona chciała cię zjeść, a ty się martwisz o to, czy uszła cała?

– Nie chciałam, żebyś ją zastrzelił, niech sobie wraca, skąd przyszła.

– Przepędziłem ją. Uciekła. – Ruszyli szybkim krokiem do chaty. – Gdyby chciała zaatakować, potrafiłabyś ją zastrzelić?

– Nie.

– Nie?

– Nigdy nie miałam broni w rękę. Skończyłoby się na tym, że trafiłabym ciebie albo w ścianę chaty lub w wychodek. – Znów się zaśmiała. – Ten lew był za mały, bym zdołała w niego trafić. Masz dużą patelnię, prawda?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Od dzisiaj będę chodziła do klopa z patelnią. Kiedyś grałam w softball, kij jest co prawda lżejszy niż ten do bejsbolu, ale miałam bardzo dobre, mocne uderzenie.

Ian zatrzymał się, spojrzał na Marcie.

– Chryste. Zawsze zostaje jeszcze nocnik.

– Dama gotowa jest zaryzykować życie, żeby zapewnić sobie odrobinę prywatności – odparła z godnością.

Ian uśmiechnął się, naprawdę się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Ian następnego dnia wrócił do domu, zastał Marcie przy zlewie, gdzie myła twarz. Szopa na głowie przypominała perukę klauna.

– Lepiej się czujesz? – zagadnął, stawiając torbę z zakupami na stole.

– Znacznie lepiej. Dałabym wszystko, żeby móc umyć włosy.

– Chcesz umyć włosy? – powtórzył.

– Bardzo, ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Woda z pompy jest lodowata.

Ian zaśmiał się.

– Jesteś tutaj od kilku dni, ale nic nie widzisz – skomentował ze śmiechem. – Chyba niespecjalnie zwracasz uwagę na otoczenie. Mogę przygotować ci kąpiel.

– Ty się nie kąpałeś, od kiedy tu jestem.

– Odkładałem dzień kąpieli, wstawiałem do zlewu garnek z zagrzaną wodą i tak się myłem. Ale to nie przez ciebie. Uznałem, że trochę za zimno na pluskanie się w wannie.

– Owszem, akurat wannę zauważyłam – stwierdziła z przekąsem – ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić...

Ian pokręcił głową.

– Masz rację, nie jesteś przyzwyczajona do takich prymitywnych warunków. Powiem ci, jak to zrobić. Zagotuję wielki garnek wody na piecyku, ogrzeję przy tym dobrze izbę, drugi garnek z wodą nastawię na kuchence, zagrzeje się o wiele szybciej. Umyjesz włosy nad zlewem, a ja nastawię drugi garnek z wodą na kuchence i w ten sposób będziesz miała dwa garnki gorącej wody na kąpiel. Do wrzątku doleję trochę zimnej wody z

pompy, a ty się wykąpiesz. Nie będziesz miała tej wody zbyt dużo, bo szybko stygnie, nim zagrzeje się nowa porcja, ale na porządne mycie wystarczy.

– Jesteś wspaniałą, że chce ci się to wszystko robić dla mnie.

– Dla nas, Marcie. Wykąpię się po tobie, a jutro podjadę do pralni i upiorę wszystkie brudne rzeczy, również twoje, jeśli chcesz... – Gdy przestąpiła z nogi na nogę i przygryzła wargę, spytał zdziwiony: – Co się dzieje? Nie masz ochoty na kąpiel?

– Umieram z tęsknoty za kąpielą, ale... tutaj nie ma oddzielnego pomieszczenia... Jak zauważyłam, niespecjalnie ci to przeszkadza, ale...

Ian uśmiechnął się nieznacznie.

– Załaduję drewno na furgonetkę, kiedy będziesz się kąpała.

– Aha... – Zadumała się na moment. – A ja posiedzę w swoim samochodzie, kiedy ty będziesz się kąpał.

– Nie sądzę. Twój samochód zamienił się w igloo. Dziw, że nie zauważyłaś. Naprawdę nie zwracasz uwagi na otoczenie. Kupka lodu. Nie wspomnę już o lwach górskich.

– To co mam robić?

– Możesz się zdrzemnąć, poczytać coś, zamknąć oczy albo przyglądać się. W życiu potrzebny jest dreszczyk emocji.

Położyła dłoń na ustach.

– Nie przeszkadzałyby ci to ani trochę, prawda?

– Chyba nie. Kąpiel w takich warunkach to poważna sprawa, mnóstwo zachodu, a w zimie trzeba myć się lotem błyskawicy – oznajmił wyraźnie rozweselony.

– Co cię tak śmieszy? – fuknęła zirytowana.

– Tak sobie pomyślałem, że skoro jest zimno, i tak nie zobaczyłabyś zbyt wiele.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem, ale udała, że nie rozumie.

– Latem możesz wylegiwać się w kąpieli?

– Latem myję się w strumieniu. – Ian wyszczerzył zęby. – Rozczesz włosy, zanim je umyjesz. Wyglądasz jak czarownica z legend – podkpiwał. – Banshee, prawdziwa banshee...

Marcie wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Nie flirtuj ze mną, bo możesz pożałować. Banshee to groźna pani i robi ludziom niezłe kuku... – Rozkaślała się strasznie. W końcu przechodziła solidną gripę.

Ian zaczął pompować wodę do wielkiego garnka.

– Weź lekarstwa – przypomniał. – Strasznie rżęzisz. Nie chcę tego słuchać.

Pół godziny trwało, zanim można było napełnić zlew ciepłą wodą. Marcie podwinęła rękawy, schowała kołnierzyk do wewnątrz i wyjęła szampon z torby. Ian wyciągnął rękę.

– O co chodzi? – spytała zdziwiona.

– Daj mi ten szampon i nachyl się nad zlewem. Ja to zrobię.

– Dlaczego?

– Bo nie będziesz wiedziała, czy dobrze spłukałaś włosy. Tak będzie szybciej i wygodniej.

Marcie wzięła ręcznik, nachyliła się i zanurzyła głowę w ciepłej wodzie. Nie było to łatwe i nie dało wielkiego efektu, więc Ian zwilżał jej włosy, używając kubka, potem nałożył szampon i zaczął mycie. Te wielkie, spracowane dłonie okazały się nadzwyczaj delikatne. Mycie włosów zamieniało się w cudowny masaż głowy. Marcie zamknęła oczy, miała ochotę głośno wzdychać z rozkoszy.

– Ale nie będziesz nalegał, by ogolić mi nogi?

Jego dłonie znieruchomiały, Marcie miała wrażenie, że zeszywniał. Milczał tak długo, że bała się już, iż go obraziła.

– Marcie – odezwał się w końcu. – Po jakiego diabła golisz nogi?

– Bo są owłosione.

– No to co? Kogo to obchodzi?

Rzeczywiście. Tkwiła na szczycie wzgórza, na kompletnym odludziu, z facetem, który wyglądał jak Grizzly Adams, w chacie bez łazienki. Dlaczego chce golić nogi? I pachy.

– Kogo, kogo... Mnie obchodzi – odpowiedziała słabiutkim głosem.

Ian westchnął tylko i zaczął splukiwać jej włosy. Kiedy już wycierała je ręcznikiem, wyjął ze skrzyni świeżą koszulę i położył na kanapie. Tym razem była to stara dżinsowa bluza z wystrzepionymi mankietami, przetartym kołnierzykiem i różnymi guzikami.

– Włóż to. Flanelowa gotowa sama iść do pralni i rzucić się do pralki.

Kiedy się odwrócił, zdjęła koszulę i powąchała ostrożnie.

– Dowcipniś – mruknęła pod nosem.

Ian napełnił wannę, nastawił kolejny garnek z wodą na swoją kąpiel i zostawił Marcie samą.

Słyszała łoskot wrzucanego na furgonetkę drewna i pogwizdywanie, melodyjne, czyste, pełne zwrotów, pięknych przejść. Ian był naprawdę muzykalny. Tęskniła za jego śpiewem, ale dzisiaj tylko gwizdał.

Po kąpieli ogoliła jednak nogi i pachy, po czym włożyła czystą koszulę. Trochę dziwiła ją różnorodność guzików, ale widać Ian przyszywał, jakie miał pod ręką, kiedy gubił oryginalne. Starał się zachować stare rzeczy tak długo, jak to możliwe. Niezwykły facet. Żył jak dzikus w prymitywnej chacie, wyglądał jak jaskiniowiec z tą swoją brodą i długimi włosami, a troszczył się o starą garderobę.

Gdy wrócił, umył włosy i brodę nad zlewem, tyle że w przeciwieństwie do Marcie zdjął koszulę.

Próbowała czytać jakąś książkę, ale co chwila zerkła na jego szerokie plecy, podziwiała zgrabną pupę i wąskie biodra. Ukrywał swoje zalety pod mocno znoszonymi ubraniami, ale miał boskie ciało.

Nic dziwnego, skoro wykonywał taką pracę. Ścinał drzewa, rąbał polana, codziennie ładował przynajmniej sąg drewna na furgonetkę, potem wyładowywał. Dawało mu to lepszą kondycję niż steroidy i wizyty na siłowni.

Kiedy zobaczyła go pierwszy raz nagiego przy zlewie, odwróciła się zbyt szybko, żeby docenić, jak wspaniale jest zbudowany.

Sądząc po gęstych włosach i gęstej brodzie, spodziewała się obrośniętych pleców, ale nie, były gładkie, tylko klatkę piersiową miał owłosioną. Na obu ramionach widniały tatuaże, orzeł na prawym, na lewym USMC, skrót oznaczający United States Marine Corps.

Czekając, aż woda się zagrzeje, ściągnął na powrót włosy w kucyk i wyszczotkował brodę.

Teraz zrozumiała przeznaczenie ogromnych garnków stojących zwykle koło szafki kuchennej. Nie służyły do gotowania olbrzymich posiłków, bo niby dla kogo, tylko do grzania wody.

Musiał od czasu do czasu przycinać włosy i brodę, ale chyba nigdy radykalnie, pewnie same końce skracał o trzy, cztery centymetry. Brązowe włosy były bardzo gęste, ruda broda również, do tego gęste brązowe brwi, wszystko to nadawało mu tyleż groźny, co fascynujący wygląd.

Może to był taki fortel, sposób na ustawienie się w życiu w wybrany przez siebie sposób. Ian ukrywał się za tą gęstwą włosów i brody, co dopełniało jego izolacji od świata w górach, zapewniało całkowite incognito.

Marcie umościła się na sofie z książką na kolanach. Kiedy Ian wlał wodę do wanny i zaczął rozpinąć pasek, uniosła książkę i zasłoniła nią twarz.

– Powiem ci, kiedy skończę – oznajmił ze śmiechem. Słyszała plusk wody, chlapanie.

– Skończyłem – powiedział po kilku minutach.

Jednak Marcie wolała odczekać kilka następnych w obawie, że Ian zrobi jej psikusa.

Kiedy zapakował brudne rzeczy do torby na pranie, dodała dwie pary dżinsów, cztery pary skarpetek, dwie bluzy bawełniane i jedno spodnie od dresów. Bieliznę wyprała sama następnego ranka. Zagrzała wodę na piecyku, przelała ją do zlewu. Wyprane majtki i biustonosze rozwiesiła na brzegu wanny od strony piecyka, a potem, uzbrojona w wielką patelnię, powędrowała do wychodka. Gdyby potwór pojawił się znowu, szczerząc kły, przyłoży mu w łeb. Nie znała się na dzikich zwierzętach, ale swego czasu bardzo dobrze grała w soft-ball i miała naprawdę mocne uderzenie.

Zmęczona kolejnym atakiem kaszlu, wzięła lekarstwa i poszła spać.

Obudził ją powrót Iana. Czyste rzeczy z pralni odłożył na skrzynię i wziął do ręki majtki wiszące na krawędzi wanny.

– Nie wiem, jak zareagować. Stary Raleigh przewraca się pewnie w grobie...

Zerwała się z kanapy, zebrała całą bieliznę i choć była jeszcze wilgotna, wepchnęła do torby.

Tego wieczoru na kolację mieli jajka sadzone, szynkę i gotowane ziemniaki. Podczas posiłku rozmawiali, jak minął dzień, Ian opowiadał trochę o swojej pracy, o klientach. Marcie chciała zadawać jeszcze pytania, ale oznajmił, że dość gadania, chciałby jeszcze chwilę poczytać i iść spać.

Nie protestowała. W końcu tak długo mieszkał sam, więc nabrał swoistych manier odludka. Nie był nieuprzejmy ani okrutny. Zdzczał, ot co.

Zaczynały cieszyć ją drobiazgi, pobrzmiewający od czasu do czasu śmiech Iana. Trudno to było nazwać prawdziwym śmiechem, ale potrafił okazywać rozbawienie, kiedy rzucała jakiś złośliwy komentarz. Zdarzało się też, że uśmiechał się do niej. Miał piękne, zdrowe zęby.

A jednak czuła się samotna, z trudem znosiła godziny milczenia.

Pewnego popołudnia była świadkiem niezwykłego zdarzenia. Ian ładował drewno na furgonetkę. Słyszała, jak gwizdże, a gdy zaczął śpiewać, serce zabiło jej mocniej. Raptem zapanowała cisza. Żadnego łoskotu załadunku, żadnego śpiewu. Zaniepokojona wyszła z chaty i rozejrzała się niepewnie. Ian stał koło szopy naprzeciwko wspaniałego jelenia o ogromnych rogach, które musiały mieć rozpiętość około metra. Ian najwyraźniej go karmił, coś mu podawał, a drugą ręką głaskał i przemawiał cicho.

Przez chwilę Marcie stała nieruchomo i przyglądała się Ianowi i jeleniowi, ich przyjacielskiemu spotkaniu. Musiała być w Ianie niezwykła łagodność, skoro potrafił tak oswoić ostrożne, płochliwe zwierzę. Czy kiedyś pozna tę stronę jego natury? Czy ryczał tylko na ludzi, których chciał od siebie odstraszyć, których się bał?

Zląkł się Marcie, bo przypominała mu przeszłość. Teraz bardzo uważała, żeby nie wracać do wspomnień. Minie trochę czasu, Ian nabierze do niej zaufania, a wtedy ostrożnie, powoli spróbuje z nim porozmawiać o tamtych bolesnych przeżyciach. Za nic nie chciała go zranić. Był dobrym człowiekiem.

Jak ojciec mógł odwrócić się plecami do takiego syna? – zachodziła w głowę. Jak?

Jeleń cofnął się, odwrócił i zniknął między drzewami. Ian zamierzał iść do furgonetki, ale zobaczył Marcie i podszedł do niej.

– To mój dobry znajomy, Buck – powiedział. – Zawsze mam w kieszeni jabłko, kiedy ładuję drewno. Jeśli Buck długo się nie pokazuje, sam je zjadam.

– Jak ci się udało z nim zaprzyjaźnić? – Marcie miała wrażenie, że oglądała czary.

– Znalazłem go, kiedy był mały. Drasnęła go kula, zgubił się, nie mógł już odnaleźć matki. Był potwornie wystraszony, krwawił. Przyniosłem go tutaj. Raleigh powiedział, że zbyt słabo widzi, żeby pomóc jelonkowi, ale ja powinienem. Zająłem się nim. Zamknąłem go w szopie, karmiłem, poilem, a kiedy rana się zagoiła, wypuściłem na wolność. To wszystko.

– A on wraca?

– Od czasu do czasu składa mi wizyty. Mam szczęście, że nie przyprowadza swoich kolegów.

– Ian, to niezwykle... – Położyła dłoń na sercu

– Nie rozczulaj się. Gdybym miał zamrażarkę, może bym go zastrzelił.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Lubię dziczyznę. Ty nie?

Przypomniała sobie rozplywające się w ustach chili, którym poczęstował ją Jack.

– Nie za bardzo – powiedziała na przekór Ianowi, odwróciła się i wróciła do chaty odprowadzana jego śmiechem.

Późnym rankiem Marcie usłyszała samochód. Nie mógł być to Ian, o tej porze nigdy nie wracał, poza tym silnik nie klekotał i nie jęczał jak w starej furgonetce.

I nic dziwnego, skoro pod chatę zajechał imponujący hummer. Otworzyły się drzwi kabiny, z której wysiadła Mel z torbą lekarską w rękę.

– Witaj – powiedziała. – Zdaje się, że czujesz się już lepiej.

– Znaczenie lepiej, dzięki. Tym razem przyjeżdżasz sama?

Mel podeszła do drzwi.

– Pomyślałam, że wpadnę na chwilę przejazdem i zobaczę, jak się czujesz.

– Tu się nie wpada przejazdem, to cała wyprawa – ze śmiechem skomentowała Marcie. – Wchodź. Wybacz, ale nie będę mogła podjąć cię herbatą i ciasteczkami.

– Rozmawiałam z twoją siostrą, Marcie. Przyjechałam, żeby powtórzyć ci, co powiedziała Erin.

– O Boże. Bardzo była wściekła?

Mel parsknęła śmiechem, po czym odparła:

– Nie powiedziałabym, że wściekła, ale ma swoje zdanie na temat twojej wizyty w tym hrabstwie. Zaraz ci wszystko opowiem.

– Dobrze, ale najpierw usiądźmy. – Podsunęła jej krzesło i sama usiadła naprzeciwko.

– Zrobiłam tak, jak prosiłaś. Powiedziałam jej, że znalazłaś Iana Buchanana, że zatrzymałaś się u niego i zamierzasz jakiś czas zostać i że zadzwonisz, jak tylko będziesz w mieście. Tylko tyle, nic więcej. A ona na to, że nie rozumie, dlaczego nie wracasz do domu, skoro znalazłaś Iana i porozmawiałaś sobie z nim.

– O cholera. Nie, należałoby powiedzieć: cholerna siostrzyczka. – Marcie położyła dłoń na czole. – Bo się rozchorowałam, ale o tym nie powinna wiedzieć, bo jak ją znam, już by tu przyjechała karetką. Jest zdolna do wszystkiego, jeśli coś postanowi. Potrafiłaby zmobilizować Gwardię Narodową do działania.

– Takie właśnie odniosłam wrażenie.

– Ta grypa okazała się błogosławieństwem. Do Iana bardzo trudno się zbliżyć, bardzo trudno się z nim rozmawia. Stroni od ludzi, przywykł do

samotności i milczenia. Przez tych kilka dni trochę się ze mną oswoił. Kluczemy, rozmawiamy o drobiazgach, ale nie dotykamy najważniejszych tematów, nie mówimy o wojnie, o moim zmarłym mężu, o tym dlaczego Ian odszedł z marines, dlaczego uciekł na odludzie. Powoli jednak nawiązujemy znajomość. Właściwie odnawiamy, bo przez pewien czas po tym, jak Bobby został ranny, byliśmy w kontakcie. Staram się pozyskać jego przyjaźń i zaufanie. Wierzę, że w końcu zaczniemy z sobą naprawdę rozmawiać.

– I co?

Marcie wzruszyła ramionami.

– Mel, nie wiem, dlaczego go szukałam, dlaczego tu jestem. Po prostu to było coś, co musiałam zrobić. Chciałabym zrozumieć człowieka, który uratował mojego męża...

– Chwileczkę – przerwała jej Mel. – On uratował twojego męża?

– Mhm. Jack ci nie powtórzył? Chyba mu o tym mówiłam.

– Nie wiem. Nic nie wspominał.

– Tak, uratował. Ryzykował własne życie, żeby uratować Bobby'ego, i sam został ranny. To nie jego wina, że Bobby odniósł tak straszne obrażenia, miał uraz mózgu, był całkowicie sparaliżowany, wegetował jak roślina. Ale Ian uczynił wszystko, co w jego mocy. Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale jestem wdzięczna, że mogłam być z Bobbym tych kilka lat, chociaż nie było już z nim żadnego kontaktu. – Napłynęły jej łzy do oczu.

Mel odetchnęła głęboko. Jej pierwszy mąż zginął tragicznie, w czasie napadu na sklep. Wiedziała doskonale, co to znaczy stracić najbliższego człowieka, zostać wdową. Nie miała siły o tym teraz opowiadać, więc uścisnęła dłoń Marcie i zapewniła:

– Rozumiem bardzo dobrze.

– Bobby uwielbiał Iana, podziwiał go, uważał za najwspanialszego faceta, jakiego świat widział, chciał być taki jak on. I ten wspaniały facet ucieka od wszystkiego, zaszywa się na kompletnym odludziu, żyje jak pustelnik. Coś się tu nie zgadza. I jeszcze jedna rzecz, może śmieszna. Obaj kolekcjonowali karty bejsbolowe. Tam, na irackiej pustyni, na posterunku, wyglądając snajperów, opowiadali sobie o tych głupich kartach. Chciałabym tylu rzeczy się dowiedzieć. Mam tyle pytań.

95

Mel uśmiechnęła się łagodnie.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– Próbowałam wytłumaczyć to Erin, ale do niej nie docierało, co mówiłam. Pewnie dlatego, że jest wobec mnie nadopiekuńcza. Chce mnie uchronić przed kolejnym bólem, uważa, że wystarczająco się nacierpiałam w ostatnich latach. Być może Ian nigdy się przede mną nie otworzy, muszę być na to przygotowana. Potrafi być obcesowy. Nie chce rozmawiać o wojnie, o Bobbym, o sobie. Jest strasznie okaleczony.

– Niewiele wiem o wojennej traumie – Mel oparła łokcie na stole – ale trochę wiem, bo sama mam w domu żołnierza piechoty morskiej, który przeżył stanowczo zbyt wiele. W każdym razie pamiętaj, że wracanie do tych spraw, zadawanie pytań, może być ryzykowne.

– Ian się nie posypie – zapewniła Marcie. – Nie wiem, czy zdaje sobie z tego sprawę, ale męka odeszła. Może tkwiła w nim kilka lat temu, może czasami jeszcze dręczą go wspomnienia, ale teraz żyje sobie spokojnie w górach. Spokojnie i samotnie. To mniej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać, przynajmniej ja to tak widzę.

– Wiem. On śpiewa – powiedział Mel z uśmiechem.

– Nie chodzi tylko o śpiew. Rozmawia ze mną o różnych rzeczach. Opowiada o poprzednim właścicielu chaty... nazywał się Raleigh, stary Raleigh... o jeleniu, który czasami go odwiedza. Zaproponował, że umyje mi włosy, pomyślał, żeby przygotować kąpiel. Pożycza książki z biblioteki i codziennie czyta, ma całą stertę biografii. Jest inteligentny, ma poczucie humoru, ale stara się tego nie okazywać. Nie chce, bym pomyślała, że dobrze się czuje w moim towarzystwie.

– Pomimo wszystko...

– Nie, Mel, nie. Zapewniam cię, że jest silny i zrównoważony i z całą pewnością nie rozpadnie się przy pierwszym dotknięciu. – Pokręciła głową. – Z jakichś powodów wybrał samotność. Może uda mi się dojść, dlaczego podjął taką decyzję.

– Posłuchaj, twoja siostra najwyraźniej straciła już cierpliwość. Sugerowała, że przyjedzie tutaj i zabierze cię do domu.

Marcie zeszywniała.

– Powiedziałaś jej, żeby tego nie robiła?

– Powiedziałam, że mam z tobą kontakt i na moje oko wszystko jest w porządku, więc nie powinna się o ciebie martwić. Kłamałam, bo nasz kontakt jest mizerny, do tego byłaś chora, kasłałaś, miałaś temperaturę...

– I bardzo dobrą opiekę, zapewniam! A teraz czuję się już dobrze. Ogoliłam nawet nogi! – Gdy Mel spojrzała na nią pytająco, dodała: – Wyszła dość śmieszna scenka. Powiedziałam Ianowi, że chcę ogolić nogi, a on, dziki człowiek z lasu, nie mógł zrozumieć, po co to robić na tym odludziu. Ale i tak je ogoliłam.

Mel uśmiechnęła się.

– Dobrze ci tutaj?

– Wiesz, nie ma lodówki, nie ma łazienki, brakuje mi moich ulubionych seriali, moich płyt i filmów na DVD. Ian wyjeżdża o szóstej rano, wraca wczesnym popołudniem i ładuje drewno na ciężarówkę. Widzę go dopiero podczas kolacji. Wtedy możemy trochę porozmawiać, po czym Ian zarządza ciszę, czyta i wczesnie idzie spać. Właściwie cały dzień jestem sama, ale wolę to niż szukanie go po wioskach i miasteczkach i spanie w samochodzie.

– Spałaś w samochodzie?! – ze zgrozą spytała Mel.

– Kończyły mi się pieniądze, a Iana ciągle nie mogłam znaleźć. Erin nie powinna o tym wiedzieć.

– To nie jest fakt objęty tajemnicą lekarską – ostrzegła Mel.

– W jakimś sensie jest, bo w ten sposób nabawiłam się grypy.

Mel uśmiechnęła się i sięgnęła po swoją torbę.

– Chciałabym zmierzyć ci temperaturę, obejrzyć gardło i osłuchać.

– Oczywiście. Ciągle nie mogę pozbyć się kaszlu, ale poza tym naprawdę czuję się dobrze.

Mel otworzyła torbę i zaczęła wyjmować wszystko, co potrzebne do badania.

– Powiedz Ianowi, że musisz zadzwonić do domu. Powinnaś osobiście porozmawiać z siostrą.

– Sama mogę jechać...

– Masz łańcuchy zimowe?

– Nie, ale...

– Och, Marcie, ten twój garbusek ześlizgnie się w pierwszą przepaść, jest za lekki, nie ma przyczepności, poza tym musiałabyś go rozmrozić. Nie, poproś Iana, żeby podwiózł cię furgonetką. Zresztą sama mogę cię zawieźć, musisz mi tylko powiedzieć kiedy.

– Porozmawiam z Ianem.

– Znacznie z tobą lepiej, wracasz do zdrowia. Zajmiemy się tym kaszlem i bierz expectorant, który przepisał ci Dok. Tak to bywa niestety z kaszlem, że czasami trudno się go pozbyć. Masz jeszcze lekko podrażnione gardło i flegmę w płucach, więc trochę potrwa, zanim się oczyszczą.

– Mel, jak z rachunkiem za waszą wizytę i za lekarstwa?

– Wszystko zapłacone. – Wrzuciła stetoskop i termometr do torby.

– Ian?

– Tak. Myślę, że to kwestia dumy. Może przyjechałabyś na kilka godzin do miasta, zamiast tkwić tutaj sama? Zadzwońisz z baru do Erin, posiedzisz wśród ludzi. Jack otwiera o ósmej rano, zamyka o dziewiątej, dziesiątej wieczorem.

– Niezły pomysł. A jak drzewko? Ubrane?

– Prawie. Jest śliczne. – Mel się rozpromieniła. – Jak mąż pojechał coś załatwić do Eureka, ja zrobiłam sobie przejażdżkę na podnośniku. Świetna zabawa. Tylko nie zdradź mnie przed Jackiem.

Marcie czekała do kolacji z rozmową na temat jazdy do miasta. Nie chciała poruszać tematu zaraz po tym, jak siedli do stołu, ale nie chciała też czekać do ostatniej chwili, kiedy Ian będzie zbierał puste talerze. Mniej więcej w połowie posiłku zagadnęła:

– Czy Virgin River jest ci po drodze, kiedy rozwozisz drewno?

Ian podniósł głowę i rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Dlaczego pytasz?

– Gdyby to nie był zbyt wielki kłopot, chciałabym pojechać do miasteczka. Muszę zadzwonić do siostry. Prosiłam Mel, wiesz, tę pielęgniarkę, żeby zatelefonowała. Zrobiła to. Powiedziała Erin, że jestem u ciebie, że wszystko w porządku, że nie masz telefonu i że jak tylko będę w

mieście, to sama zadzwonię. Najwyższy czas, żebym to zrobiła. Nie chcę, by Erin wciąż martwiła się o mnie.

– To ona powiedziała, że głupio robisz i że jesteś lekkomyślna?

Marcie uśmiechnęła się.

– Ona.

Ian oparł łyżkę o brzeg talerza z potrawką na ryżu i odchylił się w krześle.

– Jak już zupełnie wydobrzejesz, powinnaś pomyśleć o powrocie do domu. Znalazłaś mnie, powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia.

Marcie przygryzła wargę, po czym podniosła wzrok.

– Ian, potrzebuję twojej pomocy. Nie mówię tego, żeby budzić współczucie. Traciłam Bobby'ego bardzo długo. Zastanawiałam się, co będę robiła po jego odejściu, rozważałam różne możliwości, studia, podróże, może randki. Od jego śmierci minął rok, a ja tkwię w miejscu, nie zaczęłam żadnego nowego etapu w życiu. To nie jest tylko kwestia żałoby, ale też poczucie, że są niedokończone sprawy, które muszę domknąć. Dlatego tu przyjechałam i właśnie tu, i właśnie z tobą czuję się na miejscu...

– Jesteś tutaj, bo się rozchorowałaś – stwierdził mocno poirytowanym tonem.

– Nie byłam aż tak chora, by nie docenić tego, że odnowiliśmy naszą znajomość.

– Odnowienie znajomości? O czym tym mówisz? Marcie spuściła wzrok.

– Znałam cię. Nie tak dobrze jak Bobby, ale znałam. Opowiadał o tobie w swoich listach, potem my korespondowaliśmy z sobą, ale czuję, że cię znam, że jesteś moim przyjacielem. Jesteś łącznikiem...

Ian uderzył dłońmi w blat stołu z taką siłą, że Marcie aż podskoczyła.

– Nie chcę do tego wracać!

– Wiem! – krzyknęła. – Jezu, potrafisz być nieznośny. Musisz wiecznie walczyć? Potrafisz choćby przez pięć sekund pomyśleć o kimś innym poza sobą? Rozmowy z tobą pozwalają mi uporządkować wiele spraw. Jeśli chcesz, żebym wyjechała, wyjadę. Ale gdybyś pozwolił mi zostać jeszcze trochę, dopóki nie poczuję się... Cholera. – Przesunęła dłonią po niesfornych rudych włosach. – Nie wiem, dopóki czego... Dopóki nie uporządkuję w głowie wszystkiego do końca. Mogę kupować jedzenie, pomagać w domu, cokolwiek. Nie mogę tylko pojechać do miasta, bo garbus nie ma zimowych łańcuchów. – Odetchnęła głęboko. – To wszystko, co miałam do powiedzenia.

– Jesteś pewna, że to wszystko? – Na twarzy Iana pojawił się ledwie widoczny krzywy uśmiezek.

Marcie spojrzała na niego czujnie.

– Chwilowo.

Drugi kącik ust Iana poszedł w górę.

– Strasznie uparty z ciebie babiszon.

– Uprzedzałam cię, że jestem uparta. – Dlatego przetrwałam najgorsze, dodała w duchu.

– Nie musisz kupować jedzenia ani pomagać w domu. Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, jakim cudem taki stary mruk jak ja może ci w czymkolwiek pomóc.

– No cóż – zaczęła Marcie nieco udobruchana i trochę zbita z tropu. – Chodzi o sposób...

– Jutro jadę jak zwykle bardzo rano z drewnem, potem wrócę po drugi ładunek i wtedy mogę zabrać cię do miasta. Zostawię cię tam na dwie, trzy godziny, rozwiozę zamówienia i wrócę po ciebie. Dasz sobie radę? Co będziesz robić przez ten czas?

- Posiedzę w barze Jacka.
- Weź lekarstwo. Strasznie kaszlesz.
- Dziękuję, Ian. – Marcie uśmiechnęła się radośnie... i nagle coś zrozumiała.

Ian mógł protestować, opierać się, ale potrzebował uporządkowania przeszłości tak samo jak ona. Im bardziej zaprzeczał tej potrzebie, tym bardziej stawała się oczywista. Musiał zrzucić ciężar, który dźwigał na barkach. Dojdą do tego z czasem. Wtedy pokaże mu listy Bobby'ego, da mu te głupie karty i wróci do domu z lżejszym sercem. Wreszcie poczuje się lepiej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ian wjechał do Virgin River i zatrzymał się koło choinki. Chryste, ależ ogromna, pomyślał. Udekorowana z myślą o żołnierzach, ale udekorowana jeszcze nie do końca, bo obok stał podnośnik.

– Wrócę po ciebie za dwie i pół godziny. Wyglądaj furgonetki, bo nie mam zamiaru cię szukać.

– Będę czekała. – Spojrzała na zegarek. – Dziękuję. Ian kiwnął głową. Patrzył jeszcze przez moment, jak

Marcie wchodzi na ganek baru, po czym odjechał.

Okropnie trudno było mu się do tego przyznać przed sobą, ale polubił towarzystwo Marcie, czuł się z nią dobrze, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Przyjemnie było opiekować się nią, chronić, zapewniać jej poczucie bezpieczeństwa. Stawało się to dla niego coraz ważniejsze... i kłopotliwe zarazem. Gdyby nie jej obecność, nie zawracałby sobie głowy gotowaniem. Kiedy był sam, gotował bardzo rzadko, zwykle po prostu otwierał jakąś puszkę, ale Marcie była chora i osłabiona, więc potrzebowała normalnych, domowych posiłków. Poza tym przyjechała do niego wymizerowana, powinna przybrać na wadze. Szukała go tyle czasu, sypiała w samochodzie, oszczędzała na jedzeniu, i oto taki tego efekt. Świadomość, że zostanie ją po powrocie do chaty, że będzie mu zawracać głowę, zamęczać swoim gadulstwem, sprawiała, że załatwiał dostawy szybciej niż zwykle i śpieszył się do domu. Nie chciał tylko rozmawiać o wojnie, o Bobbym. Teraz bał się, że po rozmowie z siostrą Marcie powie: – Muszę wracać do domu.

Cóż, niezależnie co powie siostra, Marcie i tak niedługo wyjedzie. Zbliżały się święta, w te dni będzie chciała mieć wokół siebie rodzinę. Nie spędzi przecież Bożego Narodzenia w chacie. Mogła narzekać na siostrę i

złorzeczyć, ale przynajmniej miała siostrę, która ją kochała, martwiła o nią. Co ona powiedziała, kiedy prosiła, żeby zawiózł ją do Virgin? „Trochę dłużej...”.

Od czterech lat nie miał z nikim bliższego kontaktu. Raleigh się nie liczył, to była czysta wysługa. Gdyby stary nie zostawił mu chaty i ziemi, nigdy by nie zgadł, że mógł odczuwać wdzięczność za opiekę w ostatnich miesiącach życia.

Owszem, Ian spotykał ludzi, bywał w bibliotece, czasami jadł kolację w restauracji, miał swoich klientów. Wszyscy byli dla niego mili i on był miły, ale trudno to nazwać kontaktami. Nikt nie wtrącał się w jego życie tak jak ona i na myśl o tym jej wścibstwie oraz uporze uśmiechał się wbrew samemu sobie.

No i ta historia z pumą. Marcie otworzyła drzwi wychodka, żeby go ostrzec przed drapieżnikiem. Ryzykowała własną skórę, bo bała się o niego. Od bardzo dawna nikt się nim nie przejmował.

Może przejmowała się tylko dlatego, że był kimś ważnym dla Bobby'ego? Gdybyśmy poznali się inaczej, nie byłbym dla niej nikim ważnym.

Ale powody nie miały teraz żadnego znaczenia. Samo uczucie, że ktoś się przejmuje, było miłe, chociaż całkowicie obce, jak z księżycyca. Dostarczy pół saga drewna dentyście z Fortuny i wróci o umówionym czasie, żeby nie musiała na niego czekać. I cały czas będzie myślał o tym, żeby siostra nie wymogła na niej natychmiastowego powrotu do domu.

O wpół do dziesiątej rano Marcie weszła do baru. Było pusto, ani jednego klienta, tylko z kuchni dochodziły odgłosy rozmowy. Zapukała kilka razy w drzwi wahadłowe i pchnęła je ostrożnie.

– Wchodzić – odezwał się jakiś mężczyzna, a zaraz potem rozległ się kobiecy śmiech.

Przy stole roboczym zebrały się dwie pary, kucharz Proboszcz, Paige, która pomagała ubierać choinkę, miejscowy glina Mike i piękna kobieta około trzydziestki o jasnobrązowych długich do pasa włosach. Mike miał na sobie fartuch wybrudzony czerwonym i zielonym lukrem, prawdziwie świąteczne kolory.

– Hej – uśmiechnął się. – Witaj, Marcie. Znalazłaś swojego żołnierzyka?

– Wow – zdumiała się. – Mel nie powiedziała wam ani słowa. – Pokręciła głową z uznaniem. – Znalazłam go jeszcze tego samego dnia, kiedy byłam u was w barze.

Cała czwórka wymieniała znaczące, rozbawione spojrzenia. Musieli dobrze znać Mel i jej szacunek dla prywatności innych.

– Znasz już wszystkich? – zapytał Mike.

– Proboszcz, Paige, ty...

Mike mrugnął do pięknej kobiety, która przytuliła się do niego.

– To jest Brie, siostra Jacka. – Pocałował ją w kark. – Moja dziewczyna.

– Miło mi – powiedziała Marcie i nagle poczuła zazdrość, że tyle miłości jest na świecie.

Brie skinęła głową z uśmiechem.

– Mnie też miło.

– No i jak ten twój piechociarz morski? – zapytał Mike.

– W porządku. Mieszka od czterech lat na szczycie wzgórza w samotnej chacie, w dość prymitywnych warunkach, ale jest bardzo pięknie.

– Ucieszył się, kiedy cię zobaczył? – indagował dalej Mike.

– Tak – skłamała. – Nie chce tylko rozmawiać o Iraku, poza tym porozumiewamy się bardzo dobrze.

– Marcie wzruszyła ramionami. – Pozwolił mi zostać trochę dłużej, bo złapałam... paskudne przeziębienie.

I tak spadłam mu na głowę. Trochę go wykorzystuję.

– Uśmiechnęła się. – Znosi cierpliwie moją obecność. Chciałabym zamówić rozmowę na rachunek odbiorcy. Powinnam zadzwonić do siostry, a Ian nie ma telefonu.

– Dzwonź bezpośrednio – powiedział Proboszcz.

– Wszystkie rozmowy międzymiastowe mamy w ramach abonamentu.

– Naprawdę?

– Jack ma ojca i cztery siostry oraz swoich braci marines. Paige dwie serdeczne przyjaciółki, Mel siostrę. Ciągłe do kogoś telefonujemy. Jeżeli to rozmowa krajowa, możesz dzwonić bez ograniczeń.

– Marcie – odezwała się Paige. – Możesz skorzystać z telefonu w naszym mieszkaniu, nikt ci nie będzie przeszkadzał.

– Nie masz nic przeciwko temu? – zapytała niezbyt mądrze, skoro to Paige wystąpiła z propozycją.

– Skądże. Chodź, zaprowadzę cię.

Marcie ruszyła za Paige, ale jeszcze się odwróciła.

– Pieczecie świąteczne ciastka?

– Paige i Brie pieką, mają dzisiaj babskie spotkanie. Ja tylko pomagam, żeby miały kogo ochrzaniać. Jestem raczej specjalistą od taco. Potrafię też od biedy przygotować carne asada.

– Na szczęście ciastka już upieczone – ze śmiechem oznajmiła Brie. – A Mike może zjeść swoje gnioty. Jest żaloszny w kuchni. Nie potrafi nawet polukrować świątecznego ciastka.

– Faceci wymiękają – odezwał się Proboszcz – ponieważ wiedzą, że ja jestem najlepszym zawodnikiem w ciastkach.

– Chodź, Marcie. – Paige wzięła ją za rękę i wprowadziła do małego, wygodnego mieszkania zaraz za kuchnią. – Tutaj masz telefon. – Wskazała bezprzewodowy aparat na stoliku między kanapą a fotelem.

– Tutaj mieszkanie? – Marcie miała najwyraźniej dzień zadawania niezbyt inteligentnych pytań.

– Mhm. To było mieszkanie Jacka, ale kiedy ożenił się z Mel, przeniósł się do jej chaty. Potem ja wyszłam za Johna...

– Za Johna?

– Proboszcz ma na imię John. John Middleton. A ja teraz jestem Paige Middleton – oznajmiła z dumnym uśmiechem. – Dzwon, a potem napijemy się kawy i spróbujemy naszych ciastek. Damy ci trochę do domu.

Paige zamknęła drzwi, zostawiając ją samą.

Niezwykłe, myślała Marcie. Nigdy nie spotkała takich ludzi jak ci tutaj, kochanych, szczodrych, otwartych. Paige zostawiła ją w swoim mieszkaniu, chociaż zupełnie jej nie знаła, nic o niej nie wiedziała.

Westchnęła głęboko. Ian powinien przebywać z takimi ludźmi, tymczasem zamieniał się w starego mruka. Podniosła słuchawkę i wystukała numer biura Erin.

Sekretarka Erin poinformowała ją, że siostra jest w sądzie, na co Marcie odetchnęła z ulgą.

– Trudno, Barb. Przekaż jej, że dzwoniłam, że u mnie wszystko w porządku, że czuję się świetnie i zadzwonię za kilka dni.

– Dobrze ci się układa?

– Absolutnie, Barb. Zatrzymałam się u przyjaciela w górskiej chacie, gdzie nie ma telefonu. Muszę przyjeżdżać do miasteczka, żeby zadzwonić, więc może minąć kilka dni, zanim znowu się odezwę. Powiedz jej, że tu jest bardzo pięknie i dobrze spędzam czas.

Korzystając z tego, że wszystkie rozmowy były wliczone w abonament, Marcie wystukała numer komórki brata.

– Drew, znalazłam go.

– Chodzą już na ten temat plotki – ze śmiechem odparł Drew. – Wszystko w porządku, Marcie?

– W najlepszym – zapewniła, lecz zaraz dostała ataku kaszlu. – Przepraszam. Męczą mnie jakiś głupi kaszel, ale tutejszy lekarz przepisał tabletki i syrop. Mówi, że to nic groźnego.

– Nie brzmi to najlepiej, Marcie. Ciepło masz tam, gdzie mieszkasz?

– Ciepło, ciepłutko, naprawdę. Ian gotuje mi rosół i w ogóle. Masz teraz zajęcia? Mogę ci o nim trochę opowiedzieć? Nie będziesz się wściekał?

– Mam zajęcia, wyszedłem z sali. Facet czyta sylabus, więc mogłem zniknąć na chwilę. Dlaczego miałbym się wściekać? Coś z nim nie w porządku?

– Wszystko w porządku. To dobry człowiek. Wrażliwy, ale trochę mruk. Nie chce rozmawiać o wojnie, więc na razie nie poruszamy tego tematu. Ma długi kucyk i ogromną rudą brodę, wygląda zupełnie inaczej niż kiedyś. Od kiedy wystąpił z marines, mieszka tutaj, w chacie na odludziu, w górach. Poluje, łowi ryby, sprzedaje drwa na opał. Zaczynam go lepiej poznawać i coraz bardziej lubię.

– Tak, bardzo go lubię, pomyślała nagle.

– A więc mieszkasz w chacie na odludziu z facetem, który jest mrukiem i który nie ma telefonu.

– Dobrze się czujemy z sobą. Nie ma w nim nic dziwnego poza tą wielką brodą i długimi włosami. To prawda, strasznie jest zarośnięty. Ale w tych okolicach nie jest to znowu takie niezwykle. W miasteczku mieszka kilku marines. Opiekują się mną, chcą wiedzieć, czy wszystko w porządku, mogę

zawsze na nich liczyć – oblała lukrem rzeczywistość, choć nie skłamała aż tak bardzo. Mel się nią zaopiekowała, natomiast marines dopytywali, co u niej.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytał Drew.

– Niedługo. Nie miałam jeszcze okazji powiedzieć mu tego, co chciałabym powiedzieć. I nie zadałam jeszcze kilku ważnych pytań. – Dlaczego zostawił wszystko, co kochał, dlaczego uciekł.

– A co, jeśli nie odpowie na twoje pytania? Nie pomogą żadne twoje nalegania, po prostu nie i nie? Co wtedy? Podziękujesz mu za gościnę i wrócisz do domu? – przemówił Drew ojcowskim tonem.

Powinna była odpowiedzieć natychmiast, ale minęły dwie długie sekundy, nim zapewniła:

– Oczywiście, Drew, że tak zrobię, bo niby jak inaczej? Jak każdy z nas ma prawo do milczenia, a ja nie zamierzam przekraczać pewnej granicy. Ian to dobry człowiek i za nic nie chciałabym go zranić. Zależy mi tylko na tym, by powiedział mi kilka rzeczy i o Bobbym, i o swojej sytuacji, ale jeśli natrafię na taki opór, którego przełamanie grozi jeszcze większym bólem, zostawię go w spokoju.

– Skąd będziesz wiedziała...

– Drew, nie rozumiesz? – przerwała mu gwałtownie.

– Tego się nie wie, to sprawa wyczucia, intuicji.

– No tak... – Drew milczał przez chwilę, wreszcie wytoczył najcięższą artylerię: – Erin już zupełnie wariuje. Naprawdę zaczyna szaleć. Gdyby na zewnątrz nie była taka opanowana i akuratna, obgryzałaby paznokcie i rwała włosy z głowy.

– Próbowałam się do niej dodzwonić, ale właśnie jest w sądzie, więc zadzwoniłam do ciebie. Powiedz jej, że dzwoniłam do niej. Drew, rozumiesz, braciszku, najpierw dzwoniłam do niej, dopiero potem do ciebie, gdy jej nie

złapałam. – Uśmiechnęła się. Negocjacje rodzinne, cóż za skomplikowana materia. Z Drew rozumieli się doskonale, teraz z radością słyszała jego głos, lecz z Erin to zupełnie inna sprawa. Nie potrafiła wyjść z roli głowy rodu, odpowiedzialnej za wszystko i autorytarnej głowy.

– Możesz powtórzyć jej wszystko, co ci mówiłam. Zadzwońię do niej za kilka dni.

– Coś w tym wszystkim nie jest do końca...

– Jest lepiej, niż mogłam przypuszczać – przerwała mu gwałtownie. Kogo chciała oszukać? Drew, najbliższą jej osobę? Dobrze wyczuł, że jest w tym coś jeszcze, ale jak miała mu to wyznać, skoro nie potrafiła ubrać tego w słowa? – Będę w kontakcie. Spróbuj dać Erin coś na uspokojenie. Nie chcę, żeby się zamartwiała. Nie chcę dźwigać takiego ciężaru, ale muszę zrobić to, co mam do zrobienia. Dlatego tu przyjechałam i dlatego tu jeszcze siedzę.

Drew westchnął.

– Okej, niby wiem, niby rozumiem, tyle że wcale mi się to nie podoba.

Marcie zaśmiała się cicho.

– Wracaj na zajęcia. Odezwę się do ciebie niedługo.

– Kocham cię, dzieciaku – powiedział Drew.

– I ja cię kocham, mały braciszku. – Rozłączyła się.

Siedziała jeszcze przez chwilę w wygodnym skórzanym fotelu. Erin i Drew kompletnie nie pojmowali jej motywów, ale kochali ją, martwili się o nią, bali się, że popełnia błąd, przedłużając wizytę u tak naprawdę obcego człowieka. Nadopiekuńcza miłość Erin bywała czasami męcząca, ale równoważyło ją chłopięce poczucie humoru Drew. To szczęście mieć ich oboje. Bez ich miłości czułaby się kompletnie samotna na tym świecie i beznadziejnie pusta w środku.

Nie mieli pojęcia, jak bardzo za nimi tęskni, jak bardzo chciałyby być w domu i przygotowywać się do świąt jak gdyby nigdy nic, jakby niczego nie brakowało w jej życiu. Brakowało Bobby'ego, ale jedno święta przeżyła już bez niego. Brakowało też Iana. Jakoś to wszystko musiała poskładać.

Kiedy Marcie wróciła do baru, zastała co najmniej dwadzieścia pań. Przydźwigały z sobą koszyki, blaszane puszki, tace przykryte folią, i wszystko to ustawiały na stołach. Popijały kawę i herbatę, gwarząc beztrosko. Marcie stała w progu kuchni. Te kobiety rozmawiały o swoich sprawach, nie miała między nimi nic do roboty, ale musiała gdzieś się podziać, dopóki Ian się zjawi.

– Rozmawiałaś z siostrą? – zagadnęła Paige.

– Nie zastałam jej, więc zadzwoniłam do brata.

– O, masz też brata. Szczęściara z ciebie. Bardzo jesteś z nimi zżyta?

Marcie bała się, że łzy staną jej w oczach.

– Bardzo.

– To cudownie. – Paige wzięła ją za rękę. – Chodź, poznasz kilka dziewczyn. Dzisiejsze spotkanie to taka wymiana ciastek świątecznych. Wśród naszych sąsiadek są prawdziwe mistrzynie wypieków, ale nie można tego mówić Johnowi, bo żyje w przekonaniu, że jest najlepszy, koniec, kropka. Uwierz mi jednak, te kobiety są zupełnie niesamowite.

– Może nie powinnam przeszkadzać...

– Co ty, miałabyś przeszkadzać? Nie wygłupiaj się. Chyba że jesteś umówiona i nie masz czasu.

Marcie pokręciła głową.

– Po prostu... Nie mam ciastek.

Paige roześmiała się.

– Mel też nie ma. Ledwie potrafi zagotować wodę. Brie i ja upiekliśmy ciastka w barowej kuchni, a Mel stwierdziła: „Diabła tam, nie będę udawać”.

Mel zauważyła Marcie i Paige i podeszła do nich.

– Przyjechałaś jednak – przywitała ją z radosnym uśmiechem. – To dobrze, bo nie powinnaś cały czas przesiadywać sama w chacie. Świetnie trafiłaś, poznasz nasze sąsiadki. Musisz koniecznie spróbować ciastek. Napijesz się kawy?

– Chętnie – odpowiedziała Marcie. – Choć czuję się jak intruz, który psuje przyjęcie.

– Nie w naszym miasteczku! – zdecydowanym tonem zapewniła Mel. – Tutaj wszyscy z radością zawierają nowe znajomości.

Paige podała Marcie kubek z pachnącą gorącą kawą, a Mel pociągnęła ją za sobą. Marcie poznała Connie, właścicielkę sklepu, Joy, która prowadziła bibliotekę, Hope McCrea, którą spotkała zaraz po przyjeździe do Virgin River przy choince, Lily Anderson, jej córki i synowe. Lily miała na głowie ciasno przylegającą wełnianą czapkę i cienie pod oczami, ale pełen życia ciepły uśmiech.

Mel odciągnęła Marcie na bok i szepnęła:

– Lily jest po chemii.

– Jakie to smutne.

– Lily twardo walczy, więc się nie smuć, tylko życz jej zwycięstwa.

– Czy nie zdradzasz właśnie tajemnicy lekarskiej?

– Nie, skądże. Robię to na wyraźną prośbę Lily. Marcie poznała jeszcze kilka żon ranczerów, właścicielkę winnicy oraz dwie panie z sąsiedniego miasteczka.

Pytały oczywiście, co ją sprowadza do Virgin River, ona zaś odparła bez wahania:

– Mój mąż, żołnierz piechoty morskiej, został ciężko ranny w Iraku. Umarł w zeszłym roku. Dowiedziałam się, że jego najlepszy przyjaciel z Korpusu mieszka gdzieś tutaj, więc przyjechałam go odnaleźć. Chciałam przekazać mu wiadomość, poznać go.

– Odnalazłaś go?

– A jakże, odnalazłam – przytaknęła z uśmiechem. – Mieszka w małej chacie na szczycie wzgórza. Podwiózł mnie do miasteczka, pojechał dostarczyć drewno na opał klientowi i przyjedzie po mnie za godzinę. On był... Jest... – Nie dokończyła. – Podoba mi się tutaj. Macie piękną choinkę.

– To pomysł Mel, Paige i Brie. Co prawda nasi marines przeszli już do cywila, ale nie zapominają o tych, którzy są w czynnej służbie – powiedziała któraś z kobiet.

– Przygotujemy ci talerz z ciastkami, żebyś mogła zabrać do domu dla swojego żołnierza – zaproponowała inna.

– Och, nie...

– Daj spokój, na pewno będzie mu miło – orzekła Mel. – Dziewczynom też sprawi to przyjemność. Zajmę się tym. – Zostawiła ją samą.

Marcie nie zdążyła jednak poczuć się nieswojo, bo zaraz otoczyło ją kilka kobiet. Wypytywały o rodzinne miasto, o zmarłego męża, o pracę, rodzinę. Próbowwała rewanżować się podobnymi pytaniami, lecz nic z tego. Była nowa, więc stanowiła obiekt powszechnego zainteresowania.

Dostała wielki plastikowy talerz przykryty folią i wypełniony ciastkami, po kilka z każdego wypieku.

Kiedy w drzwiach pojawiła się wysoka młoda kobieta w zaawansowanej ciąży i o rudoblond włosach, w barze zaległa cisza. Przyniosła mnóstwo ciastek, z nieśmiałym uśmiechem postawiła je na stole. Towarzyszył jej wysoki mężczyzna, który sprawiał wrażenie równie onieśmiałego.

Krępująca cisza trwała tylko chwilę, bo nowo przybyłą zaraz otoczyły kobiety, zaczęły ją całować i ścisnąć.

– To Vanessa – cicho powiedziała Brie do Marcie. – Jej mąż zginął w Iraku kilka tygodni temu. Niedługo będzie rodziła, za miesiąc mniej więcej. Mieszka z ojcem i bratem na ranczo na obrzeżach Virgin River.

Marcie poczuła ucisk w gardle.

– A ten mężczyzna?

– To Paul Haggerty, najlepszy przyjaciel jej męża od czasów dzieciństwa. Od pogrzebu mieszka na ranczo, Vanessa prosiła go, by został, był przy niej. Nie odstępował jej na krok, gdzie zobaczysz Vanesę, tam będzie Paul.

– To... piękne. – Marcie uczuła tęsknotę za czymś, czego nie potrafiła nawet nazwać.

– Paul jest starym przyjacielem Jacka, Mike'a, Proboszcza. Nasi marines naprawdę trzymają się razem. I są bardzo rodzinni.

– Robi wrażenie bardzo smutnego – zauważyła Marcie.

– Na pewno – przytaknęła Brie. – Przeżywa żałobę równie głęboko jak Vanessa. Przyjaźnił się z Mattem od szkoły podstawowej. Całe szczęście, że niedługo urodzi się dziecko. To prawdziwe błogosławieństwo. Chcesz ją poznać?

– Nie chcę być natrętna – powiedziała Marcie pośpiesznie. – Rozmawia z przyjaciółkami, przeszkadzałabym tylko. Musi jej być trudno wyjść między ludzi tak szybko po...

– Przepraszam cię, uściskam ją i zaraz wracam.

– Brie odeszła na chwilę.

Kobiety otaczały Vanessę serdecznym wianuszkami, natomiast Paul czekał cierpliwie przy drzwiach. Wreszcie Vanessa wzięła talerz z ciastkami z wymiany, Paul objął ją w pól i oboje wyszli z baru.

Marcie pośpieszyła za nimi.

Właśnie zeszli z ganku.

– Przepraszam – odezwała się. – Vanessa?

Gdy odwrócili się, Marcie podeszła do nich.

– Ja... chciałam powiedzieć, że bardzo ci współczuję.

– Dziękuję. – Vanessa uśmiechnęła się smutno.

– Chyba cię nie znam?

– Nie. Nie mieszkam tutaj. Też jestem wdową po żołnierzu piechoty morskiej. Mój mąż zmarł rok temu.

– Och! Bardzo mi przykro. Moje kondolencje.

– Dziękuję. Mój mąż został bardzo ciężko ranny w Iraku cztery lata temu. Kiedy usłyszałam... Vanesso, pamiętam ten ból, który czułam zaraz po śmierci Bobby'ego. Tak bardzo chciałabym ci powiedzieć coś, co by ci pomogło.

Vanessa uśmiechnęła się serdecznie i dotknęła włosów Marcie.

– Myślę, że właśnie powiedziałaś. To bardzo miłe, że w ogóle zagadnęłaś. Nie musiałaś.

– Musiałam. – Marcie czuła, że łzy napływają jej do oczu. – Dobrze pamiętam, jak jest ciężko na początku. Cieszę się, że masz przyjaciół, którzy cię wspierają i że niedługo pojawi się dziecko.

– Masz dzieci?

Marcie pokręciła tylko głową. Z daleka już słyszała odgłos dychawicznego silnika starej furgonetki Iana. Powstrzymała się przed spojrzeniem na zegarek.

Vanessa objęła ją, przez chwilę trwały tak w uścisku. Marcie łzy spływały po policzkach. Tak bardzo współczuła Vanessie. Właśnie straciła męża, niedługo urodzi jego dziecko... Wzruszał ją Paul, który opiekował się tak serdecznie wdową po przyjacielu...

Marcie zaśmiała się przez łzy.

– Twoje dziecko kopie.

– To chłopiec. Strasznie rozrabia – powiedziała Vanessa.

Marcie cofnęła się i otarła łzy.

– Mój przyjaciel przyjechał po mnie. Wszystkiego dobrego.

– Dziękuję. Jak się nazywasz?

– Och, nie przedstawiłam się... Marcie Sullivan. Przyjechałam w odwiedziny, wkrótce wracam do domu, do Chico. Święta spędzę z siostrą i bratem. I rodziną męża.

– Miłego pobytu. Wesółych świąt. Dziękuję ci za serdeczne słowa.

Paul pomógł Vanessie wsiąść do wielkiego suwa.

Marcie dała znak Ianowi, żeby jeszcze chwilę poczekał. Wróciła do baru, zabrała ciastka, pożegnała się z nowymi znajomymi i wsiadła do furgonetki.

– Załatwiłaś, co miałaś do załatwienia? – zapytał Ian, kiedy wyjechali z miasteczka.

– Nie zastałam siostry. Rozmawiałam z bratem. Przekáže jej, że u mnie wszystko w porządku. Nie mogłam wybrać lepszego dnia. Trafiłam na sąsiedzkie spotkanie kobiet, taka wymiana świątecznych ciastek. Dostałam cały talerz pyszności.

– Nawiązałaś nowe znajomości.

– Owszem. To bardzo miłe miasteczko, mili ludzie. Powinieneś czasami kontaktować się z nimi.

– Ta kobieta to jedna z nowych znajomych?

– Ta, która mnie uściskała? – zapytała Marcie na wszelki wypadek.

Wyraźnie miała dzisiaj dzień zbędnych pytań.

– Innych nie widziałem.

– Vanessa. Nazwiska nie znam. Jej mąż kilka tygodni temu zginął w Iraku. Złożyłam jej kondolencje.

– Czyli ten facet z nią to nie był jej mąż?

– Ten facet... – Już miała powiedzieć „najlepszy przyjaciel jej nieżyjącego męża”, ale w porę ugryzła się w język. – Jej serdeczny przyjaciel, jak zrozumiałam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dni mijały jeden podobny do drugiego. Tak to jest, kiedy człowiek nie musi iść do pracy, nie ma telewizora, nie ogląda wiadomości i ulubionych programów. Marcie nie wiedziała, czy jest akurat wtorek, a może sobota, ale nie miało to większego znaczenia. Ian pracował siedem dni w tygodniu. Grypa minęła już całkowicie, został tylko męczący kaszel, ale Marcie nadal sypiała prawie do południa. Ian wychodził z domu, kiedy było jeszcze ciemno. Czasami słyszała dychawiczny silnik furgonetki, przewracała się na drugi bok i zasypiała znowu.

Wstawała późno, przygotowywała sobie śniadanie, kręciła się po chacie, dorzucała do piecyka, trochę czytała, ale lektura ją nudziła. Gdyby chciała czytać biografię, wolałaby, żeby była to biografia jakiejś wyjątkowej kobiety.

Tego ranka, dzień po wymianie świątecznych ciastek, kiedy się obudziła, zobaczyła Iana stojącego przy stole. Wyglądał inaczej niż zwykle. Miał na sobie dżinsową marynarkę, białą koszulę, spodnie khaki, porządne buty.

– Późno już – powiedziała zdziwiona. – Nie rozwozisz dzisiaj drew?

– Nie, dzisiaj nie. Wychodzę, wrócę wcześniej. Dobrze się czujesz?

– Tak, czuję się już zupełnie dobrze. Dokąd jedziesz? – Marcie usiadła w pościeli.

Odwrócił na chwilę wzrok, a potem podszedł do kanapy.

– Jadę do kościoła. Czasami tam bywam. Wrócę...

– Chodzisz do kościoła? – zdumiała się Marcie.

– Nie, to nie tak. Czasami zaglądam. Nie należę do żadnego wyznania, zaglądam do różnych świątyń. Rodzice też nie należeli, nie byli religijni. To taki mój zwyczaj. Wrócę...

– Mogę jechać z tobą? Proszę.

– Marcie... – Zabrzmiało to dziwnie bezradnie, może też błagalnie. – Nie rób mi tego.

Zeskoczyła z kanapy, omal nie przewracając Iana, energicznie chwyciła swoje dzinsy.

– Nie mam nic bardziej wyjściowego, ale jak ostatnio byłam w kościele, ludzie byli ubrani zupełnie zwyczajnie.

– Powinnaś zostać w domu.

– Nie sprawię ci kłopotu, obiecuję.

– Mogę być z tobą szczerą? Mówić wprost? Gdy zaczęła wciągać dzinsy, Ian się odwrócił.

– Świetnie. Mów wprost. – Ściągnęła koszulę przez głowę, nie tracąc czasu na jej rozpinanie, i wyjęła z torby najlepszy sweter.

– Siadam sobie z tyłu i słucham muzyki. Mówię dzień dobry i niech będzie pochwalony. Do każdego kościoła chodzę najwyżej raz w roku. Nie chcę należeć do żadnego wyznania, po prostu lubię czasami posłuchać muzyki. Nie szukam wspólnoty...

– Tak, jesteś samotnikiem, wiem...

– Lubię samotność, ale cały czas mam kontakt z ludźmi. Po prostu mieszkam sam. Nie należę do żadnego Kościoła, kongregacji, związku. Po prostu słucham. Może coś w tym jest. Jestem otwarty na inspiracje.

– Świetnie. Pojadę z tobą, będę mówiła dzień dobry i niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Wciągnęła sweter i spojrzała po sobie. Wszystko było pogniecione, ale cóż mogła na to poradzić. Usiadła na sofie i wzięła buty.

Ian miał taką minę, jakby chciał uciec, nie zaś czekać na nią.

– Nie, to na nic. Jesteś osobą, z którą ludzie chętnie rozmawiają. Łatwo zawierasz znajomości, ja przeciwnie. Ja lubię przebywać w domu i...

Marcie napompowała trochę wody i umyła ręce, po czym przyglądała niesforne włosy.

– Weź mnie z sobą, Ian. Mogę siedzieć oddzielnie. Będę udawała, że cię nie znam – mówiła żarliwie. – Mogę udawać bezdomną biedaczkę, włóczykija, kogoś bez imienia i nazwiska, kogoś, kogo się nie dostrzega, jakby nie miał żadnego wyglądu – perorowała.

– Oj, Marcie, żałuję, że powiedziałem ci prawdę. Przywiozę ci jakąś książkę z biblioteki, tylko powiedz, co byś chciała.

– Wybierasz się do biblioteki? O Boże, proszę, proszę, proszę, proszę, zabierz mnie z sobą. Poza wczorajszą wyprawą do Virgin River od przyjazdu tutaj nigdzie się nie ruszałam. Nie muszę z nikim rozmawiać. Naprawdę! Nie każ mi tylko czytać kolejnej biografii ani książek, które dla mnie wybierzesz. Usiądę w kościele oddzielnie i nie odezwę się do nikogo w bibliotece, ale chcę się ruszyć z chaty, zobaczyć ludzi. Szukałam cię przez miesiąc i rozmawiałam z setkami ludzi, dość się nagadałam. Chcę po prostu wyrwać się na chwilę stąd... Nie sprawię ci kłopotu. Jeśli coś zrobię nie tak, możesz warczeć na mnie, ile będziesz chciał. – Zaniósł się kaszlem.

– Jesteś jeszcze chora. Posłuchaj siebie.

– To dlatego, że się zmęczyłam tym proszeniem. Czuję się zupełnie dobrze. Naprawdę. Mel mówi, że wyszłam już z grypy, nie zarażam, a taki przedłużający się kaszel to nic nadzwyczajnego. Proszę, proszę, proszę.

– Cholera jasna – mruknął Ian.

– Piękny język jak na kogoś, kto wybiera się do kościoła – z łobuzerskim uśmieszkiem skomentowała Marcie.

Ian przez całą drogę do Fortuny nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy. Marcie uznała, że skoro udało się jej wyprosić wyjazd, lepiej zrobi, jeśli będzie cicho, jak obiecała. Podjechali do kościoła prezbiteriańskiego. Marcie weszła pierwsza i zajęła miejsce w ławce z tyłu. Ian usiadł po przeciwnej stronie nawy, jakby w ogóle jej nie znał.

Chciał być sam. W porządku. Nie zamierzała irytować się jego dziwactwami. Wysłuchiwała czytania ewangelii, kazania, chóru.

Była połowa grudnia, pora powracania do narodzin Jezusa. Zwykle nie bywała w tym okresie w kościele, szła na nabożeństwo dopiero w pierwszy dzień świąt. Lubiła historię narodzin: stajenka, pasterze, Trzej Królowie...

– Jako chrześcijanin, teolog i człowiek zawsze zadaję sobie pytanie – mówił pastor – czy owa Gwiazda Betlejemska była zwykłym zjawiskiem astronomicznym, czy też znakiem bożym. Oczywiście spodziewacie się, że powiem, iż była cudownym znakiem bożym zwiastującym narodzenie Jezusa, jak mówi Ewangelia, a jednak ważniejsze od tego, czy było to zjawisko naturalne, czy też cud boży, jest dla mnie znaczenie Gwiazdy Betlejemskiej. Otóż zaraz po krzyżu to drugi najważniejszy symbol chrześcijaństwa. To dar światła, wskazówka, przewodnictwo, wędrówka do celu, to zrozumienie i iluminacja. – Kapłan przerwał na moment dla zaznaczenia wagi tych słów. – Czy zdarzyło się wam kiedyś pragnąć czegoś, ale nie wiedzieliście, jak to osiągnąć? Zdarzyło się wam być jednym z tych ludzi, którzy rzadko się modlą i nagle, postawieni w rozpaczliwej sytuacji, padają na kolana, prosząc o pomoc? Gwiazda to wiara. Przekonanie, że moc większa niż nasza wola prowadzi nas ku przeznaczeniu. Gwiazda jest sensem, celem w życiu, obietnicą, że dostąpimy boskiej iluminacji. Że nasza droga będzie oświetlona światłem zrozumienia i że się nie potkniemy w ciemnościach. Oto cud

Gwiazdy Betlejemskiej. – Pastor znów uczynił pauzę. – Moi drodzy, zaczyna się czas świąteczny, czas miłości, uzdrawiania, przebaczenia... czas obietnicy. Tradycyjnym obyczajem będziemy wypatrywali na niebie pierwszej gwiazdki, błysnie ta lub tamta, astronomowie potrafią podać nazwę każdej z nich. Lecz dla nas to będzie symbol Gwiazdy Betlejemskiej, naszej przewodniczki. Gwiazdy, która rozbliła na niebie przed dwoma tysiącami lat i od tamtej pory mieszka w naszych sercach.

Marcie łzy spływały po policzkach. Proste, z głęboką wiarą wypowiedane słowa pastora w przedziwny sposób trącały czułe struny w jej duszy.

– Pomódlmy się – ciągnął pastor – abyśmy pozwolili Bogu wieść się w dobrym kierunku, czynić dobro, naprawiać krzywdy, oczyszczać serca, prosić o przebaczenie. A potem zaśpiewamy.

Marcie już się modliła, ale nie do Boga. Kierowała swoją modlitwę do kogoś innego:

– Pomóż mi, Bobby – szeptała bezgłośnie. – Czy powinnam być tutaj? Robić to, co robię? On jest taki, jak mówiłeś, silny, niepokonany, a przy tym czuły i słodki. Skomplikowany i prosty. Czasami moje myśli ulatują w mistyczne rejony, myślę o Jezusie gniewnym, przepędzającym przekupniów ze świątyni, ale i o Jezusie karmiącym głodne rzesze pięcioma bochnami chleba i pięcioma rybami... Gdybyś słyszał, jak on na mnie ryczał, jakbym stanowiła dla niego największe zagrożenie. A potem karmił jelenia, który jadł mu z ręki... Kiedy na podwórzu chaty pojawiła się puma, przepędził ją strzałem w powietrze, chociaż mógł zastrzelić... zresztą pewnie powinien. On jest dobry, Bobby. Nie mógł zrobić czegoś takiego bez... Och, Bobby, jeśli popełniam błąd, wkraczając w jego świat, jeśli zakłócam jego życie, unieszczęśliwiam go, daj mi znak, proszę. To prawda, pragnę, żeby Ian zaznał

ukojenia. Ja też tego potrzebuję. Klnę się na Boga, że chcę tylko dobra, chcę poczuć, że wszystko wreszcie jest na swoim miejscu, że wszystko zostało uporządkowane i możemy żyć dalej w spokoju, tego przecież pragnąłeś dla nas. Proszę, odpowiedz mi, Bobby.

Kiedy tak zwracała się do nieżyjącego męża zamiast do Boga, wierni wstali i zaczęli śpiewać hymn. Otarła łzy. Jestem zupełnie pomyłona, upomniała się w duchu. Modłę się do człowieka, który zmarł przed rokiem, a którego straciłam kilka lat wcześniej. Naprawdę wierzę, że Bobby udzieli mi odpowiedzi prędzej niż Bóg? Zwariowałam.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę Iana. Stał w ławce wyprostowany, wysoki, zarośnięty. Dumny. Nie śpiewał. Tu, gdzie jego głos mógł zabrzmieć całym swoim pięknem i zostać doceniony, nie śpiewał. Jakie straszne marnotrawstwo. Tak bardzo pragnęła, żeby kongregacja mogła się zachwycić i zdumieć, tymczasem Ian milczał.

Przełykała łzy. Może nie jest taki cudowny, może nie chce, nie umie dzielić się z innymi.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego ten epizod, w którym było tyle uduchowienia, nagle przyprawił ją o złość. Nie chciała się nad tym zastanawiać, lepiej zostawić sprawy samym sobie i iść dalej. Uporządkować swoje życie.

Pastor odczytał błogosławieństwo i zaintonował hymn na wyjście.

Marcie jako jedna z pierwszych opuściła kościół.

Uścisnęła dłoń pastora i podziękowała mu za poruszające kazanie.

– Chyba poruszyło cię za bardzo, siostró – zauważył.

– Trafiło do serca. – Marcie bała się, że łzy znowu staną jej w oczach.

Pastor uściskał ją serdecznie.

Niedobrze. Gotowa zupełnie się rozkleić w objęciach wielebnego. Po śmierci Bobby'ego otrzymała miliony uścisków, ale ostatnio była na nie mało odporna. Dziwna rzecz, uścisk pastora był niczym dłoń Bobby'ego na jej ramieniu. Jakby chciał powiedzieć, by szła za głosem serca.

– Dziękuję, pastorze – powiedziała, uwalniając się z jego objęć. – Piękne kazanie.

– To ja ci dziękuję. Zawsze mam wątpliwości, czy jest dopracowane. To ustawiczne zmaganie. Przychodź do nas.

– Oczywiście.

Podeszła do furgonetki. Widziała, jak Ian ściska dłoń pastora, coś do niego mówi, śmieje się nawet. Co za dwoistość, myślała. Samotnik i człowiek swobodnie obracający się między ludźmi. Jego świat jest wyzbyty pośpiechu i jakże wielu wymagań, oczekiwań, pragnień... jest cichy, poukładany, spokojny. I takie same są jego kontakty z bliźnimi.

Kiedy go szukała, wypytywała setki ludzi, czy znają Iana Buchanana, lecz odpowiedź zawsze była taka sama:

– Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi. Ian był miły i przyjazny, ale nikt go nie pytał, jak się

nazywa, a on się nie przedstawiał, nigdy do nikogo na tyle się nie zbliżał.

Kiedy ruszyli, Marcie zagadnęła:

– Czy pastor pytał cię o nazwisko?

– Nie. Dlaczego?

Otóż to. Poza tym wyglądał teraz zupełnie inaczej niż na zdjęciu, które pokazywała wszystkim.

– Nic. Byłam po prostu ciekawa.

– Zanim pojedziemy do biblioteki, wstąpmy na dobre śniadanie, okej?
Zjadłabyś coś?

– Chętnie – powiedziała cicho.

– Dobrze się czujesz, Marcie? Wzruszyła ramionami.

– W kościele ogarnął mnie sentymentalny nastrój. Filiżanka kawy dobrze mi robi.

– Znam świetne miejsce.

Był to, jakżeby inaczej, bar dla kierowców. Na parkingu stało kilkanaście potężnych osiemnastokołowców. Kiedy weszli, mocno zbudowana, tleniona kelnerka w średnim wieku przywitała Iana poufale, jak wita się znajomych klientów.

– Siemasz, kolego. Jak leci? Dawno się nie pokazywałeś.

– Jakoś przędę, Patti.

Kelnerka traktowała Iana jak znajomego. A więc bywał wśród ludzi, nie zdziczał w swojej pustelni, tyle Marcie mogła wywnioskować.

Patti naląła im kawy.

– Dać wam chwilę czasu?

– Tak. – Ian skinął na Marcie. – Pani musi najpierw przejrzeć kartę.

– Rozumiem, że ty zamawiasz zawsze to samo.

– Tak, mam swoje stałe dania – przytaknęła. Marcie przejrzała menu, po czym oznajmiła:

– Ja wezmę omlet z serem.

– Dobry wybór – z uśmiechem powiedziała Patti.

Ian podniósł dłoń.

– Dla pani omlet z serem, garnirowany, a dla mnie...

– Cztery sadzone z boczkiem – zaczęła recytować kelnerka – kielbaskami, pasztecikami, smażonymi ziemniakami w plasterkach,

biskwitami i sosem gravy, do tego tost z białego chleba, sok pomarańczowy...
aha, i mam pilnować, żeby cały czas dolewać ci kawy.

Uśmiechnął się do kelnerki i był to najprawdziwszy uśmiech. Marcie przemknęło przez głowę, że na miejscu Patti nabrałaby przekonania, że Ian chce ją zaprosić na randkę.

Przy drugiej dolewce kawy Marcie odzyskała równowagę ducha. Kofeina zawsze miała zbawienny wpływ na jej psychikę. Gorąca kawa, nie to, co Ian jej zostawiał na piecyku, kiedy wychodził rano. Mocna, gorąca kawa.

– Jesteś zaprzyjaźniony z Patti? – zagadnęła.

– Przyjeżdżam tu mniej więcej raz na dwa miesiące. Lubię Patti.

– Dlaczego nie śpiewałeś w kościele?

Ian odstawił filiżankę.

– Nie chciałem.

– Ale dlaczego?

– Nie chcę się popisywać. Śpiewałem w chórze szkolnym, wystawialiśmy w liceum „Grease”. Mam niezły głos, ale nie chcę śpiewać publicznie.

– Kogo grałeś w „Grease”?

– Nieważne.

– Kogo? – Gdy mruknął coś niewyraźnie, Marcie nachyliła się ku niemu i powtórzyła dobitnie: – Kogo?

Ian wzniosł oczy.

– Danny'ego.

– Byłeś gwiazdą! Johnem Travoltą. Tyle że śpiewasz lepiej niż on.

Ian rozejrzał się nerwowo.

– Mów trochę ciszej.

– Przepraszam. Jeszcze raz przepraszam. Masz jakieś wykształcenie muzyczne?

– Studiowałem strategię wojskową. Myślałem, że o tym wiesz.

– Przepraszam. Wkraczam na zakazany teren, ale naprawdę bosko śpiewasz. Nigdy nie myślałeś, żeby pójść w tym kierunku?

Ian milczał długą chwilę, w końcu powiedział:

– Śpiewam dla siebie. Sprawia mi to przyjemność, wypełnia czas. Nie próbuj mnie ratować, Marcie. Nie wyciągniesz mnie z mojej chaty i nie zamienisz w gwiazdę rocka.

Na moment zaniemówiła. Przecież właśnie o czymś takim pomyślała! Może nie chodziło jej o gwiazdę rocka, ale o sławnego śpiewaka, pieśniarza.

– To zbrodnia, że nie masz nawet radia – stwierdziła bezceremonialnie.

– Gdziekolwiek mieszkasz, powinna towarzyszyć ci muzyka. Ian wybuchnął śmiechem.

Patti przyniosła zamówienie i rachunek, który Ian błyskawicznie zagarnął.

– Co takiego? – zdumiała się Marcie. – Zobaczyli, jak wjeżdżasz na parking, i natychmiast wrzucili twoje śniadanie na ruszt? Przygotowanie tego wszystkiego nie trwało nawet pięciu minut.

– Po prostu kuchnia dobrze działa. Są zorganizowani, szybcy, dlatego lubię tu jadać.

– Zapłacę za siebie, mam pieniądze – zaproponowała.

– Wiem. Osiemdziesiąt dolarów. – Ian zaczął od jajek.

– Naprawdę chcę się dołożyć do rachunku – upierała się Marcie.

– Zapomnij. Ja płacę. – Przełożył na talerz Marcie pasztecik, który kuchnia dodała do jego śniadania poza zamówieniem. – Spróbuj, takiego pysznego pasztecika nigdy nie jadłaś.

– Przy swojej pracy musisz wydawać mnóstwo na paliwo. – Marcie wzięła do ust pierwszy kęs pasztecika. – Miałeś rację. Doskonały. Świetny.

Ian odkroił kawałek biskwitu, zanurzył w gravy i podał Marcie do ust.

– A teraz spróbuj tego, jeszcze lepsze.

Na moment znieruchomiała. On ją karmi ze swojego widelca? Nachyliła się posłusznie, po czym przytknęła oczy i zamruczała z aprobatą.

– Pycha – stwierdziła.

W zachowaniu Iana były intymność i serdeczność, które chwytały za serce i wzruszyły Marcie.

Kiedy podjechali pod bibliotekę w Eurece, Marcie zapytała:

– Będziemy mogli trochę pomarudzić, pogrzebać w książkach, czy też się śpieszymy?

– Jak się czujesz? Ciągłe kaszlesz.

– Czuję się świetnie. Ten wyjazd bardzo dobrze mi zrobił, przecież cały czas siedzę sama w chacie. Wybiorę kilka książek, będę czytała, kiedy ty wyruszysz z drewnem do klientów, tylko nie wiem, na co tak naprawdę mam ochotę.

– Możesz się rozejrzeć, nie śpiesz się. Chciałbym przejrzeć gazety.

Marcie zaczęła więc krążyć między półkami, wyjmowała kolejne powieści, podziwiała kolorowe okładki, czytała króciutkie streszczenia z tyłu, zaglądała na pierwszą stronę, wahając się, co wybrać. Siadała z książką na podłodze i była szczęśliwa, że jest wśród ludzi i przyjemnie spędza czas.

Przeglądała wszystko, od klasyki po edukacyjne książki dla dzieci, ale tak naprawdę interesowały ją współczesne romanse, które ludziom zmęczonym codziennym trudem czy stojącym na rozdrożu oferowały nadzieję, wykorzystując niby naiwną, a jednak mądrze przemyślaną, optymistyczną wizję życia. Były to przesycone głębokimi uczuciami powieści

ze szczęśliwym zakończeniem. Bohaterowie musieli pokonać liczne trudności, a nawet zaznać bólu, lecz wszystko w końcu dobrze się układało.

Marcie mocno zastanawiała się nad wyborem, wiedziała przecież, że będzie to jedyna rozrywka podczas samotnych godzin w chacie. Nie potrafiła powiedzieć, ile czasu minęło, kiedy w końcu usłyszała głos Iana:

– Gotowa?

– Tak. Możesz wziąć dla mnie te trzy?

– Myślisz, że przeczytasz to wszystko, zanim wyjedziesz?

– Tak. – Była to połowiczna odpowiedź albo nawet i nie to, za to okraszona uśmiechem.

Ian załatwił formalności związane z wypożyczeniem i czekał z książkami przy drzwiach, bo Marcie wdała się pogawędkę z jedną z bibliotekarek. Zaczęły od spokojnej wymiany zdań, ale teraz śmiały się, szeptały coś do siebie, jedna drugiej kładła dłoń na ramieniu, najwyraźniej weszły w komitywę. Gdy Ian odchrząknął, spojrzały w jego stronę. Posłał im mało sympatyczne spojrzenie, a one po prostu wróciły do rozmowy przerywanej śmiechem. Sprawiały wrażenie najlepszych w świecie przyjaciółek.

W końcu uściskały się serdecznie i Marcie ruszyła z Ianem do furgonetki.

– Obiecałaś, że nie będziesz z nikim rozmawiać – stwierdził zrzędlawie.

– Że nie będziesz się z nikim spoufalać.

– Nie spoufalałam się.

– Inaczej to wyglądało. Mówiłem, że ludzie lgną do ciebie, łatwo zawierasz znajomości...

– Nie martw się, niczym cerber strzegłam twojej anonimowości. Powiedziałam, że jesteś moim bratem.

– Wspaniale – burknął. – Teraz będzie pytała mnie o ciebie. A ja staram się być wobec ludzi miły i uprzejmy, ale trzymam się na dystans.

– Nadal możesz. Ona to zrozumie.

– Tak? A niby jakim cudem, skoro moja siostrzyczka cały ten dystans wyrzuciła do śmieci?

– Mówiła, że wybierasz trudne lektury, ale w ogóle nie wdajesz się w rozmowy.

– Doprawdy?

– Owszem. Powiedziałam, że jesteś niezwykle inteligentny, ale trudno cię nazwać zwierzęciem towarzyskim, więc niech się nie spodziewa pogawędek. Wyjaśniłam, że jesteś miły i że tylko tak groźnie wyglądasz, ale nie ma się czego obawiać z twojej strony.

– Jak ci się udało ją przekonać?

– W bardzo prosty sposób. Powiedziałam, że jesteś sawantem idiotą, niezwykle inteligentnym, bardzo odczytanym, za to kompletną ofiarą, jeśli chodzi o nawiązywanie kontaktu z ludźmi.

– Jezu Chryste!

Marcie spojrzała na niebo, na chylące się ku zachodowi słońce.

– Ian, kiedy ostatnio byłeś na piwie?

– Dość dawno temu – mruknął.

– Chciałabym zobaczyć choinkę w Virgin River po zmierzchu. Moglibyśmy wpaść do Jacka. Zanim wypijemy piwo, zrobi się ciemno. Mogłabym zadzwonić do siostry, bo inaczej gotowa po mnie przyjechać. Jack ma bardzo sympatyczny bar, pozwala mi korzystać z telefonu.

– Och, Marcie...

– No, Ian. Mieliśmy taki udany dzień, skończmy go miłym akcentem. Postawię ci piwo. I kolację. Proboszcz wspaniale gotuje.

– Proboszcz?

– Kucharz w barze Jacka.

– Na pewno będzie tam mnóstwo ludzi, a ja nie lubię tłoku.

Marcie zaśmiała się.

– Ian, nawet gdyby w barze zebrali się wszyscy mieszkańcy osady, będzie mniej tłoczno niż w tym twoim barze dla kierowców czy w kościele. Sam mówiłeś, że ciągle przebywasz wśród ludzi, tylko zachowujesz dystans. Jedźmy tam.

Była zaledwie piąta, kiedy Marcie i Ian pojawili się w barze, Ian zatrzymał się przy drzwiach i rozejrzał nieufnie, patrzył na trofea łowieckie na ścianach, przyćmione oświetlenie, ogień w kominku, ludzi przy stolikach zatopionych w rozmowach, kilku samotnie siedzących klientów przy szynkwasiu. Ciepła atmosfera, swojska, przytulna. Nie miał się czego obawiać. Rozpoznał starego doktora, który sącył drinka na uboczu.

Marcie podeszła do kontuaru i zaczęła rozmawiać z barmanem. Ian dostrzegł wolny stół w głębi sali. Stał za plecami Marcie, żeby ją tam zaprowadzić. Wyczuła jego obecność, odwróciła się na moment.

– Ianie, poznaj Jacka Sheridana. Jack, to Ian.

– Miło mi – powiedział Jack. – Co dla ciebie?

– Piwo.

– Butelkowe czy z beczki?

– Beczkowe.

Jack napełnił szklanice.

– Telefonuj, jeśli chcesz – zwrócił się do Marcie. – Proboszcz jest w kuchni. – Marcie zniknęła, a Jack postawił piwo.

Ian wziął szklanke i usiadł przy stoliku w kącie sali. Przyglądał się, jak Jack przygotowuje drinki, poleruje szkło, żartuje z klientami, przestawia

butelki, odnosi brudne szklanki do kuchni. Zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na Iana, podobnie jak na siedzącego przy barze doktora i kilku innych samotnych klientów.

Minęło dobrych dziesięć minut. Cóż, Marcie musiała mieć bardzo zajmującą rozmowę z siostrą. Ciekawe, co jej powiedziała o mnie, zastanawiał się. Dzikus z lasu? A może sawant idiota?

– Jeszcze jedno? – zagadnął Jack, wskazując prawie pustą szklankę Iana.

– Dziękuję.

– Daj znać, jak będziesz chciał następne – rzucił Jack i odszedł.

– Aaa – odezwał się Ian. Nieartykułowany dźwięk, który nie musiał oznaczać zaproszenia do rozmowy.

Jack odwrócił się, uniósł brwi, milczał jednak.

– Powiedziała ci, żebyś zostawił mnie w spokoju?

Jack parsknął śmiechem.

– Pierwsza zasada, której się uczysz, kiedy otwierasz bar, brzmi następująco: rozmawiaj, kiedy ludzie chcą rozmawiać, a kiedy nie chcą, to milcz.

Ian przechylił głowę. Być może mógłby tu zaglądać od czasu do czasu.

– Przedstawiła mnie bibliotekarce w Eurece jako sawanta idiotę.

Jack uśmiechnął się i raptem Iana ogarnęło dziwne uczucie. Historyjka była zabawna, na tyle zabawna, że miał ochotę się nią podzielić. Kiedyś lubił rozśmieszać swoich żołnierzy.

– Mówiła ci, że mnie szukała?

– Mówiła.

Z jakichś powodów, niejasnych dla niego samego, Ian otworzył się odrobinę. Stało się tak po raz pierwszy, od kiedy zamieszkał w górach.

– Mówiła ci coś o mnie?

– Coś mówiła.

– Co na przykład?

– Ot, choćby to, że byłeś w Al-Falludży. I tak się składa, że w tym samym czasie co ja.

– Powinienem być się domyślić. Wyglądasz na żołnierza Marine Corps. Dla jasności, nie rozmawiam o tamtym czasie.

Jack uśmiechnął się leniwie.

– Dla jasności, ja też nie.

– Hej, Erin – przywitała siostrę. – Chciałam się zameldować.

– Marcie, na litość boską, gdzieś ty się podziewała? Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak Erin chodzi w tę i z powrotem ze słuchawką w rękę, jak zawsze, kiedy była w stresie. No a przez nią była mocno wytrącona z równowagi.

– Wiesz, gdzie się podziewałam. Jestem u Iana. Dzwonię z Virgin River. Ian mieszka niedaleko. Przekazałam wiadomości przez Mel, rozmawiałam też z Drew.

– Owszem dzwoniła jakaś kobieta. Czy mówiła, że mieszkasz u niego? Nie, nie mówiła. Naprawdę mieszkasz u niego? W jakiejś głuszy, gdzie nie ma nawet telefonu?

Marcie westchnęła głęboko.

– Uspokój się. On nie potrzebuje telefonu. Mieszka w wygodnej chacie na szczycie wzgórza, w cudownym otoczeniu. Zaprosił mnie... tak jakby. Zaproponował... że mogę się u niego zatrzymać, jeśli mam ochotę...

– Tak jakby? Jeśli masz ochotę? Na Boga, co ty wygadujesz?

– Postaraj się mnie wysłuchać, Erin, i przestań mną komenderować. Odnalazłam go. Chcę poznać. Zrozumieć. Chcę zrozumieć wszystko. Po prostu wszystko. A na to trzeba czasu.

– Zwariuję przez ciebie. Moja mała siostrzyczka z jakimś pomyłecem, gdzieś na odludziu...

– Nie jest pomyłecem. To dobry człowiek. Okazał mi wiele serca. Jestem tu zupełnie bezpieczna. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Codziennie rano wyjeżdża z domu, pracuje. Wieczorami, kiedy wraca do chaty, rozmawiamy. Zaczynamy się poznawać. Dzisiaj byliśmy w kościele i w bibliotece. Nie unosi się tak. Wiedziałaś, że to zrobię.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Poproś go do telefonu – twardo zażądała Erin. Tak naprawdę był to rozkaz. – Mam do niego kilka pytań.

– Nie. – Marcie zatchnęła się w panice. – Nie podejdzie do telefonu. Jest... w restauracji, a ja jestem dorosła. On nie potrzebuje twojego pozwolenia, żeby zaprosić mnie do siebie. A ty musisz mi zaufać.

– Dobrze wiesz, że nie chodzi o zaufanie, tylko o niego. Nie znam go. Wiem tylko, że kiedy nie odstępowałaś od łóżka Bobby'ego, Ian Buchanan ani razu nie zadzwonił, żeby zapytać...

– Uratował życie Bobby'emu! – gwałtownie odparowała Marcie. – Ryzykował życie, żeby uratować mojego męża. To mi wystarczy. Chcę mu podziękować. Chcę...

– Na podziękowanie wystarczy pięć minut – przerwała jej Erin.

– Nie będę dłużej dyskutować na ten temat. Zadzwoń za kilka dni, a ty spróbuj ochłonać i nie wtrącaj się w moje sprawy. – Rozłączyła się, naciskając ze złością klawisz.

Spojrzała w ciemne oczy Proboszcza. Pod jego jak zawsze chmurną miną krył się uśmiech.

– No to mamy nowy wątek do powieści, którą napisał życie. Uratował życie twojemu mężowi. Wiwat i hura.

– Myślałam, że wiesz.

– Wiedziałem tylko, że jesteś wdową. To musi być w porządku facet.

Marcie odetchnęła głęboko.

– Dzikie zwierzęta jedzą mu z ręki.

– Naprawdę? Bardziej ufam dzikim zwierzętom niż niektórym udomowionym ludziom. Zostańcie na kolacji.

– Miałam taki zamiar. Ale dlaczego? – zapytała Marcie, myśląc o wcześniejszej uwadze Proboszcza.

– Mamy pieczeń rzymską, udała się jak nigdy – odpowiedział z dumą.

– Och.

– Poza tym to specjalny wieczór. Mel, żona Jacka, znalazła idealny czubek na choinkę, więc będziemy mogli wreszcie zwrócić podnośnik. Dzisiaj pierwszy raz zapalimy lampki, przyjdzie połowa miasteczka. Czekaliśmy z tym, dopóki nie będzie czubka. Mel obejrzała wszystkie anioły, gwiazdy i kule w trzech hrabstwach, lecz wszystko było nie takie, jak sobie wymarzyła, aż wreszcie znalazła i lampki mogą zapłonąć. W przyszłym roku nie będziemy musieli tak długo czekać.

– Fajnie – powiedziała Marcie. – O której zapalacie?

Proboszcz spojrział na zegarek.

– Mniej więcej za godzinę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Marcie dołączyła w końcu do Iana, który od stolika przeniósł się do baru.

Natychmiast pojawił się Jack.

– Co ci podać?

– Wypiłabym kieliszek wina. Może merlota? I dwie porcje pieczeni rzymskiej. I za nic nie pozwól płacić temu facetowi, bo go zaprosiłam. Karmi mnie, od kiedy tu przyjechałam. Teraz moja kolej.

– Masz to u mnie – obiecał Jack.

– Nie wiem, czy powinniśmy zostawać na kolacji... – Ian najchętniej wróciłby już do domu.

– Jeśli masz atak lęku, możemy wracać, ale jeśli wytrzymasz jeszcze trochę, będziesz mógł się rozkoszować najlepszą pieczenią rzymską na świecie. Proboszcz jest nadzwyczajnym kucharzem, uwierz mi, a najlepiej sam się przekonaj. Kiedy przyjechałam do miasteczka, Jack poczęstował mnie jego chili z dziczyzną. Omal nie padłam z zachwytu, takie było dobre.

– Jadłaś dziczyznę, Marcie? – spytał z kpiącym uśmiechem.

– Nie znałam tego jelenia – oświadczyła z godnością.

– Mojego też nie znasz – wytknął jej Ian.

– Ale znam ciebie, a ty znasz Bucka. Gdybyś mnie poczęstował jego mięsem, to jakbyś mnie zaprosił na potrawkę ze swojego przyjaciela.

Ian dokończył piwo, po czym powiedział:

– Jest trochę racji w tym, co mówisz, ale sprawa nie jest aż tak oczywista. Rzecz jasna akurat tego jelenia bym nie zastrzelił, ale gdybym miał zamrażarkę, to któregoś z jego braci pewnie tak. Żyję w lesie, z tej perspektywy trochę inaczej to wygląda.

– Jest w tym coś odstręczającego, ale wolę o tym nie myśleć przed kolacją. Nie wiadomo, kogo poświęcono na pieczeń.

Ian rozejrzał się wokół.

– Teraz rozumiem, dlaczego mówiłaś, że to sympatyczny bar. Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– Masz czego żałować. – Marcie upiła łyk wina. – O czym chciałbyś porozmawiać?

– Rozmawialiśmy cały dzień. Od czterech lat tyle się nie nagadałem. Jeszcze trochę, a stracę głos.

– A ja nie pamiętam, kiedy mówiłam tak mało...

– Miałem wrażenie...

Jack postawił przed nimi dwa gorące talerze, które musiał trzymać przez ścierki. Położył obok sztucze zawinięte w serwetki.

– Jeszcze jedno piwo? – zwrócił się do Iana.

– Czemu nie? – W jego głosie zabrzmiała przyjazna nuta. – Pani płaci. – Rozłożył serwetkę na kolanach.

Marcie patrzyła na tę serwetkę trochę zbita z tropu. W roboczym ubraniu Ian wyglądał, jakby ledwie utrzymywał się przy życiu. Jego potrzeby wykraczały niewiele poza królestwo zwierząt. Chodził zarośnięty, potrafił ryczeć jak obłąkaniec, a przy tym miał doskonałe maniery, ładny akcent, mówił literackim językiem i chociaż milczek, chociaż nietowarzyski, był miły w obejściu.

Kiedy go szukała, bała się konfrontacji z kimś zgorzkniałym, złamanym przez doświadczenia z przeszłości, z kimś, do kogo nie sposób dotrzeć. Trudne, ale zrozumiałe. Tymczasem miała przed sobą całkiem normalnego faceta. Kłębiło się jej w głowie coraz więcej pytań.

– Miałaś rację, jeśli chodzi o talent kucharski Proboszcza. – Ian wytarł usta serwetką, mruczając z aprobatą.

– Mmm... – Marcie rozkoszowała się puree ziemniaczanym, które było tak lekkie i delikatne, że smakowało jak ambrozja.

Ian dokończył swoje danie i pogładził się po żołądku. Porcje były tak ogromne, że Marcie nie była w stanie zmieścić więcej. Podsunęła swój talerz Ianowi.

– Proszę, dokończ, ja już nie mogę.

– Jesteś pewna?

Podawała mu trochę puree na widelcu.

– Jedz.

– Ciekawe, ale twoje ziemniaki są lepsze — stwierdził z uśmiechem.

– Gdybym skończyła swoją porcję, na pewno bym pękła.

– Może trochę jeszcze zjem. Jednak po chwili i on skapitulował.

Milczeli jakiś czas, kończąc drinki. Byli zadowoleni, wyluzowani, niemal szczęśliwi.

Błogi spokój przerwało wejście Mel z synkiem na ręku. Marcie wiedziała oczywiście, że Mel jest w ciąży, ale nie miała pojęcia, że ma już jedno maleńkie dziecko. Maluch zapakowany był w błękitny ciepły kombinezon. Mel uśmiechała się promiennie.

– Jack! I cała reszta towarzystwa. Już czas. Powiedz Proboszczowi, żeby wyłączył piekarnik, ubrał Christophera i niech też przychodzą. Pośpieszcie się. Nie każcie nam czekać.

Ian spojrzał pytająco na Marcie.

– Będą zapalać lampki na choince – wyjaśniła. – Muszę to zobaczyć.

– Skoro masz ochotę...

– Ty nie idziesz?

– Dobrze mi tutaj – stwierdził krótko. Mierzyła go przez chwilę uważnym spojrzeniem.

– Jak chcesz – powiedziała w końcu, zsunęła się ze stołka i wyszła z innymi gośćmi na zewnątrz.

Samochody parkowały w dwóch rzędach, wokół choinki kręciło się mnóstwo dzieci, a jeszcze więcej dorosłych. Byli radośni, roześmiani, wymieniali pozdrowienia i komentarze. Tłum był gęsty i głośny, tętnił życiem i energią. Doprawdy, niesamowity widok w tym małym miasteczku wyrosłym w dzikiej głuszy wśród gór i lasów.

Marcie trzymała się z tyłu, nie przez nieśmiałość, ale dlatego, że chciała widzieć drzewko w całej okazałości. Żałowała, że Ian nie chciał wyjść, ale rozumiała go. W pewnych sytuacjach święta są najtrudniejszym okresem, przypominają o samotności, o bliskich, których nie ma już z nami.

Podeszła do niej Mel.

– Myślałam, że spodziewasz się pierwszego dziecka. – W głosie Marcie zabrzmiała nutka melancholii. Też myślała o dzieciach, wyobrażała sobie, że będzie miała dużą rodzinę, ale kiedy Bobby został ranny, wszystkie nadzieje rozwiały się jak dym.

– To David. Nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę tak szybko po jego urodzeniu, ale stało się inaczej. Jestem załatwiona – odparła z uśmiechem. – Mądrzy ludzie mogliby oczekiwać, że położona będzie miała trochę więcej oleju w głowie.

– Niby marudzisz, narzekasz, a na pewno bardzo się cieszysz, co?

– Na początku się buntowałam, ale dziecko zaczyna się już ruszać, a to przełamuje wszystkie opory, w ogóle wszystko zmienia. – Spojrzała na nią uważnie. – Co u ciebie? Widzę, że w końcu udało ci się wyciągnąć Iana do miasta. Rozmawiałaś z siostrą?

– U mnie wszystko w porządku. Rozmawiałam z Erin. Jest nadopiekuńcza, ale na to nic nie poradzę. Jest o siedem lat starsza ode mnie, dziewięć od mojego brata. Wychowywała nas po śmierci rodziców. Była przy mnie we wszystkich trudnych sytuacjach. Boli mnie, że się jej przeciwstawiam, ale nie żałuję tego, co zrobiłam. Teraz, kiedy Bobby odszedł, chciałaby, żebym odzyskała poczucie wolności, poszła na studia, zajęła się karierą, wyszła ponownie za mąż. Jest bardzo konserwatywna, przez co wydaję się jej trochę zwariowana. Nie rozumie moich posunięć, uważa, że mam nie po kolei w głowie.

– Też tak myślisz o sobie?

– Czasami, ale to chyba normalne. No wiesz, meandry samooceny. Wiem jednak, że dobrze zrobiłam, ruszając w tę pozornie szaloną eskapadę i przyjeżdżając tutaj. Z każdym dniem dowiaduję się coraz więcej o sobie. Nie chcę, by zabrzmiało to sentymentalnie, ale odbywam duchową podróż. Myślałam, że chodzi o Iana, ale być może on znalazł swoje miejsce, natomiast ja muszę uporządkować jeszcze wiele w swoim życiu.

– Oj, kochanie, to wcale nie brzmi sentymentalnie. Mogłabym ci opowiedzieć o różnych swoich zwariowanych posunięciach, kiedy sama szukałam własnego miejsca.

– Chętnie posłucham.

– Popatrz, zaraz zapłonie.

Jack klęczał koło drzewka z przedłużaczami w dłoni. Podłączył je i choinka zabłysła, ożyła. Udekorowana była białymi, niebieskimi i czerwonymi wstęgami opadającymi od czubka aż do samego dołu. Między białymi lampkami błyszcząły czerwone, niebieskie i białe bombki. I złote gwiazdy. Setki naszywek różnych jednostek i formacji wojskowych. Ale

najwspanialej prezentowała się gwiazda na czubku. Była w niej niezwykła moc, bił z niej jasny blask światła wskazującego drogę w mroku.

– Gwiazda – szepnęła Marcie w zbożnym zachwycie.

– Całe miasteczko jej szukało. Mam nadzieję, że pomoże naszym chłopcom bezpiecznie wracać do domu.

– Oby wszyscy wrócili bezpiecznie. – Marcie pomyślała o Bobbym, o jego smutnym powrocie. I o Ianie. Czy i jemu Gwiazda Betlejemka pomoże znaleźć drogę do domu? – Jak zdobyłaś takie multum naszywek?

– Jack i jego przyjaciele mi pomogli. Uruchomili wszystkie kontakty z czasów służby. Telefonowaliśmy, ślaliśmy mejle, faksy, wysyłaliśmy listy. Pomysł drzewka narodził się dość nagle. Sporo miejscowych chłopców zaciągnęło się do wojska, między innymi bardzo drogi mnie i Jackowi dzieciak, któremu Jack od wielu lat ojcował. Mąż Vanni zginął kilka tygodni temu w Bagdadzie. Służył kiedyś pod Jackiem. To drzewko jest także dla niego. I dla Vanni. Musieliśmy to zrobić. W ogromnym pośpiechu, ale udało się. Całe miasteczko pomagało. Zaniedbałam przez to przychodnię, więc wyobrażasz sobie, jak Dok zrzędził, ale myślę, że był szczęśliwy.

– Niezwykłe.

Ochy i achy ucichły, rozległ się chóralny śpiew.

Zgromadzeni zaczęli od jednej z najpiękniejszych kolęd, od „Cichej nocy”. Marcie zerknęła w stronę baru i uśmiechnęła się. Ian stał na ganku, przyglądał się drzewku, patrzył na gwiazdę. Pomyślała, że co ma być, to będzie. Przyrzekła sobie nie ingerować. Mniej więcej po półgodzinie tłum zaczął się rozchodzić. Kiedy zostało zaledwie kilka osób, Ian podszedł do drzewka, oglądał naszywki – trybut dla wszystkich żołnierzy służących krajowi.

Z zadumy wyrwał go paskudny kaszel Marcie. Podszedł do niej, wziął za rękę i poprowadził do furgonetki.

– Wzięłaś z sobą lekarstwo?

– Nie. – Znowu zaczęła kasłać. – Wiem, że głupio zrobiłam, ale śpieszyłam się, tak bardzo chciałam jechać z tobą, wsiąść do furgonetki, zanim się rozmyślisz.

– Szybko wskoczyła do środka i znów się rozkasłała.

– Przepraszam – sapnęła, kiedy napad kaszlu minął.

– Za co właściwie? Za to, że kaszlesz, czy za to, że przez cały dzień musiałem znosić twoją obecność?

Zerknęła na Iana, ale nie widziała jego oczu i nie potrafiła powiedzieć, czy jest zły, czy rozbawiony.

– Za jedno i drugie.

– Przecież nie kaszlesz mi na złość, a dzień był udany.

– Naprawdę tak uważasz? Dobrze się czułeś? No, chociaż w miarę?

– Chociaż w miarę. A już najbardziej spodobał mi się sawant idiota. Szybko myślisz. – Marcie uśmiechnęła się, a gdy stłumiła ziewnięcie, dodał: – Musisz być bardzo zmęczona. Czułaś się na tyle dobrze, że oboje zapomnieliśmy o oczywistym fakcie, że przez kilka dni byłaś naprawdę chora. Powinnaś się teraz oszczędzać.

– Nie muszę się oszczędzać, jak to nazywasz. Powinam trzy razy dziennie brać moje lekarstwo, a dzisiaj nie wzięłam ani razu. Przyznaję, karygodna bezmyślność. Jak wrócimy, w ramach pokuty pokłęczę sobie na grochu, ale poza tym nic mi nie będzie. – Znowu zakasłała. – Łyknę to świństwo, jak tylko wrócimy do domu. – Zadumała się na moment. – Ian... czy czasami czujesz się samotny?

W pierwszej chwili pomyślał, że nigdy, jednak odpowiedział tymi oto słowy:

– To dziwne, jak szybko człowiek potrafi przyzwyczać się do ciszy, do tego, że mieszka sam. Nie sądziłem, że tak to się przeciągnie.

– To znaczy, że zamierzałeś wrócić? Do Chico? No, gdziekolwiek, po prostu między ludzi. Wyjść z ukrycia?

– Marcie, ja się nie ukrywam. – Zdziwiony spojrział na nią. – To prawda, nie mówiłem nikomu, dokąd zmierzam, ale tylko dlatego, że sam nie wiedziałem. Nie powiedziałem też nikomu, dokąd trafiłem, ale nie dlatego, że się ukrywam. Bo się nie ukrywam, tyle że robię jak najmniej szumu wokół siebie. Ale w razie potrzeby każdy może do mnie dotrzeć. Mam prawo jazdy, które służy za dowód tożsamości, mam zarejestrowany na swoje nazwisko samochód, płacę podatki. Prowadzę też mały biznes, choć może niezupełnie oficjalnie. Sama więc widzisz, że nie tak trudno mnie znaleźć, choć po prawdzie nikt mnie nie szukał. Oczywiście poza tobą.

– Byłam na policji, sprawdzili, czy jest samochód zarejestrowany na twoje nazwisko, chociaż zastrzegli, że żadnych danych nie będą mogli mi podać. – Znowu zakasłała. Tak się dzieje, kiedy człowiek zwalcza resztki grypy, zapomni o lekarstwie i jest trochę zmęczony.

– Byłaś pewnie na policji w hrabstwie Humboldt? A chata jest tuż za granicą, w Trinity.

– Och. – Zamilkła na moment. – Mogę cię o coś spytać? Co cię sprowadziło właśnie tutaj?

– Pamiętałem te okolice jeszcze z dzieciństwa. Przyjeżdżałem tu z ojcem na ryby jako mały chłopiec, potem jako nastolatek. Było to przed śmiercią mamy, kiedy ojciec był zupełnie innym człowiekiem. To jest świat, który na

zawsze zostaje w duszy. Potrzebowałem czegoś takiego, gdzie człowiek może żyć bez stresu. Zresztą sama mówisz, że jest tu pięknie.

– I tak minęły cztery lata...

– I tak minęły cztery lata – powtórzył w zadumie. – W marines przekonałem się, że wysiłek fizyczny dobrze mi robi. Zmęczyć się, sforsować, to działa na mnie ożywczo, pozwala zrozumieć, kim jestem, co potrafię. To dobre życie, surowe, ale dobre. Pozwala mi jasno myśleć. Pojawiłem się tutaj późnym latem, z plecakiem i śpiworem. Wtedy uważałem, że powinienem trzymać się z dala od ludzi. Chciałem zastanowić się nad różnymi sprawami, zrozumieć, jak moje życie się zmieniło po odejściu z Marine Corps. Nie wiedzieć kiedy minęło kilka miesięcy i zaczął padać śnieg. Mogłem skorzystać z bonusów przysługujących weteranom, pójść do college'u, wziąć roczny zasiłek, kredyt, szukać pracy, ale nie byłem gotowy. Raleigh dał mi kopa w tyłek dosłownie i w przenośni. Zamieszkałem z nim i znów, nim się zorientowałem, minęło kilka następnych miesięcy. Stary zachorował, trzeba było się nim zaopiekować. Ktoś musiał, padło na mnie. Kiedy odszedł, okazało się, że już nawykłem do nowego życia, a nawet je szczerze polubiłem.

– Ale nie miałeś przyjaciół...

– Nie potrzebowałem ludzi. Widać niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Słucham?

– Cóż, spłodził mnie stary Buchanan. Kiedy mama umarła, miałem dwadzieścia lat i od jakiegoś czasu służyłem już w marines. Chorowała na raka, od diagnozy podjęła walkę, która trwała trzydzieści siedem miesięcy. Miała zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, kiedy poległa w tej wojnie... Tak, walczyła, bo chciała żyć dla męża i syna, miała jednak w sobie tę duchową mądrość i była gotowa na śmierć, wiedziała przecież, że to nieuchronne, czy teraz, czy później... Natomiast ojciec nie potrafił pogodzić się z jej śmiercią.

Zgorzkniał. Nigdy zresztą nie należał do pogodnych. Zamknął się w sobie, to, co kiedyś lubił, przestało go interesować. Odciął się od tych kilku przyjaciół, których miał. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem na przepustkę, było z nim gorzej. Miałem nadzieję, że się w końcu otrząśnie, ale nigdy już nie doszedł do siebie. Przysiągłem sobie, że nigdy, w żadnej sytuacji nie dopuszczę, by ze mną stało się coś podobnego.

– I stało się?

– Stało się inaczej. Nie ma we mnie gniewu, złości. Nawet jeśli, to niewiele. Jestem samotnikiem, bo właściwie zawsze byłem sam.

– Nigdy nie chciałeś nic więcej? Nie tęskniłeś za tym, żeby mieć przyjaciół? Albo takie banalne rzeczy jak prysznic, toaleta w domu? Porządna zastawa?

Ian wyszczerzył zęby.

– Zastanawiałem się nad zainstalowaniem prysznica, ale my, ludzie z gór, nie potrzebujemy codziennych kąpieli.

– Nie chciałbyś mieć telewizora, wieży, komputera?

– Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale mnie wystarczą potężne, sięgające nieba drzewa, miś, który podchodzi niebezpiecznie blisko pod chatę, jelen, który je mi z ręki, a także widok, który sprawia, że każdego ranka mam ochotę paść na kolana. No i ciężka praca, dzięki której mogę zrobić najpotrzebniejsze zakupy. Przykro mi, że nie ma u mnie prysznica i toalety, ale jakoś obywam się bez tych luksusów.

Marcie odwróciła się i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie boisz się, że skończysz jak stary Raleigh? Spędzisz resztę życia w tej chacie?

– Staram się przynajmniej raz w roku być u dentysty, bo chcę zejść z tego świata z własnymi zębami. On mógł jeść tylko zupy i jakieś rozgotowane pacie. Poza tym nie miał wcale złego życia.

– Nie mógłbyś pomyśleć o lepszym sposobie zarabiania na zakupy, niż handlowanie drwami?

Spojrzał nią zdziwiony, po czym odparł:

– Nie handluję drewnem dlatego, że jestem głupi czy biedny, tylko dlatego, że dobrze na tym zarabiam. Drewno nic mnie nie kosztuje, w takim handlu nie ma żadnych narzutów. Lubię ścinać drzewa, rąbać drwa. Pracuję cały rok i nieźle zarabiam, kiedy przychodzi sezon. Wiosną i latem pracuję dla firmy zajmującej się przeprowadzkami. Uprawiam warzywnik, łowię ryby, no i oczywiście przygotowuję drwa na sezon. Takie, które podsusza się przez kilka miesięcy, mają lepszy popyt, chociaż są droższe. Rzeka jest głęboka i czysta, ryby dorodne i smaczne. Gdybym potrzebował czegoś więcej, jakoś bym na to zarobił.

– Niczego nie żałujesz?

Ian prychnął zniecierpliwiony, uznał jednak, że pytanie wymaga odpowiedzi:

– Wielu rzeczy żałuję, Marcie, ale to, jak żyję i jak pracuję, całkiem mi odpowiada.

Odetchnęła głęboko, nim poruszyła następny temat:

– Nie żałujesz, że odszedłeś od Shelly?

Nasrożył się na tak osobiste pytanie, ale ku jej zaskoczeniu odpowiedział:

– To niezupełnie tak. Nie jestem pewien, kto kogo tak naprawdę zostawił. – Skreślił na górską drogę prowadzącą do chaty.

– Ona mówi...

Ian odwrócił głowę gwałtownie ku Marcie.

– Rozmawiałaś z nią?

– Myślałam, że może wie coś o tobie – odpowiedziała słabiutkim głosem.

– Nie będziemy o tym mówić. Koniec.

Przez resztę drogi milczeli. Marcie bała się, że musiała go mocno zdenerwować, wprawić w złość, skutkiem czego rano zapakuje ją do ciężarówki i zostawi w przychodni, u Mel.

Kiedy wrócili do chaty, zaraz za progiem zażyła lekarstwo, przebrała się i położyła na kanapie.

Ian napalił w piecyku, rozłożył siennik, po czym przysiadł na brzegu kanapy.

– Kiedy byłem w Iraku, Shelly zajęła się przygotowaniem do ślubu. Mielśmy się pobrać kilka tygodni po moim powrocie. Tymczasem pod moją nieobecność udało się jej rozdać uroczystość do groteskowych rozmiarów. Moja wina, bo godziłem się na każdy jej pomysł. „Co tylko chcesz, kochanie”. Po powrocie nie byłem w stanie myśleć o ślubie, w ogóle o jakiegokolwiek przyszłości, nie wyobrażałem sobie nawet, jak będę mógł dalej służyć w Marine Corps, a przecież miało to być moje życiowe powołanie, zamierzałem odsłużyć całych dwadzieścia lat. Prosiłem, by odłożyć ślub, tłumaczyłem, że nie jestem gotowy, ale o niczym innym nie potrafiła myśleć. Niewiele pamiętam z tamtej rozmowy: że suknia już uszyta, zaproszenia rozesłane, depozyty złożone. Powiedziałem sobie, że zamknę oczy, wyłączę mózg i jakoś przez to przebrnę, ale wiedziałem, że zawiodę Shelly. Byłem zupełnie do niczego, żyłem pod strasznym ciśnieniem, potrzebowałem dekompresji. Jednak Shelly kompletnie nie miała pojęcia, co się ze mną dzieje, bo niby skąd, skoro ja sam nie bardzo wiedziałem. Jak mówię, niewiele pamiętam. W

każdym razie Shelly oświadczyła, że jeśli będę się upierał przy odłożeniu ślubu, mogę iść do diabła.

Marcie słuchała z szeroko otwartymi oczami.

– Ian, ja...

– Nie chcę słyszeć jej wersji. – Uniósł dłoń. – Mam nadzieję, że jest szczęśliwa i że nie spieprzyłem jej życia, a na pewno bym spieprzył, gdybym się z nią ożenił. A teraz spróbuj usnąć. Jutro wrócę wcześniej. Leż, odpoczywaj, poczytaj jedną ze swoich książek.

– Wyszła za mąż. Jest w ciąży – powiedziała Marcie cicho.

– To dobrze. Ułożyła sobie życie. Pamiętaj o swoim lekarstwie.

– Jasne. Oczywiście.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marcie spała, o dziwo, bardzo dobrze pomimo rozmowy z Ianem tuż przed zaśnięciem. Widziała go oczami wyobraźni, trzydziestoletni żołnierz piechoty morskiej wracający do domu z przygniatającym bagażem traumatycznych przeżyć wojennych, z ledwie wygojonymi ranami postrzałowymi, z głęboko okaleczoną psychiką. Jego ukochanej nic to nie obchodzi, dla niej najważniejsze jest, kiedy będzie mogła włożyć wreszcie suknię ślubną.

Nasunęło to Marcie kilka myśli, których w ogóle nie brała pod uwagę, idąc na spotkanie z Shelly. Miała nadzieję, że może ona wie coś o Ianie, niestety nadal chowała urazę do niego i tak naprawdę nic jej nie obchodziło, nic zgoła, co się z nim dzieje. Wysłuchawszy wersji Iana, Marcie przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła z Shelly, kiedy Bobby i Ian byli jeszcze w Iraku. Marcie zadzwoniła do Shelly i zaproponowała spotkanie, uznała bowiem, że powinny się poznać, skoro ich mężczyźni są przyjaciółmi. Shelly była bardzo zajęta.

– Przygotowania do ślubu zabierają mnóstwo czasu – wyjaśniła.

– Chętnie ci pomogę – zaofiarowała się Marcie.

– Dziękuję, ale mama, ciotki i druhny, wszystkie mi pomagają. Dzięki temu jakoś posuwa się to do przodu, ale i tak nie mam chwili wolnej.

– Może mogłybyśmy umówić się jednak na kawę? Nasi chłopcy się przyjaźnią, a my mieszkamy tak blisko siebie – próbowała jeszcze Marcie.

– Daj mi swój numer, jak znajdę chwilę, to zadzwonię – łaskawie zaproponowała Shelly.

Oczywiście nigdy nie zadzwoniła. Nigdy nie miała takiego zamiaru, a Marcie przemknęło nawet przez głowę pytanie, czy ona i Bobby zostaną zaproszeni na ślub?

Ian zostawił jej pół dzbanka kawy na piecyku, ale zanim się obudziła, ogień wygasł. Rozpaliła na nowo, ale nie miała cierpliwości czekać, aż kawa się zagrzeje. Przypomniała sobie wspaniałego szatana w barze Jacka. Owszem, ta kawa nie była najgorsza, ale lepsza byłaby chociaż ciepła, jeśli już nie może być gorąca. Spojrzała na małą kuchenkę propanową. Przecież tak będzie znacznie szybciej. Wzięła dzbanek, podeszła do kuchenki, przyjrzała się jej uważnie. Napis głosił: „Włączone”. Jakie to proste. Przekręciła pokrętło, ale palnik nie zareagował, ani iskierki, poczuła jednak gaz.

– No, zapal się – ponaglała. – Zagrzej kawę.

Powtórzyła operację, ale wciąż nie było iskry, tylko narastająca woń gazu. Trzecia próba także spełzła na niczym. Dostrzegła zapaliki na szafce kuchennej. To jest sposób. Włączy gaz, zapali zapalnik.

Jak pomyślała, tak zrobiła... i buchnął wysoki płomień prosto w twarz. Wrzasnęła i odskoczyła. Zaczęła nerwowo macać rudą szopę na głowie, czy nie stanęła w ogniu. Gaz się uspokoił, kawa grzała się grzecznie, tylko twarz piekła Marcie niemiłosiernie.

Zaczęła wydawać nieokreślone dźwięki, coś między dziecięcym kwileniem i chlapaniem. Wstrząśnięta okropnym wypadkiem, kompletnie nie mogła się pozbierać.

Ale nie, do cholery! Musi się ratować!

Usiadła na kanapie, wciągnęła buty i pobiegła do samochodu, nie myśląc o pełnej złych intencji zwierzynie leśnej. W chacie nie było ani jednego lusterka, przetała rękawem boczne lusterko garbusa, spojrzała i wrzasnęła.

Twarz przybrała ognście czerwony kolor, jak przy poparzeniu słonecznym, włosy tuż nad czołem były przypalone, już nie cudownie rude, ale czarne. Jasne brwi właściwie zniknęły, rzęsy stały się radykalnie krótsze...

Lód, zanim zrobią się bąble!

Biegiem wróciła do chaty i zaczęła szukać czystej ściereczki, ręcznika, no, kawałka materiału, Ian zawsze zostawiał coś na wierzchu, tym razem jednak, jak pech, to pech, nie zostawił nic. W pierwszej skrzyni zobaczyła ubrania, dopiero w drugiej znalazła ścierki i ręczniki. Chwyciła pierwszą z brzegu, zmoczyła w lodowatej wodzie z pompy i przyłożyła do twarzy

– O Boże... – Westchnęła z ulgą. – Mój słodki Boże. Kiedy Ian wrócił godzinę później, zastał niepokojący

widok. Marcie w butach, w jego koszuli, bez spodni, ze ścierką na twarzy leżała na kanapie. Bliski paniki uklęknął i delikatnie zdjął ściereczkę. I aż się zatchnął.

– Nawrót choroby? Masz gorączkę? Zawieźć cię...

– To nie gorączka! – wrzasnęła wściekła na kuchenkę, na siebie, na Iana, na wszystkich świętych i na Buddę do kompletu.

– Ale twoja twarz...

– Stoi w ogniu! Wiem, jestem jak skwarek na patelni.

– Przesadzasz...

– Przesadzam?! Gdybyś łaskawie przyjrzał się uważniej, tobyś zobaczył, że nie mam brwi, chociaż nigdy nie były specjalnie widoczne. No, ale były, a teraz jestem śliczniutka jak z obrazka, co?

– Jezu... – Z wrażenia przysiadł na piętach. – Co się stało? Pożar? Nie ma dymu, popiołu... Skąd to wszystko?

– Chciałam zagrzać kawę na kuchence, ale widać nie umiem zapalać gazu. Gapa z miasta, a teraz wyglądam paskudnie. Boże, a jak już tak zostanie? – Zachlipała.

– To wszystko przez kuchenkę? – zdumiał się.

– Żebyś wiedział! – rzuciła ze złością. – Przytknęłam zapalnik, gaz buchnął mi w twarz...

Przesunął dłonią po zmierzwionych włosach Marcie.

– Będzie dobrze, zobaczysz. – Starał się zachować powagę, lecz i tak wargi mu zadrżały. – Mam cudowną maść na oparzenia, a brwi odrosną.

– Śmiejesz się?! – krzyknęła z najwyższą urazą. – Ty się śmiejesz z mojego nieszczęścia!

Pokręcił energicznie głową w geście zaprzeczenia, ale i tak zachichotał.

– Nie, nie. Rzecz w tym, że...

– W czym? No w czym?

– Przepraszam, Marcie, to moja wina. Powiniennem być ci pokazać, jak...

– Masz rację, to twoja wina! Przywitałeś mnie dzikim rykiem, wystraszyłeś, zmusiłeś, bym wydobyla z siebie całe pokłady oślego uporu, a na koniec zapomniałeś mi pokazać, jak się zapala tę cholerną kuchenkę!

Ian już nie chichotał, tylko wyszczerzył zęby w całej okazałości.

– Zmusiłem cię do oślego uporu? – zapytał, z trudem się powstrzymując, by nie ryknąć gromkim śmiechem.

– Owszem. Moje dobre strony ujawniają się, kiedy ludzie robią to, o co proszę – oznajmiła z godnością. – I możesz mi wyjaśnić – godność ustępowała miejsca wściekłości – co cię tak, do cholery, śmieszy?!

Ian objął się ramionami, przewrócił na podłogę i ryknął śmiechem. Między kolejnymi atakami zdołał wykrztusić:

– Masz twarz w ogniu! I ja cię... zmuszam do uporu. To... moja wina!
Jesteś niezrównana!

Marcie siedziała na kanapie i mierzyła go złym spojrzeniem.

Długą chwilę trwało, zanim się opanował. Śmiech skończył się zadyszka i sapką. Otarł łzy z oczu i spojrzał na Marcie.

– Aż dziw, że nie pękłeś ze śmiechu – powiedziała z kamiennym spokojem, pod którym czaiła się furia.

– Musiałem się bardzo pilnować. – Sapnął jeszcze kilka razy, usiadł, uspokoił się i zapytał już poważnie, choć wargi nadal mu drgały: – Boli cię?

Uniosła brodę.

– Trochę.

– Poszukam tej maści. – Podniósł się z podłogi, otworzył jedną z szafek, wyjął blaszane pudełeczko i delikatnie posmarował oparzoną twarz Marcie, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Cholernie zabawne, prawda?

– Dość zabawne, Marcie. Kuchenka miała zapalniczkę, ale jakiś czas temu się zepsuła. Wygodniej mi zapalać gaz ręcznie, niż zawracać sobie głowę naprawą. Widzisz, tak to jest, jak się żyje samemu. Machasz na różne rzeczy ręką i jakoś funkcjonujesz. Kiedy masz rodzinę, musisz dbać o dom. To lenistwo...

– Nie jesteś leniwy, ciężko pracujesz.

– Powiedzmy w takim razie, że to jedna z tych rzeczy, których nie muszę robić. – Po chwili dodał:

– Wiesz, wcale tak źle nie wygląda... no, twoja twarz.

– Znow się roześmiał.

– Tak, tylko na czole mam dziwną grzywkę z czarnych poskręcanych kosmyków.

– Odrośną, skarbie.

Skarbie? Powiedział do mnie „skarbie”? – pomyślała uradowana, zaraz jednak mina jej zrzędła. To pewnie ze współczucia. Jest dla mnie słodki, bo się przypiekłam...

– Co to za cudowna maść? Aż taka skuteczna?

– Medykament dla koni stosowany przez weterynarzy.

– Wspaniale!

– Jest naprawdę dobra. Lepsza niż jakikolwiek lek dostępny w aptekach, na receptę czy bez, za co należą się specjalne podziękowania panom policjantom z Agencji ds. Żywności i Leków. – Wciąż był wielce rozbawiony.

– Co cię tak śmieszy? Mój wygląd czy też fakt, że zaaplikowałeś mi maść dla konia?

– Śmieję się, bo... – Machnął ręką, rezygnując z wyjaśnień. – Wracaj do siebie, a ja ci poczytam któreś z tych twoich okropnych romansideł, jeśli masz ochotę. Albo przygotuję coś do jedzenia.

– Poczytasz mi?

– Czasami czytałem staremu, kiedy czuł się naprawdę źle. – Wzruszył ramionami. – Chciałem, żeby Raleigh oderwał myśli od swojego losu.

– Wolałabym coś zjeść. I raczej żebyś coś dla mnie zaśpiewał, niż czytał.

– Oj, Marcie...

– Jestem ofiarą poparzenia, więc bądź dla mnie miły.

Ian westchnął i podszedł do kredensu. Zmagazynował tam ponad dwadzieścia dużych puszek potrawki wołowej. Wyjął dwie.

– Chryste Panie! Spodziewasz się wojny nuklearnej?

– Aż takim katastrofistą nie jestem. Za to spodziewam się śniegu. Z chaty do przelotówki 36 mam ładnych parę kilometrów. Zanim odśnieżyłbym moją drogę, mógłbym umrzeć z głodu.

– Żywisz się potrawką z puszki?

– Jest dobra. Gdyby mi nie smakowała, nie kupowałbym jej przecież. – Przerzucił zawartość puszek do garnka i ustawił go na kuchence.

Obserwowała, jak to robił. Najpierw zapalka, potem gaz. No jasne. To jest właściwa kolejność. Powinna palnąć się w głowę.

Nałożył porcję podgrzanej potrawy do sporej miski i podał Marcie. Potem opatulił ją pledem, podał lekarstwo, poprosił, żeby zamknęła oczy i zaczął śpiewać dźwięcznie, miękko „New York, New York”, „When I Fall In Love”, „You Don't Know Me”.

Bała się otworzyć oczy, bo mógłby przestać. Śpiewał Sinatrę, Presleya, stare, melodyjne, łagodne przeboje.

Pomyślała o Abigail Adams, która wychowywała pięcioro dzieci i prowadziła farmę, gdy jej mąż budował zręby Ameryki. Marcie zawsze podziwiała Abigail, miała dla niej ogromne uznanie. Co to za problem iść do wychodka, choćby i z ciężką patelnią przeciw drapieżnikom? Grzać wodę? Czego właściwie potrzebowała? Wosku do brwi z całą pewnością nie.

Zasypiała, myśląc o Abigail, kołysana do snu śpiewem Iana. Kiedy obudziła się rano, na piecyku stał dzbanek z kawą, a na stole leżała kartka:

*Nie zapalaj gazu na kuchence, dopóki nie będziesz
pewna, że wiesz, jak to zrobić.*

Zaczęła się śmiać.

Marcie dotarła w romansie do momentu, w którym bohater porywa bohaterkę w ramiona i obdarza długim, gorącym pocałunkiem, kiedy coś sobie przypomniała.

Jej listy.

Oprócz listów, które pisała do Iana, kiedy był jeszcze w Iraku i na które odpowiadał, regularnie przez dwa lata słała listy na skrytkę pocztową w Fortunie. Listy nie wracały do niej, czyli docierały do adresata, jednak Ian nie odpowiadał na nie.

Zeskoczyła z kanapy i zajrzała do blaszanki, do której co wieczór odkładał zarobione pieniądze. Przestał ją zamykać. Niewiele tam znalazła: spisana przez Doka wolę starego Raleigh, kilka zdjęć rodzinnych, piękne zdjęcie Shelly, zdjęcie Iana i Bobby'ego w mundurach polowych i z szerokimi uśmiechami na twarzach, jakieś zdjęcie dorosłego Iana z ojcem. Na chwilę zapomniała o swoich poszukiwaniach. Na tych zdjęciach było życie Iana w skrócie: chłopiec z przeciętnej rodziny należącej do klasy średniej, młody mężczyzna, który musi radzić sobie psychicznie ze zgorzkniałym ojcem, wreszcie żołnierz Marine Corps, dla którego służba miała być wszystkim. Pojawia się kobieta. Pojawia się wielka przyjaźń... A potem... Nic. Pustka. Pod zdjęciami były jeszcze odznaczenia. Te, które odbierała w imieniu Bobby'ego, przychodziły w wymyślnych pudełeczkach, Ian musiał swoje pudełka wyrzucić czy to w napadzie wściekłości, czy depresji.

Schowała wszystko na powrót do blaszanki, zaniknęła ją. Czuła się nieswojo, że szpera w rzeczach Iana, narusza jego prywatność, ale tak wiele chciała zrozumieć. Otworzyła skrzynie z ubraniami i zagłębiła dłoń po kolei ze wszystkich czterech stron. W końcu wyczuła coś. Listy opasane gumką aptekarską, dwanaście długich białych kopert adresowanych do Iana Buchanana, poczta w Fortunie. Wszystkie od niej. Nigdy żadnego nie otworzył, ale wszystkie zachował.

Patrzyła na listy w zadumie. Co to może znaczyć?

I wtedy usłyszała odgłos silnika. Myśląc, że to Ian, chociaż silnik brzmiał inaczej, szybko odłożyła koperty na miejsce i zamknęła wieko skrzyni. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to nie może być stara furgonetka. Podeszła do drzwi.

Cóż, mogła była się tego domyślić. Za kierownicą wielkiego, nowiutkiego suva siedziała Erin Elizabeth Foley.

Marcie założyła ręce na piersi i przyglądała się, jak Jej Wysokość Siostra wysiada z samochodu.

Erin, ledwie ją zobaczyła, na moment zamarła, po czym postąpiła ku niej, szeroko otwierając usta.

– Boże! Co z tobą?! – ni to pisnęła, ni to krzyknęła, za to na pewno ze zgrozą.

Marcie zapomniała o ognie czerwonej twarzy i zlustrowała się wzrokiem. Miała na sobie koszulę Iana, wysokie buty, więc o co tyle hałasu?

– Tu jest zbyt chłodno, żeby chodzić boso, Erin – odparła zgryźliwie. – Co ty tutaj robisz?

– Przyjechałam zobaczyć, w jakich warunkach mieszkasz. Muszę przyjrzeć się temu człowiekowi. Nie myślisz chyba, że pozwolę ci dalej wyczyniać brewerie, nie wiedząc, z czym tak naprawdę mamy do czynienia? Zabieram cię do domu. Chryste, on cię pobił?

– Pobił? Oczywiście, że nie! My z niczym nie mamy do czynienia. Ja mam do czynienia. To moje sprawy. Wyłącznie moje, a ty chcesz wszystko popsuć.

Gdy Erin podeszła bliżej, Marcie owionął delikatny zapach Chanel Allure. Wielka Siostra miała na sobie skórzaną kurtkę, botki z tej samej skóry, na obcasach, najprawdopodobniej z logo jej ulubionej szpanerskiej firmy Cole Haan. Do tego spodnie w idealny kant, z czekoladowobrązowej wełenki. I

jeszcze cieniutkie gemzowe rękawiczki. Idealnie ułożone, opadające do ramion jasne włosy. Trochę dyskretnej złotej biżuterii, na szyi pomarańczowo–fioletowo–czerwona apaszka od Hermesa.

– Co z twoją twarzą?

Marcie dotknęła dłonią policzka. Nie czuła bólu, dlatego zapomniała już o poparzeniu.

– Mały wypadek z kuchenką gazową. Sama sobie byłam winna, ale czuję się dobrze.

– Byłaś w szpitalu?

– Co takiego? – Marcie zaczęła się śmiać. – Najbliższy szpital jest ponad dwadzieścia kilometrów stąd, ale stosuję doskonały środek, maść dla koni.

– Na litość boską! Zupełnie zwariowałaś.

– Nie przejmuj się, to nic takiego. Wcale nie boli.

– Czuła się tak, jakby znowu miała dziesięć lat.

– Twoje włosy. Twoje piękne bujne włosy. I twoje... twoje brwi.

– Zauważyłam... – Marcie gwałtownie spoważniała.

– Erin, zostaw mnie w spokoju. Robiłam to, o co prosiłaś, dzwoniłam co dwa dni, no, może nie aż tak regularnie, zdarzyło się też, że ktoś zadzwonił w moim imieniu. Byłam ostrożna. Ja...

Erin zacisnęła wargi. Miała minę zagniewanej mamy.

– Jasne. Odnalezienie go to jedno, ale przesiadywanie w tym odludnym miejscu, bez telefonu, to zupełnie... Dobry Boże, a to co? – Wskazała na wychodek.

– Toaleta – poinformowała siostrę Marcie. – Bez bidetu.

– Zaraz zemdleję.

– Mamy porcelanowy nocnik w domu, jeśli pogoda nie pozwala wyjść na zewnątrz. – Nie wspomniała już nic o patelni, gdy pogoda pozwala wyjść.

Erin rzeczywiście się zachwiała, na moment przymknęła oczy. Marcie z trudem zdusiła śmiech. Wyobraziła sobie siostrę usiłującą w swoich botkach ze szpanerskiej firmy Cole Haan dotrzeć do wychodka.

– Najciekawszy jest dzień kąpieli – dodała nielitościwie. – Powinnaś widzieć, jak sobie radzimy.

Erin otworzyła oczy.

– Dzień... dzień kąpieli? Czy dobrze zrozumiałam, że nie można kąpać się codziennie?

– Świetnie rozumiałaś.

– I jakie to musi być kłopotliwe – ciągnęła Erin.

– Trzeba się kąpać szybko. W chacie jest żeliwna koza, to jedyne ogrzewanie.

– Boże! Zbieraj swoje rzeczy.

– Nie. Możesz się rozejrzeć, możesz zadzierać swój nosk piczki zasadniczki, możesz poznać Iana, jeśli będziesz koniecznie nalegała, chociaż zapewniam cię, że Ian ci się nie spodoba. Po czym wyjedziesz, zanim będziesz musiała pójść do wychodka. Z mojej strony to wszystko.

– Pozwól przynajmniej, żebym zawiozła cię do lekarza.

– Byłam u lekarza – oznajmiła Marcie, zanim zdążyła się powstrzymać.

– I co powiedział na to, że stosujesz maść dla konia?

– To liniment. Liniment dla koni. Wyjątkowo skuteczny. Nie potrzebowałam lekarza... no, potrzebny był wcześniej. Zaraz po przyjeździe złapałam grypę, więc Ian sprowadził starego Doka, który przyjechał z pielęgniarką, jego współpracownicą. Dostałam zastrzyk, zostawił mi leki. Ian się mną opiekował, gotował rosół...

Erin przyłożyła palce do skroni, chwilę masowała, potrząsnęła głową, i wtedy zobaczyła małe igloo, obok którego stał jej SUV.

– Hm... a co to?

– Mój garbusek. Postoi tu sobie jakiś czas. I tak nie dałby rady na ośnieżonych i oblodzonych górskich drogach. Śnieg musi stopnieć. Jeśli jeszcze nie jesteś gotowa odjechać, wejdź do środka, Erin. – Odwróciła się i weszła pierwsza.

Jak Marcie łatwo mogła przewidzieć, Erin nie była zachwycona. Rozejrzała się w milczeniu, wzdrygnęła.

– Gdzie łóżka?

– Łóżek nie ma. Ja śpię na kanapie, a Ian na sienniku koło piecyka. Nie pozabawiłam go miejsca do spania. Nie sypia na kanapie, jest dla niego za krótka. Woli siennik.

– Tu jest tylko jedno pomieszczenie...

– To góraska chata, w której mieszka samotny człowiek. Podobną chatkę wynajmował tata, kiedy jeździł z Drew na polowania.

– W niczym jej nie przypomina. Obie doskonale o tym wiemy – powiedziała Erin niemal błagalnie. – Nie mogę cię tu zostawić, Marcie, po prostu nie mogę.

Rozległ się dychawiczny odgłos silnika. Tym razem to furgonetka pięła się na wzgórze. Marcie podeszła do siostry.

– Posłuchaj mnie uważnie, Erin. Nie rozmawialiśmy o Bobbym. W ogóle nie nawiązaliśmy do tamtego czasu.

I ty też nie wspomnisz słowem o swoim szwagrze i o Iraku, rozumiesz?
– Marcie usiadła na kanapie, zdjęła buty i zaczęła wciągać dzinsy. – Ani słowem. Pamiętaj o manierach, nie obraź go, zrób użytek ze swojego prawniczego umysłu i postaraj się zachowywać dyplomatycznie. Mówię poważnie.

– Doprawdy!

– Masz cholernie dużo racji... doprawdy. – Wciągnęła buty i w tym samym momencie w drzwiach pojawił się Ian. Marcie usłyszała, jak jej siostra wciąga gwałtownie powietrze.

Pod spojrzeniem Erin stara kurtka wydała się jeszcze bardziej złachana, broda dziksza i bardziej zmierzwiona.

W oczach Iana pojawił nieprzyjazny błysk.

– Siostra, jak się domyślam. Wyprostowała się dumnie i wyciągnęła rękę.

– Erin Foley. Jak się pan ma?

– Dziękuję. A pani?

– Dziękuję. Miło mi poznać pana. Przyjechałam po Marcie...

– Rozumiem.

– Tylko że ja wcale nie zamierzam wyjeżdżać. Erin chciała cię poznać, co też się stało, i wraca już do Chico. Nie prosiłam jej, żeby tu się zjawiała, Ian.

– Nie wiem, jak miałabyś to zrobić. – Postawił na stole torbę z zakupami. – Może alfabetem dymnym, ale nie brałaś lekcji od Indian.

– Posłuchajcie mnie oboje – z autorytarną powagą rzekła Erin. – Od początku nie podobał mi się ten pomysł. Zimą, kiedy zbliżają się święta, kiedy zaraz minie rok, jak Bobby...

– Erin!

Odchrząknęła, po czym oznajmiła:

– Jak pan zapewne zauważył, moja siostra jest bardzo uparta i zawsze musi postawić na swoim.

– Trudno tego nie zauważyć.

– Szukanie pana to jedno, ale cała reszta jest nie do przyjęcia. Ona nie może tutaj zostać, panie Buchanan. W chacie, gdzie jest jedna izba, gdzie nie

ma łózek, łazienki. Poza tym jest jeszcze chora, nie doszła do siebie po grypie, no i te oparzenia... Bardzo miło, że się pan nią zaopiekował, ale miarka się przebrała. Marcie musi wrócić do domu, do swojej rodziny. Za kilka dni są święta. – Spojrzała na siostrę. – Nie tylko ja martwię się o ciebie, Sullivanowie też się niepokoją. Możesz utrzymywać kontakt z panem Buchananem, możecie spotkać się po świętach, gdzieś, gdzie jest telefon i łazien...

– Erin! – Zdawać by się mogło, że to niemożliwe, a jednak twarz Marcie jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Twoja siostra ma rację – powiedział Ian. – Zbliżają się święta, powinnaś być z rodziną. Będziemy w kontakcie.

– Gdybym była gotowa do wyjazdu, już bym wyjechała. Wróciłabym do domu choćby autostopem. Stać mnie na taką determinację – oznajmiła stanowczym tonem, jakby chciała zaznaczyć deklarowaną determinację. – Zamierzałam zostać tak długo, aż ty... Ian, dopiero zaczęliśmy się poznawać.

– Byłaś tu wystarczająco długo – oznajmił stanowczo – a ja nie jestem przyzwyczajony do obecności ludzi w moim domu. Dobrze, że twoja siostra przyjechała.

– Ian...

– Ona ma rację. Dość tego. Zbieraj swoje rzeczy. Marcie zrobiła krok w jego stronę.

– Myślałam, że...

– Miałaś grypę, musiałaś się u mnie zatrzymać, nieźle sobie radziliśmy, ale teraz wracaj do domu, a ja znowu będę mógł się cieszyć swoją chatą. Nie nawykłem do towarzystwa ludzi, wiesz o tym. Będiesz w dobrych rękach. Twoja siostra wydaje się bardzo... – zmierzył Erin mocno nieprzychylnym spojrzeniem – kompetentna.

– Świetnie. – Erin zatarła dłonie. – Więc jak?

Marcie spojrzała błagalnie na Iana, ale minę miał stanowczą, nieustępliwą, jak na twardziela z lasu przystało.

– Chcesz, żebym wyjechała? Nie wierzę w to.

– Powinnaś jechać z siostrą, Marcie. Ona ma rację. Nie każ rodzinie martwić się o ciebie. Spotkamy się, obiecuję, jeśli tylko będziesz tego chciała, ale ja jestem pustelnikiem i lubię swoje życie.

– Nie jesteś pustelnikiem. Owszem, zachowujesz dystans wobec ludzi, ale sprzedajesz drewno, jeździsz do baru dla kierowców, chodzisz do kościoła, do biblioteki... Nie wierzę, że chcesz się mnie pozbyć. – Ostatnie słowa wypowiedziała niemal szeptem.

– Uwierz. Cieszę się, że mnie odnalazłaś. Przykro mi, że Bobby odszedł.

– Spuścił głowę. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak przykro... – Spojrzał Marcie prosto w oczy. – Jedź już. Wracaj do domu. Tam jest twoje miejsce.

– Już zaczynałam myśleć, że tu jest moje miejsce...

I tyle, nic więcej już nie mogła zrobić. Pokonana Marcie zaczęła się pakować. Nie zajęło jej to wiele czasu. Wszystkie rzeczy z konieczności trzymała w torbie, nawet szampon i kosmetyki. W plecaku miała mapy, notatki i karty bejsbolowe, których nie zdążyła dać Ianowi. Zwinęła śpiwór. W mgnieniu oka była gotowa. Zaczęła jeszcze składać pled, pod którym spała.

– Ja to zrobię – powiedział Ian, ale Marcie jakby go nie słyszała. Złożyła pled w zgrabny kwadrat i położyła na stole pożyczone z biblioteki książki.

– Nie skończyłam czytać nawet pierwszej. Akurat akcja zaczynała się rozwijać. Dziękuję za wszystko. Tyle dla mnie zrobiłeś.

– Tyle co nic.

– Nieprawda. Gotowałeś dla mnie, opiekowałeś się mną, pilnowałeś, żebym brała lekarstwa, chroniłś mnie... Wiem, że sprawiłam ci swoją obecnością wiele kłopotu.

– To wszystko drobiazg.

– Dla mnie to nie był drobiazg. Ian nie odpowiedział.

Zabrała torbę, plecak, torebkę i ruszyła ku drzwiom. Po chwili rzuciła bagaże na tylne siedzenie suwa i usadowiła się na miejscu pasażera.

Bardzo by się ucieszyła, gdyby Ian swoim rykiem przepłoszył Erin precz. Zapewne wróciłaby ze wszystkimi ludźmi szeryfa, w przeciwieństwie do Marcie, która dokończyła sandwicza i omal nie zamarzła na śmierć.

– Podjedź do miasteczka. Chcę się pożegnać z przyjaciółmi.

– Mówisz o Virgin River? – zapytała Erin.

– Tak.

– Posłuchaj, Marcie...

– Nie odzywaj się do mnie. Nawet na mnie nie patrz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Erin podjechała pod bar Jacka.

– Nie siedź tam za długo. Nie chcę jechać po nocy.

Marcie bez słowa wysiadła z samochodu. Siostra, wzór nieufności, ruszyła za nią do baru.

Zapowiedź uśmiechu zniknęła z ust Jacka, kiedy zobaczył twarz Marcie.

– Aj...

– Zepsuta kuchenka propanowa – wyjaśniła, sadowiac się na stołku. –

Nie pytaj.

– Nie śmiałbym.

– Piwo.

– Już się robi.

Napełnił szklanke beczkowym i przywitał Erin.

– Widzę, że znalazłaś chatę bez problemu.

– Bogu niech będą dzięki. Czy wiesz, w jakich warunkach on tam mieszka? – spytała ze zgrozą.

– Górskich – odparł Jack z nieco kpiącym uśmiechem. Erin doskonale wiedziała, z kogo sobie podkpiwał. Z miastowej panny. – Tutaj sporo ludzi tak mieszka – rzekł już normalnym tonem. – Sam mieszkałem bardzo nędznie, kiedy budowałem bar.

– Tam nie ma łazienki.

– To nic niezwykłego w tych okolicach, po prostu co kilka lat trzeba wykopać nowy wychodek. Bardzo wiele chat usytuowanych jest zbyt wysoko, zbyt daleko, żeby myśleć o podłączaniu do kanalizacji. To samo dotyczy elektryczności. Jeśli chcesz mieć w domu prąd i telewizję, musisz kupić generator i antenę satelitarną. Są setki takich chat.

– Dlaczego?

– Och, gdybyś się rozejrzała wokół, nie pytałabyś.

Drzwi się otworzyły i do baru weszła Mel z Davidem na ręku. Podała małego Jackowi, usiadła obok Marcie i otworzyła usta z wrażenia.

– Drobnie oparzenie – wyjaśniła Marcie.

– Rany. Co stosujesz?

– Maść dla konia. Poskutkowała błyskawicznie.

– A, wiem. Methylsulphonymethan. Tutaj stosuje się ją na wszystko, bo doskonale regeneruje komórki. Dok miał rację, jesteś w dobrych rękach.

– Już nie. Poznaj moją siostrę, Erin. Erin, to Mel Sheridan. Właściwie to już się znacie, bo rozmawiałyście przez telefon.

– Tak, oczywiście. Miło, że zadzwoniłaś w imieniu Marcie.

– Drobiazg. Z miejsca polubiłam twoją siostrę.

– Opiekowałaś się nią, kiedy miała grypę, prawda?

– Razem z Dokiem. Szybko doszła do siebie, nie musisz już się o nią martwić.

Jack umieścił syna w nosidełku na plecach, żeby swobodnie działać za barem i zarazem mieć dzieciaka pod opieką. Z kuchni wyłonił się na moment Proboszcz z czystymi sztućcami, uniósł brwi na widok Marcie i zniknął bez słowa. Bocznymi drzwiami wszedł Mike Valenzuela, sam nalał sobie piwa, został przedstawiony Erin, po czym spojrzał na Marcie i osłupiał.

– Kuchenka propanowa. – Wyjaśnianie każdemu po kolei zaczynało być męczące. – Najpierw odkręciłam gaz, potem zapaliłam zapałkę.

– Pocięcha w tym, że nauka nie idzie w las i następnym razem zrobisz to we właściwej kolejności – powiedział Mike i poszedł do kuchni.

Mel spojrzała na buty Erin.

– A niech to. Miałam identyczne. Bardzo je lubiłam. Wykończyłam je zaraz po przyjeździe do Virgin River, jeżdżąc z wizytami po farmach i winnicach.

– Doprawdy? – Trudno powiedzieć, czy pytanie odnosiło się do zbieżności gustów prowincjonalnej pielęgniarce i miejskiej japiszonki, czy do lekkomyślnego niszczenia wspaniałych botków rodem z firmy Cole Haan. Mel założyła, że to drugie.

– To surowy kraj, męski kraj. Przyznaję, choć robię to niechętnie, że nie byłam gotowa.

– Cóż, tutejsi mężczyźni są bardzo...

– Wiem. – Mel zaczęła się śmiać. – Piękni, prawda? Ale niebezpieczni. Miej się na baczności.

– Niebezpieczni? – Erin zrobiła wielkie oczy. Mel nachyliła się ku niej.

– Strzelają do jeleni, grają w pokera, palą śmierdzące cygara, ale też produkują doskonałe plemniki. Możesz mi wierzyć, przecież jestem położną...

Gdy Jack zachichotał, Erin zerknęła na niego taksująco, po czym zwróciła się do Mel:

– Skąd jesteś?

– Ostatnio mieszkałam w Los Angeles. Szukałam odmiany.

– Odmiany? – Erin jakby ździebko zbaraniała.

– To miejsce ukradło mi serce – z uśmiechem perorowała Mel. – Drzewa do samego nieba, nietknięta ludzką ręką natura, orły szybujące po niebie, podchodzące pod dom jelenie. No i ludzie... prości, serdeczni, otwarci. Zakochałam się w Virgin River. – Pomasowała brzuch. – Zakochałam się w Jacku, który jak dla mnie jest stanowczo zbyt płodny, ale poza tym ma też pozytywne cechy.

– Mel – odezwała się Marcie. – Chcę, żebyś odwiozła mnie do Iana.

– Nie pozwolę na to, Marcie – oznajmiła z naciskiem Erin. – Nie wrócisz do tych prymitywnych warunków! Nie wrócisz do tego prymitywa! Wygląda jak obłąkany. To dziki człowiek!

– Jest bardzo łagodny i serdeczny.

– Tam nie ma łóżek!

– Kiedy przerabiałem ten budynek na bar, przez dwa lata spałem na sienniku – odezwał się Jack, drapiąc się po brodzie. – Rzadko się goliłem. Brałem prysznic u Doka mniej więcej raz na trzy dni. Tu się żyje prostym życiem.

– My... My żyjemy inaczej – bąknęła Erin z godnością, o ile coś takiego jest możliwe.

– Jack – gromko powiedziała Marcie. – Dzwon do szeryfa i powiedz, że zostałam porwana.

– A to, że ktoś wygląda jak dziki człowiek – wyjaśniał dalej Jack cierpliwie – to też nic niezwykłego w tych stronach. Wielu drwali, farmerów i ranczerów nie goli się zimą, nie wkładają też niedzielnych garniturów, gdy rąbią drwa czy pasą owce. Ian Buchanan wpisuje się doskonale w ten świat, przy tym wydaje się człowiekiem kulturalnym, z dużą ogładą. Ja bym się nie martwił.

Marcie dotknęła dłoni Erin.

– Wracam do chaty, a ty jedź do domu. Obiecuję, że będę dzwoniła. Ian dopiero teraz zaczyna mówić. Muszę zostać.

– Marcie, nie chcę, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale nie ty jedyna straciłaś Bobby'ego. Jego rodzina, ja, Drew, wszyscy cierpimy...

– Wiem, wiem. Nie lekceważę tego. Przyrzekam, że przyjadę na święta. Proszę, Erin, nie próbuj ze mną walczyć. Pozwól mi dokończyć to, po co tu przyjechałam. Dopiero wtedy będę mogła ruszyć w dalszą drogę.

– W oczach Marcie pojawiły się łzy. – Muszę mieć świadomość, że pewne sprawy zostały zamknięte.

– Jakże? – zapytała Erin niemal błagalnie, szeptem.

– Co chcesz osiągnąć?

O ile Erin szeptała błagalnie, to Marcie rzucała błagalne spojrzenia Mel. Mel odebrała sygnał i zwróciła się do męża:

– Jack, zawieź Marcie do Iana. Weź z sobą Davida. Ja zajmę się klientami, jeśli ktoś się pojawi, poproszę Proboszcza czy Mike'a. Muszę choć chwilę porozmawiać z Erin.

Jack uniósł brwi.

– Na pewno?

Mel z uśmiechem kiwnęła głową. Jack nachylił się i pocałował żonę.

– Wrócę, nim zacznie się przedwieczorny ruch w barze.

Kiedy Marcie i Jack wyszli, Mel przeszła za bar i naląła dwa kubki kawy.

– Nie zdajesz sobie chyba sprawy, jak blisko... – zaczęła Erin.

– Prawie trzy lata temu został zamordowany mój pierwszy mąż. – Po tych słowach Mel, Erin nie próbowała już kończyć tego, co miała do powiedzenia. – Pracowałam w wielkim szpitalu w Los Angeles na nagłych przypadkach. Mark był tam lekarzem. Po trzydziestu sześciu godzinach zszedł z dyżuru. Chciał kupić w nocnym sklepie mleko do kornfleksów. Trafił w sam środek napadu. Dostał trzy kulki. Zginął na miejscu.

– Tak mi przykro – szepnęła Erin.

– Dziękuję. – Milczała przez chwilę. – Po śmierci Marka też chciałam umrzeć. Minęło kilka miesięcy, a ja ciągle nie mogłam się pozbierać, nie wiedziałam, jak dalej żyć. I wtedy zrobiłam coś absolutnie szalonego. Rzuciłam wielkie miasto, zrezygnowałam z dobrze płatnej pracy i za marne

grosze zatrudniłam się w tej zapomnianej przez Boga osadzie. Zdecydowałam się na to, bo czułam, że tylko aż tak radykalna zmiana może okazać się zbawienna. – Mel uśmiechnęła się lekko.

– Podobnie jak Marcie, też mam starszą siostrę. Uważała, że kompletnie zwariowałam, piekliła się, wściekała, i też była gotowa wyrwać mnie stąd siłą, zabrać do domu i czuwać nad moim powrotem do normalności. Wszystko na jej warunkach. – Mel nachyliła się do Erin.

– Jestem ekspertką w kwestii znajdowania swojej drogi. Nie jest to łatwy proces, a droga nie jest nigdy wyraźnie wyznaczona. Wierzę jednak, że każdy człowiek powinien sam i tylko sam, i tylko na swoich warunkach, i tylko o własnych siłach przecierać swój szlak. Po swojemu błędzić, po swojemu odnajdywać drogę i docierać do celu. – Zadumała się na moment. – Wierzę też, że Marcie jest z Ianem absolutnie bezpieczna. Nie wiem, jak wiele uda się jej osiągnąć, ale odradzam ingerowanie w decyzje kobiety, która próbuje uporządkować swoje życie, a także zrozumieć wiele spraw z przeszłości, bez zrozumienia których trudno jej będzie pognać w przyszłość. – Znowu przerwała na chwilę. – Musisz przy tym wiedzieć, że tutejsza społeczność jest wyjątkowa i wszyscy będziemy się opiekowali twoją siostrą.

– Jak rozumiem, w twojej opowieści jest przesłanie, bardzo też doceniam, że jesteś ze mną szczerą, ale Marcie...

– Tak, Erin, jest przesłanie. Marcie wie, co musi zrobić, żeby zacząć nowy etap. Wie, czuje, ma wewnętrzny przymus, nazwa nie jest tu najważniejsza. Być może jest to do bani, głupie, wzięte z księżycy, lecz jest w niej ten duchowy nakaz, imperatyw, że ma postąpić tak i tylko tak, nigdy inaczej. Wiem, że jest ci ciężko. Straciłaś szwagra, teraz Marcie ci się wymyka i przestajesz ją rozumieć. Nie lekceważę twoich obaw i rozterek, wiem, że nie jest ci lekko. Pamiętam, jak moja siostra cierpiała, kiedy Mark

zginął, kochała go jak brata. Lecz to moje życie legło w gruzach i to ja, nikt inny, musiałam zrobić coś, by znów nabrało sensu. Podobnie jest z Marcie. Po zachodzie słońca powinna czuć, że uczyniła to, co należało uczynić. Zaś Ian... – Zadumała się na moment. – Ian i Marcie z jakichś powodów są sobie potrzebni. On jest jej potrzebny – podkreśliła z mocą. – A w Marcie jest mnóstwo determinacji.

– To prawda – przytaknęła Erin.

– Nie poprosiłabym cię o rozmowę, gdybym podejrzewała, że Marcie grozi choćby najmniejsze niebezpieczeństwo z jego strony, choć sama sprawa jest dla niej trudna i pewnie bolesna. Przecież i ty, i ja doskonale wiemy, o co jej chodzi. Chce zrozumieć, dlaczego człowiek, który uratował życie jej mężowi, zrywa wszystkie więzy, ucieka i zaszywa się na dzikim odludziu. Dlaczego porzuca Bobby'ego. Dlaczego porzuca ją.

– A jeśli znowu to zrobi?

– Marcie przyjechała tutaj, żeby się o tym przekonać. Pozwól jej doczytać opowieść do końca, skarbie. Zadała sobie tyle trudu, żeby w ogóle zacząć.

– Ale...

– Nie musimy zgadzać się z nią, nie musimy jej nawet rozumieć – z naciskiem powiedziała Mel – ale musimy uszanować jej życzenia. Wracaj do domu i pozwól jej skończyć, co zaczęła. Nie stracisz jej.

Po policzku Erin spłynęła łza.

– Myślisz, że ona wie, jak bardzo ją Kocham? Jaka jest dla mnie ważna?

– Och, wie to doskonale – z uśmiechem odparła Mel – ale przypomnę jej o tym, kiedy ją zobaczę, co z pewnością stanie się niedługo.

Ian od godziny krążył po chacie. Zamiast starać się uspokoić Jej Wysokość Siostrę, zapewnić ją, że wszystko jest w porządku, pozwolił jej zabrać Marcie. Wręcz wypchnął je ze swojej chaty.

To teraz, ale wcześniej popełnił jeszcze większy błąd, pozwalając Marcie zostać u siebie. Powinien był poprosić Mel, żeby zabrała nieproszonego gościa do miasteczka i ulokowała u Doka. A tak musiał wysłuchiwać, że nie jest pustelnikiem, tylko człowiekiem samotnym... Przeklęty piegowaty rudzielec! Co ona mogła o nim wiedzieć?

Natomiast Ian doskonale wiedział, że nigdzie nie pasuje, dlatego trzymał się na uboczu. Czy sam wybrał taką postawę wobec świata i ludzi? Nie, to życie dokonało wyboru za niego. Wcale mu się nie podobało, że nie śpiewał w kościele, przecież kochał śpiewać. I wcale nie miał ochoty siedzieć u Jacka przy stoliku w ciemnym kącie, udając niedostępnego. I od wielu lat nie śmiał się tak serdecznie, aż pojawiła się Marcie.

Po raz pierwszy od kiedy tu zamieszkał, obudziły się w nim drobne potrzeby, ot, choćby takie, żeby jeść zupę z miseczek, a nie z kubków czy prosto z puszki, sprowadzić normalne łóżko, a nie sypiać na sienniku, czasami wpadać do baru Jacka i porozmawiać z ludźmi o wszystkim i o niczym, a nie gadać z księżycem...

I kupić sobie radio. Marcie ma rację. Do diabła, przecież ktoś, kto kocha muzykę, powinien mieć radio.

Drobne potrzeby...

Och, wcale nie takie drobne.

Bo nagle zapragnął stać się dla kogoś kimś ważnym. Chciał, żeby ktoś o nim myślał i go kochał.

I by on potrafił kochać.

Kochać i być kochanym... Czy coś takiego w ogóle zdarzyło się w jego życiu? Nie pamiętał. Lecz nagle zamarzyło mu się, by spełniło się teraz, tutaj...

Najgorsze było to, że ten chudy rudzielec mężnie zniósł powolne odchodzenie Bobby'ego, gdy on po prostu uciekł. Jestem słabeuszem, pomyślał, a ona ma siłę tysiąca żołnierzy.

Podszedł do skrzyni, wyjął plik listów i położył na stole, po czym odszukał w kredensie ledwie napoczętą butelkę whisky. Jeszcze tylko szklaneczka i mógł się napić.

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły.

Marcie weszła bez pukania, jakby chata należała do niej. Do tego weszła z całym swoim bagażem, czyli śpiworem, plecakiem, torbą podróżną i torebką.

Ian miał nadzieję, że potężny zarost skutecznie ukrywa bezmierną radość, która go ogarnęła.

Przybrał jednak kwaśną minę i rzekł marudnie:

– Tak sobie po prostu wchodzisz? Mogłem być nagi.

Odsunęła krzesło i usiadła przy stole.

– Miód i mleko dla moich oczu. Mamy dzisiaj wieczór z butelką?

– Jest tak zimno, że postanowiłem wypić małą szklaneczkę.

– Mogę się przyłączyć?

– Twoja siostra czeka na zewnątrz?

Gdy przyniósł drugą szklaneczkę, Marcie naląła sobie whisky, wypiała odrobinę i oznajmiła:

– Moja siostra wraca do domu. Obiecałam, że będę do niej dzwoniła co kilka dni i oczywiście przyjadę na święta, ale nie wcześniej. Wniosek dla

ciebie jest taki, że będziesz musiał jeszcze trochę się ze mną pomęczyć. – Po czym dodała obłudnie: – Przykro mi.

– Przykro? – zadrwił. – W co ty grasz, Marcie? Wypełniasz jakąś misję? Chcesz wyprostować moje ścieżki? Chcesz mnie naprawić? Ogolić? Zrobić dobry uczynek?

– Zawsze się tak nad sobą użalasz? Nie powinieneś pić, kiedy masz taką chandrę, bo alkohol wpędzi cię w jeszcze większą depresję. Moja misja, jak to nazywasz, jest bardzo prosta. Chodzi o te głupie karty bejsbolowe. Bobby pisał, że je kolekcjonujesz. Przywiozłam ci karty Bobby'ego. – Podeszła do swojej torby, wyjęła album ze zbiorem Bobby'ego i położyła na stole.

– Trudno to wytłumaczyć, ale ciągle widzę was, jak opowiadacie sobie o tych kartach na środku pustyni, zagrożeni przez snajperów czy atak bombowy. Trudno mi rozstawać się z tymi kartami, bo należały do niego, ale na pewno by się ucieszył, gdybym ci je dała.

Ian nie sięgnął po album, nie wykonał żadnego ruchu, jednak po długiej chwili milczenia spytał:

– Dlaczego nie dałaś mi go od razu?

– Byłam chora – odparła z westchnieniem. – A ty nie chciałeś mówić o przeszłości.

– Przepraszam. Po prostu nie byłem w stanie. – Na moment spuścił wzrok, po czym spojrzał na Marcie. – Karty bejsbolowe, powiadasz?

– Pamiętasz, przez pewien czas korespondowaliśmy z sobą, połączyło nas to, co stało się z Bobbym. Potem zniknąłeś, zerwałeś kontakt. Dlatego postanowiłam cię odszukać. Chciałam ci podziękować, upewnić się, że u ciebie wszystko w porządku, opowiedzieć ci o twoim ojcu. Okazuje się, że radzisz sobie nawet lepiej niż ja. Żyjesz, jak chcesz, wychodzisz do ludzi, kiedy masz na to ochotę, i szukasz samotności, gdy czujesz, że jest ci

potrzebna. Masz kontakt z naturą, żadnych problemów, które by cię obciążały. I wcale nie chcę cię strzyc ani golić. Prezentujesz się całkiem nieźle.

– Sama mówiłaś, że wyglądam jak dziki człowiek.

– Bo wyglądasz. – Marcie uśmiechnęła się szeroko.

– Zdażyłam się przyzwyczaić.

– Za co chciałaś mi podziękować? – Ian ponownie napełnił swoją szklaneczkę.

– Kpisz sobie ze mnie? Za to, że uratowałeś Bobby'emu życie.

– Nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś nawet o tym myśleć. Wielu rzeczy w życiu żałuję, ale ta jest na czele listy.

– Żałujesz, że go uratowałeś? Wszyscy żałujemy, że wrócił z Iraku w tak strasznym stanie, przemieniony w roślinę, ale nikt z nas nie miał na to najmniejszego wpływu...

– Tak uważasz? Ja wiedziałem. Kiedy podniosłem go z ziemi, był bezwładny, ciężki, przelewał się przez ręce, zero napięcia w mięśniach. Przez ułamek sekundy zaświtała mi myśl, by położyć go z powrotem, przykryć własnym ciałem, chroniąc przed kolejnymi postrzałami, i czekać na koniec. Oszczędziłoby ci to trzech lat cierpienia, a on byłby wolny. Chryste, byłaś jeszcze dzieckiem. Wiedziałem, że Bobby nie chciał takiego życia, och, nie życia, tylko nędznej wegetacji. Żołnierze rozmawiają o takich sprawach, a Bobby kiedyś powiedział to wprost, bez żadnych ogródek. I wiesz, zgadzałem się z nim całkowicie, ale co z tego? – Ciężko potarł dłońmi twarz. – W najważniejszej chwili nie potrafiłem podjąć tej jedynej właściwej decyzji. Zachowałem się tchórzliwie, wybrałem alibi, jakie dawał mi regulamin i to, co nam wpajano podczas szkolenia. I jeszcze coś. – Przymknął oczy, milczał przez chwilę. – Myślałem o sobie, a nie o Bobbym. Nie potrafiłem podjąć decyzji o eutanazji, choć twój mąż jasno określił, czego oczekuje od innych...

ode mnie... gdyby znalazł się w takiej sytuacji, w jakiej właśnie się znalazł. A ja myślałem tylko o sobie. Postąpiłem tak, jak mnie uczono, bo to było takie łatwe, ktoś inny za mnie zdecydował. Nie umiałem pozwolić mu odejść, nie uszanowałem jego woli. Zastrany bohater.

Marcie wpatrywała się w niego przez chwilę, analizowała jego słowa. Nagle wyprostowała się gwałtownie i krzyknęła:

– Mój Boże! Naprawdę tak o tym myślisz?! Że to od ciebie zależało? Że twoja decyzja zmieniła moje życie w koszmar? Ian, to nie tak, to zupełnie nie tak. – Zdumiona pokręciła głową. – Powinieneś był przeczytać te cholerne listy! A ja myślałam, że to ja muszę zrozumieć pewne sprawy. No dobrze, to chociaż teraz mnie wysłuchaj. Nasza mama umarła, kiedy Drew miał dwa lata, ja cztery, a Erin jedenaście. Wychowywał nas ojciec. Zmarł nagle w czasie banalnej operacji kolana. Coś takiego zdarza się niezwykle rzadko. Erin skończyła właśnie college, wybierała się na prawo. Nie, nie zrezygnowała ze studiów, ale zarazem przejęła wszystkie obowiązki rodzicielskie. Mieszkaliśmy w domu rodzinnym. I do naszego domu sprowadziliśmy Bobby'ego. – Przerwała na moment, jakby widziała tamten czas, tamte chwile. – Mieliśmy alternatywę, albo dom opieki gdzieś w innym stanie, albo opieka w domu. Bobby miał wszystko, a przede wszystkim całą potrzebną aparaturę. Zajmowałam się nim ja, jego rodzice, sześcioro rodzeństwa, ich mężowie i żony, kuzynki i kuzynowie, Drew, nawet zapracowana ponad wszelką miarę Erin. Nigdy nie był sam. Mieliśmy ustalone godziny dyżurów. Czytaliśmy mu, tuliliśmy go i całowaliśmy. Tyle osób dbało o to, żeby było mu jak najlepiej. Nie, to nie był dla mnie koszmar. Było mi ciężko, kiedy odszedł, ale straciłam go trzy lata wcześniej. Śmierć...

– Przyniosła ulgę?

– Jemu na pewno – cicho odparła Marcie. – Dla mnie był to koniec długiej drogi. Powinieneś być przeczytać te cholerne listy!

Ian westchnął ciężko, po czym powiedział:

– Nie chciałem się dowiedzieć, że umarł. Nie chciałem wiedzieć, że jeszcze żyje.

– Żył, był kochany, otoczony dobrą opieką. Pisałam o nim, ale też o sobie. Z początku było mi trudno, jakbym już przeżywała żal po stracie, ale potem moje życie stało się prawie normalne. Spotykałam się z przyjaciółmi, a nawet dwa razy wyjechałam na wakacje, bo rodzice Bobby'ego nalegali, żebym odpoczęła. Pisałam ci także o nich... Cholera, pisałam o wszystkim, o różnych głupstwach, jakbyś był moim najlepszym przyjacielem.

– Byłaś obarczona...

– Niczym nie byłam obarczona. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie ma żadnej nadziei. Rodzice Bobby'ego chcieli, żebym wróciła do życia, zaczęła funkcjonować wśród ludzi. Przedstawiali mi nawet różnych facetów. Mówiło się o tym, żebym wzięła rozwód i weszła w nowy związek. Zastanawiali się też nad jakąś formą eutanazji... wyjęciem sondy pokarmowej...

– Dlaczego tego nie zrobiłaś, Marcie?

– Bo karmienie go było jednym z elementów dbania o jego komfort... o ile w ogóle można tu mówić o komforcie.

– A jeśli on zachował świadomość? – zapytał Ian z bólem. – Jeśli takie życie było dla niego torturą? Wegetujesz, nie możesz się poruszyć, nie możesz z nikim się komunikować.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Jeśli zachował świadomość, to musiał też zdawać sobie sprawę, jak bardzo jest kochany, widział cały legion bliskich, którzy dbają o niego, troszczą się, towarzyszą mu na tym ostatnim etapie drogi.

– Wszyscy poza mną. Mnie przy nim nie było – powiedział Ian cicho.

– Ty miałaś własne problemy. Bobby został okaleczony fizycznie, ty emocjonalnie. Każdy ma prawo do przestrzeni, która da mu szansę powrotu do równowagi. Ofiarowałaś mi coś, za co zawsze będę ci wdzięczna. Dałaś mi szansę pożegnać się z Bobbym. Był dla mnie kimś bardzo ważnym. Mogłam trzymać go w ramionach, mówić mu, jak bardzo go kocham. I że może odejść, ja sobie poradzę. Zdajesz sobie sprawę, ile to dla mnie znaczyło?

– Mimo że miałaś tyle...

– Powiedziałaś ci już, nie czułam się obarczona. Owszem, mieliśmy dużo pracy, ale wszyscy myśleli podobnie jak ja, czuli to samo, na różnych poziomach. Był ukochanym dzieckiem swojej matki, najmłodszym, potrzebny był jej ten czas, który nam dałaś. Był dumą swojego ojca, on też potrzebował tego czasu. Jego bracia, siostry... Wszystkim nam dałaś szansę, żebyśmy się mogli pożegnać.

Ian długo milczał, aż wreszcie powiedział:

– Gdybym czytał te cholerne listy... Marcie, miałbym szansę być przy Ianie. Być może czekał...

Napełniła ponownie szklaneczki.

– Szukasz kolejnych powodów do wyrzutów sumienia, na wypadek gdyby dotychczasowe ci nie wystarczyły? Właśnie wróciłeś z wojny. Zerwałeś z narzeczoną, nie mogłeś porozumieć się z ojcem, odszedłeś z Marine Corps, gdzie zamierzałeś odsłużyć pełnych dwadzieścia lat. Miałaś dość własnych zmartwień. – Upiła łyk whisky. – Ian, nikt nie ma do ciebie pretensji, że nie było cię przy Bobbym.

– Jesteś tego pewna?

Przysunęła do siebie plik listów i zaczęła je czytać jeden po drugim w porządku chronologicznym. Pisała o wielu sprawach, o wszystkim, tym, co

istotne, i o drobiazgach. Z każdym listem coraz mniej o Bobbym, bo jego stan się nie zmieniał, coraz więcej o sobie. Ian w miarę jak słuchał, zaczynał rozumieć, że życie Marcie w tamtym trudnym okresie nie było koszmarem. To, na co zwrócił szczególną uwagę, to fakt, że traktowała go jak starego przyjaciela.

W każdym liście przypominała swój numer telefonu i prosiła, żeby dzwonił, na jej rachunek oczywiście. Każdy list kończyła zwrotem:

Brak mi Ciebie, Ianie.

W ostatnim liście donosiła o śmierci Bobby'ego. Pisała, że odszedł spokojnie, cicho, i szczęśliwym zrządzeniem losu umarł na jej rękach. Spędzała z nim zaledwie dwie, trzy godziny dziennie. Czasami brała sobie dzień wolny, stąd uważała za prawdziwy cud, że odszedł w jej obecności

Tak opisała tę chwilę:

Czytałam mu coś i nagle poczułam... Nie chodziło o brak tętna, brak oddechu. To było tak, jakby uszła dusza. Nie wiem, czy zrozumiesz, ale przepętniła mnie ogromna ulga, że ta dusza cały czas tam była, przez trzy długie lata. Bałam się, że dawno już opuściła bezwładne ciało, a ona odchodząc, przeszła przez moje serce, przepętniła je. Powiedziałam: "Żegnaj, najdroższy. Będzie nam ciebie brakować". Byłam szczęśliwa przez wzgląd na niego, dla niego.

Było już późno, kiedy skończyła czytać ten ostatni list. Whisky w butelce było znacznie mniej, ale nie wypili wszystkiego. Schowała list do koperty, Ian otarł oczy zniecierpliwionym gestem.

W końcu Marcie powiedziała:

– Muszę cię prosić o eskortę do klopa. Jestem trochę pijana.

Ian otrząsnął się ze smutku.

– Tak myślisz? – zapytał rozbawiony.

– Mam znacznie mniejszą masę ciała. Niewiele piję. Czasem jedno, dwa piwa, kieliszek wina, jakiś koktajl... Boję się wstać z krzesła.

– Nikt ci siłą nie wlewał whisky do gardła.

– Twoje listy były straszne. Koślawe zdania, błędy ortograficzne, głupie uwagi. Jestem pewna, że kiedy pójdziesz do piekła, diabły będą ci je czytać na głos.

Ian parsknął śmiechem i wstał.

– Chodź, kruszyno, zaprowadzę cię do wychodka.

– Listy Marcie były piękne. Gdyby je otwierał i czytał, może szybciej odzyskałby spokój, ułożył sobie wszystko w głowie. Tak naprawdę brakowało mu w życiu jednego, kogoś, kto przejmowałby się jego losem. Marcie już dawno ofiarowała mu swoją troskę.

Kiedy wrócili z wychodka, padła na kanapę. Nie zdjęła butów, nie okryła się nawet pledem, on to musiał zrobić.

– Będziesz mocno spała – mruknął, kręcąc głową.

– Mhm. Nigdy więcej mnie już nie upijesz, Buchanan.

– Nie wlewałem ci siłą do gardła.

– Zdaje się, że mam problem. Polubiłam smak whisky... – Czknęła.

– Jutro wyjdę z domu bardzo wcześnie, bo muszę dostarczyć kilka zamówień.

– Rozumiem. Masz jeszcze moje książki?

– Nie było cię dzisiaj raptem godzinę. Myślisz, że w tym czasie zdążyłbym pojechać do biblioteki?

– Nieważne. Dobranoc, słodki misiu.

„Słodki misiu”. Serce mu urosło, poczuł dziwne wzruszenie. Zanim zdążył się powstrzymać nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Dobranoc, kruszyno.

Kiedy Marcie usnęła pijackim snem, Ian zaczął przeglądać album. Łzy spływały mu po policzkach, łzy oczyszczające duszę z cierpienia i wyrzutów sumienia. Marcie nigdy się nie dowie, ile ten jej prosty gest znaczył dla niego.

TTLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marcie obudziła się rano z orkiestrą dętą w głowie. Przeczytała dwanaście czy czternaście listów, cały czas sącząc whisky. Nie był to najlepszy pomysł. Na szczęście wiedziała, gdzie Ian trzyma aspirynę.

Usiadła ostrożnie, wciągnęła buty, dorzuciła polan do piecyka, wypila kubek letniej kawy, którą zostawił jej Ian, jak czynił to każdego ranka. Umyła włosy. Przygotowała sobie szybką kąpiel. Opróżnianie wanny było znacznie bardziej kłopotliwe niż jej napełnianie. Kiedy uporała się już ze wszystkim, była naprawdę zmęczona, co wiązało się raczej z kacem niż osłabieniem po chorobie. Grypa minęła definitywnie, nawet kaszel ustąpił.

Oparła lusterko do makijażu o książki i nożyczkami do skórek obcięła osmalone kosmyki nad czołem, jako tako uczesała niesforną szopę na głowie. Końska maść działała cuda i właściwie po poparzeniu nie pozostał ślad. Zrobiła sobie lekki makijaż. Skoro już narzuca się Ianowi ze swoją obecnością, nie zaszkodzi, żeby wyglądała przyzwoicie. Zjadła pół puszki potrawki i umościła się z książką na kanapie.

Nowa kobieta, odrodzona po trudnych przejściach. Tak teraz siebie widziała Marcie.

I nagle ta nowa kobieta zniknęła.

Dzisiaj mijał rok. Nie pomyślała o tym ani razu, kiedy poprzedniego wieczoru czytała listy, nawet ten z datą śmierci Bobby'ego – 17 grudnia, tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Dziwne to było doświadczenie. Trzymała ciało Bobby'ego w ramionach, nie odeszła. Nie płakała, nie wezwała pielęgniarce. Rozmawiała z nim w duchu. Żyła, żeby był szczęśliwy. Musiała minąć dobra godzina, zanim ktoś pojawił się w pokoju. Sześćdziesięcioletnia salowa ze zmianą pościeli.

– Długo dzisiaj pani zabawiła – powiedziała.

Marcie głaskała Bobby'ego po policzku, przeczesała mu palcami włosy, tuliła do siebie. Nie odpowiedziała na uwagę salowej. Wiedziała, że trzyma go w ramionach po raz ostatni, że nigdy już nie będzie mogła go przytulić.

Coś tknęło salową, bo podeszła do łóżka, dotknęła szyi Bobby'ego, szukając pulsu.

– Pani Sullivan – przemówiła łagodnie.

– Wiem. Trudno mi go wypuścić z ramion...

– Rozumiem. Sprowadzę kogoś. To zwykle pomaga. Ktoś przyjdzie i...

– Proszę dać mi jeszcze trochę czasu.

– Rozniosę pościel i poproszę dyżurną pielęgniarkę, żeby zatelefonowała. Kogo ma zawiadomić? Rodziców pana Sullivana? Czy może pani siostrę?

– Niech zadzwoni do rodziców. Oni powinni dowiedzieć się pierwsi. A potem niech zatelefonuje do Erin.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się i dotknęła czułym gestem czoła Marcie. Pracując tu, musiała napatrzeć się na różne reakcje w obliczu śmierci.

– Dam pani tyle czasu, ile będzie pani trzeba.

Kiedy salowa wyszła, Marcie wzięła do ręki książkę i zaczęła znów czytać na głos przez kolejną godzinę. Mięśnie twarzy Bobby'ego rozluźniły się, stał się piękny eterycznym pięknem pełnym spokoju, ale ciało powoli zaczynało stygnąć, sztywnieć. Odchodził definitywnie.

W pokoju pojawili się państwo Sullivanowie. Zastali ją z Bobbym w ramionach, z książką na kolanach.

– Co ty robisz, Marcie?

– Czytałam mu. – Jej głos brzmiał czysto, w oczach śladu łez.

– Ona jest w szoku – powiedziała pani Sullivan do męża. – Może powinniśmy wezwać...

– Nie jestem w szoku. – Zaśmiała się cicho. – Spodziewałam się tego od trzech lat, ale teraz myślę o tym, że już nigdy więcej nie będę mogła dotknąć Iana. Trudno mi się z nim rozstać...

Rodzice Bobby'ego musieli ją odciągnąć. Pocałowali jeszcze syna i został przykryty prześcieradłem. Marcie je zdjęła. Nie widziała powodów, żeby go przykrywać. Wyglądał, jakby spał. Poprawiła mu włosy.

– Marcie, za chwilę będą tu ludzie z kostnicy.

– Ja się nigdzie nie śpieszę. – Dopóki nie przyjdą, on jest jeszcze jej.

– Bobby podlega teraz sile wyższej – tłumaczyła jej Erin. – Już nie musisz się o niego martwić. Ktoś potężniejszy sprawuje nad nim pieczę.

– Powiedziałam to na głos? – zapytała Marcie.

– Co takiego, kochanie?

– Że dopóki nie przyjdą ludzie z kostnicy, on jeszcze jest mój?

– Nie, skarbie, nie powiedziałas nic takiego.

– Chcę być przy nim, dopóki go nie zabiorą.

– Możemy zostać tu tak długo, jak zechcesz. Do diabła z tymi z kostnicy. Niech czekają.

– Dziękuję. – Marcie z powrotem usiadła na łóżku. Pocałowała Bobby'ego, szeptała mu coś do ucha.

Teściowie patrzyli na nią przerażeni, Erin musiała ich uspokajać.

W końcu pojawili się ludzie z kostnicy, Marcie pocałowała Bobby'ego po raz ostatni i rozstała się z nim. Pożegnała się jeszcze z teściami, po czym wróciła do domu. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie czuła bólu.

Mniej więcej po godzinie w chacie pojawił się Ian.

Ian radykalnie odmieniony: ostrzyżone włosy, mocno skrócona broda, trymowana, starannie wyczesana. W obu rękach trzymał torby z zakupami. Próbował zachować powagę, ale uśmiechał się szeroko.

– Ian!

– Spodziewałaś się kogoś innego?

Marcie przyglądała mu się w osłupieniu.

– Coś ty zrobił?

Podszedł do stołu i postawił torby.

– Przygotuj się, bo to jeszcze nie wszystko. – Wyszedł po resztę zakupów, wrócił z dwoma pudełkami i też postawił je na stole.

Marcie wstała, podeszła do niego, dotknęła policzka. Długa na jakieś dwadzieścia centymetrów broda zamieniła się w elegancką, podgoloną pięciocentymetrową bródkę.

– Gdzie podział się mój dziki człowiek?

Ian, gdy uważniej spojrział na nią, przestał się uśmiechać.

– Płakałaś? – spytał zaniepokojony.

Marcie odwróciła wzrok.

– Przepraszam. Mam zły dzień.

Ujął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

– Co się dzieje? Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie. – Pokręciła głową. – Powiedziałeś wyraźnie, żeby nie...

– Nieważne, co mówiłem. Dlaczego płakałaś? Tęsknisz za domem?

Czujesz się samotna?

Marcie odetchnęła głęboko.

– Dzisiaj mija rok.

– Trudno nie płakać. – Objął ją. – Przykro mi, Marcie. Rozumiem, że to wciąż boli.

– Trochę boli, ale gorsze jest to, że czuję się taka bezużyteczna. Tyłu jest ludzi w moim życiu, ale bez Bobby'ego czuję się samotna.

– Rozumiem... – Przytulił ją do siebie.

Po chwili Marcie się odsunęła, jeszcze raz lustrując go wzrokiem:

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Pomyślałem, że zadbam trochę o swój wygląd i gdzieś cię zabiorę.

– Poczekaj. Nie pomyślałeś chyba, że musisz to zrobić dla mnie? Z powodu Erin?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Wielka Siostra nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu jestem jeszcze bardziej uparty niż ty. Noszę brodę z powodu blizny. Może też trochę w przeświadczeniu, że nie obchodzi mnie, jak wyglądam.

Marcie delikatnie rozgarnęła zarost.

– Ta blizna to tylko cienka kreska, prawie niewidoczna. Nie masz czego ukrywać, Ian. Nie jesteś oszpecony. – Uśmiechnęła się. – Przystojniak z ciebie, wiesz o tym?

– To twoja opinia – odparł pogodnie. – A ta blizna...

Może w takim razie bardziej chodzi o pamięć o niej, niż o nią samą. Trochę mętnie to zabrzmiało...

– Nie, nie, rozumiem.

– Marcie, dzisiaj jest bożonarodzeniowa parada osiemnastokółowców. Co roku ją oglądam. Fantastyczny widok. Chcesz, żebyśmy tam pojechali? Tylko że dzisiaj przypada rocznica...

– Dzięki, Ian, to dobry pomysł. Wyjść z domu, oderwać się od smutnych myśli...

– Pójdziemy gdzieś na kolację...

– Co kupiłeś? – Spojrzała na sprawunki na stole.

– Zapowiedzi śnieżyc w prognozach pogody. Jeśli słyszysz takie prognozy, musisz pomyśleć o zaopatrzeniu.

– Ian, a jak będzie z chodzeniem do klopa, jeśli zasypie nas śnieg?

– Słyszę prawdziwą troskę w twym głosie – skomentował ze śmiechem

– ale nie martw się, przekopię dróżkę. Co więcej, mam pług, więc odśnieżę drogę od chaty do przelotówki, choć to żmudna robota i trochę potrwa.

– Aj. Może w takim razie nie powinniśmy jechać na paradę? Jeśli rozpęta się śnieżyca, możemy mieć problemy z powrotem do chaty.

– My tu nie mamy zamieci. Śnieg pada powoli, równomiernie.

Na kolację pojechali do włoskiej restauracji w Arcata. Ian był tu już kilka razy, lecz zawsze jadł sam przy barze. Tym razem siedzieli przy stoliku, popijali czerwone wino i rozmawiali, Ian w niczym nie przypominał mruka, który twierdził, że nie potrzebuje towarzystwa. Marcie nie komentowała przemiany, która w nim zaszła.

Jutro minie dziesięć dni, jak pojawiła się na wzgórzu. Za tydzień święta...

Ian chciał, żeby mu opowiedziała jaka była jako mała dziewczynka.

– Po prostu okropna! – odparła z łobuzerskim uśmiechem. – Nie miałam przyjaciółczek, zadawałam się wyłącznie z chłopakami. Uważałam się prawie za chłopaka, ale biłam się jak dziewczyna, drapałam, gryzłam, ciągnęłam za włosy. Strzelałam z procy i kulkami z rurki. Ojca ciągle wzywano do szkoły. Byłam najmniejsza w klasie. I najgorsza.

Uśmiechnął się szeroko i był to śliczny uśmiech.

– Jakoś wcale mnie to nie dziwi. Masz teraz trochę lepsze maniery, ale tylko trochę.

– W dziewiątej klasie zaczął się we mnie podkochiwać najfajniejszy chłopak w szkole. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że jestem w

stanie przyłożyć mu w bójce, druga, że potrafię sprowokować go do pocałunku. Zamieniłam się w dziewczynę, z dnia na dzień dokonała się we mnie totalna przemiana. Rozumiesz, to był Bobby. Erin Elizabeth urodziła się piczką zasadniczką w sukience z falbankami, więc nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to był dla mnie koszmar prosić ją o radę. Tyle że nagle zapragnęłam ładnie wyglądać, chciałam się podobać, a Erin Elizabeth zawsze wiedziała, jak ładnie wyglądać.

– Bobby? Od dziewiątej klasy?

– Mhm. Chodziliśmy z sobą przez całą szkołę średnią, a pobraliśmy się, jak mieliśmy po dziewiętnaście lat.

– Bardzo wcześnie. – Ian nie krył zdumienia. Gdy miał tyle lat, wiele rzeczy kotłowało mu się w łepetynie, ale na pewno nie małżeństwo.

– Bardzo. Nasze rodziny namawiały nas, żebyśmy poczekali, ale nam strasznie się śpieszyło, tak Ignęliśmy do siebie. W końcu dostaliśmy zielone światło, bo już nie mogli z nami wytrzymać. Teraz ty opowiedz coś o sobie, Buchanan. Byłeś gwiazdą szkolnego przedstawienia. Dziewczyny pewnie za tobą szalały?

– A ja żadnej nie przepuściłem. – Uśmiechnął się leciutko. – Był ze mnie taki dziwkarz małolat.

Marcie wybuchnęła tak głośnym śmiechem, że ludzie odwracali głowy w stronę ich stolika.

– Amoralny typ – podsumowała wreszcie.

– Do pewnego stopnia. Byłem na dobrej drodze, żeby wpędzić w kłopoty dziewczynę, którą ledwie kochałem.

– Ledwie kochałeś? Co to za określenie? Mówiłeś im, że je kochasz, żeby się z nimi bzykać?

– Nie przesadzaj. Byłem nastolatkiem!

– Byłeś psem na dziewczyny!

– Zaledwie szczeniakiem. Marine Corps to był pomysł mojego ojca, ale tatuś źle obliczył. Po pierwsze pomysł bardzo mi się spodobał, po drugie marines nie mieli żadnych kłopotów w rwaniu dziewczyn.

– Mój braciszek, Drew, jest taki sam. Ma diabła za skórą. Przystojny i zabawny. Potrafi tak cię rozśmieszyć, że pękasz ze śmiechu, no i co miesiąc nowa panienska. Trudno uwierzyć, że niedługo zostanie poważnym panem doktorem.

– Panem doktorem? – powtórzył Ian z pełnymi ustami.

– Mhm. Studiuję medycynę. Moja siostra jest prawniczką, Drew będzie lekarzem, a ja ledwie skończyłam szkołę średnią.

– Jestem pewien, że skończyłaś szkołę z wyróżnieniem.

– Co ty! Miałam przeciętne stopnie na świadectwie. Co innego było mi w głowie. Bobby, dobra zabawa. Wciąż tyle się działo, że na naukę brakowało czasu. Spoważniałam znacznie później.

– Szkoda, że cię wtedy nie znałem. Musiałaś być niezłą luzaczką. O jakiej specjalizacji myśli twój brat?

– To chyba oczywiste przy jego predylekcjach.

– To znaczy?

– Nie kumasz? Chce być ginekologiem. Żartowali tak przez cały czas. Dla Marcie była to rzecz zwykła, kolacje z przyjaciółmi, beztraskie rozmowy, przekomarzania, ale dla Iana musiał być to wyjątkowy wieczór. Czuła, że chociaż odwykła od ludzi, dobrze się bawi.

Po kolacji pojechali oglądać paradę. Tak jak Ian zapowiadał, widok był fantastyczny. Gęsto udekorowane migającymi lampkami osiemnastokątne, potężne maszyny, smoki we wszystkich kolorach tęczy ze świętymi

Mikołajami i małymi choinkami na dachach szoferek, sunęły powoli przelotówką przy dźwiękach klaksonów, witane głośnymi owacjami widzów.

W drodze powrotnej do domu Marcie zaczęła trząść się z zimna i Ian zasugerował, żeby wpadli jeszcze do Virgin River na grog. Przemarzła w czasie parady, a ogrzewanie w furgonetce praktycznie nie działało. Cudownie rozgrzewający drink z dodatkiem gorącej wody i cytryny powinien dobrze jej zrobić.

W miasteczku przywitała ich rozświetlona, majestatyczna choinka. U Jacka było zaledwie kilka osób. Przyćmione światła, ogień na kominku, czegoż więcej można chcieć w zimowy wieczór?

Usiedli przy barze.

– Cześć – przywitał ich Jack z szerokim uśmiechem.

– Mogę zadzwonić, skoro już tu jestem? – zapytała Marcie. – Zamelduję się i dowiem, czy Erin bezpiecznie dotarła do domu.

– Jasne, dzwoń. Co ci przygotować do picia?

– Miał być grog... ale może brandy? – Zsunęła się ze stołka.

– Zrobione. A dla ciebie? – zwrócił się Jack do Iana, kiedy Marcie zniknęła w kuchni.

– Sznaps. Dzięki.

Jack postawił drinki na barze.

– Widzę, że skorzystałaś ze świątecznej promocji w salonie fryzjerskim Haircuts RU.

– Zabawne. Myślałem, że odzywasz się, kiedy goście zagadują, i milczysz, kiedy oni milczą.

– Umiem czytać z twarzy. Otworzyła się. Jesteś innym człowiekiem.

– Zabrałem Marcie na paradę osiemnastokolowców. Byłaś kiedyś?

– Kilka razy. Dzisiaj nie mogłem pojechać, bo miałem straszny ruch. To cholerne drzewko. Ludzie zjeżdżają się z bliska i z daleka, żeby na nie spojrzeć. Brakuje tylko, żeby pojawili się Trzej Królowie.

– Drzewko całkiem nieźle się prezentuje.

– Dzięki, ale w przyszłym roku postawimy mniejsze. Mel uparła się na tego olbrzyma. Nie masz pojęcia, ile z tym było zachodu. Po prostu wrzód na dupie. Już myślałem, że trzeba będzie wynajmować któryś z tych smoków, coście je dzisiaj oglądali, żeby przywieźć zarazę do miasteczka.

Ian parsknął śmiechem i wychylił sznapsa.

– Co cię sprowadziło do Virgin River, Jack?

– Po odświadczeniu pełnej dwudziestki w marines szukałem spokoju. Chciałem złapać oddech. Mieć czas na myślenie.

– Zobacz, a ja myślałem, że pierwszy wpadłem na ten pomysł.

Teraz Jack się zaśmiał, po czym dodał:

– A potem pojawiła się Melinda i spokój stał się przeszłością.

– Wpadłeś, jednym słowem.

– Żebyś wiedział. Codziennie budzę się obok pięknej blondynki. Cierpienie, które nigdy się nie skończy. – Jack wyszczerzył zęby.

Zanim Ian zdążył cokolwiek powiedzieć, Marcie usadowiła się z powrotem na stołku.

– Wszystko w porządku. – Upiła łyk brandy. – Doskonała, Jack.

– Nie wiem, kiedy chcesz jechać do domu, Marcie, ale świętujemy w barze Wigilię. W barze i przy choince.

– Naprawdę? O której się zbieracie?

– Nie w porze pasterki, to pewne. Farmerzy i ranczerzy wstają przed świtem nawet w Boże Narodzenie. Krówkom, świnkom i kurkom nie wytłumaczysz, że to święto. Dziewczyny chcą zacząć o ósmej, skończyć o

dziewiątej. Nas nie będzie, rano w Wigilię wyjeżdżamy do mojej rodziny do Sacramento, ale ty wpadnij, jeśli nie wyjedziesz wcześniej.

– Dziękuję, będę pamiętać.

Zanim dojechali do chaty, znowu zdążyli nieźle zmarznąć, więc Ian zaraz po przyjeździe rozpałił ogień w piecyku. Marcie rozłożyła na kanapie śpiwór i wsunęła się do niego w ubraniu, usiłując trochę się rozgrzać.

– Dziękuję za wspaniały wieczór, Ian. Od lat nie bawiłam się tak dobrze jak dzisiaj. – Zakończyła swoją wypowiedź głośnym ziewnięciem.

Iana ogarnęło dziwne uczucie. Znieruchomiał, nie mógł oddychać, oczy mu niebezpiecznie zwilgotniały. Chciał powiedzieć:

– Nie, to ja dziękuję – ale bał się, że głos go zawiedzie. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak Marcie bardzo go odmieniła, jego umysł, serce i duszę. Ot, taki pozorny drobiazg: nagle ważne stało się dla niego, że ma z kim rozmawiać, śmiać się. Najgorszy urwis na boisku, anioł, który wydobył go z osamotnienia i sprawił, że zaczął żyć, gdy dotąd tylko egzystował. Dar, na który być może wcale nie zasługiwał. Przecież odciął się zupełnie od świata, a Marcie w pierwszym odruchu chciał odstraszyć od siebie.

Nie był pewien, czy potrafi wrócić do dawnego życia. Lecz czy stał przed nim jakiś wybór? Odwrotu już nie było. Tyle że miał nędzną garstkę dolarów, by przeżyć kilka kolejnych miesięcy, i tę jednoizbową chatę. Żadnego konta w banku, emerytury, zasiłków. Mógłby wystawić ten kawałek ziemi, który posiadał, na sprzedaż, ale wątpił, czy znajdzie się kupiec.

Mógł poprosić Marcie, żeby została, tyle że nie byłby w stanie wybudować łazienki. Nie miał nic, a swoje cywilizacyjne potrzeby zredukował niemal do zera.

Tyle że stało się coś nadzwyczajnego: kiedy pojawiła się Marcie, poczuł się nagle bogatym człowiekiem.

Czymże więc jest prawdziwe bogactwo?

Na tyle wreszcie się opanował, że mógł już otworzyć usta. Chciał powiedzieć:

– Nie, Marcie, to ty sprawiłaś, że wieczór był wspaniały – i wtedy usłyszał ciche pochrapywanie dochodzące z kanapy. Pokręcił głową i zaśmiał się pod nosem. Spała sobie smacznie na zapadniętej kanapie, która wcale nie była wygodna.

W pewnym sensie byli do siebie podobni. Marcie potrafiła znakomicie się przystosować do każdego warunków, tylko że jej życie było bez porównania bogatsze. Miała rodzinę, przyjaciół, swoją pracę, naprawdę żyła.

Zdjął dzinsy, włożył spodnie od dresu i wyciągnął się na sienniku, ale nie mógł usnąć. Myślał o tym, jak realne, jak prawdziwe stało się jego życie, i jak wiele otwierało przed nim możliwości. Jeszcze dwa tygodnie temu był przekonany, że będzie toczyło się w nieskończoność tym samym monotonnym rytmem i po tym samym torze.

Niepokoilo go jednak to, że stare nawyki trudno jest wykorzenić. Może więc powinien dać sobie spokój, zapomnieć o Marcie, zignorować uczucia, które w nim budziła? Owszem, to rozsądny pomysł, lecz Ian wiedział doskonale, że kompletnie niemożliwy w realizacji. Po prostu nie zrobi tego... No, jeszcze nie teraz. Przez kilka dni nacieszy się nowymi doznaniem, a zacznie się martwić, co dalej, kiedy Marcie wyjedzie. Niech jej obecność będzie takim prezentem pod choinkę. Pięknym przeblyskiem tego, czym mogłoby być życie.

Długo jeszcze rozmyślał, zanim w końcu zasnął.

Coś obudziło go w nocy. Otworzył oczy i zobaczył Marcie. Leżała na podłodze, w śpiworze, tuż obok piecyka, ze zmierzwioną od snu rudą szopą na głowie.

– Zmarzłam.

– Dorzucę drew. – Usiadł, dołożył kilka polan do ognia i przesunął się, robiąc Marcie miejsce na sienniku, po czym przygarnął ją do siebie. – Chodź tutaj, no, bliżej, ogrzeję cię.

– Mhm. Tego właśnie potrzebowałam.

– Ja też. – Pocałował ją w czoło.

– Mogę ci coś powiedzieć? Zaśmiał się cicho.

– Nie masz jeszcze dość gadania, Marcie?

Zignorowała jego uwagę.

– Chodzi o twój niedoszły ślub z Shelly.

– Dawno już o tym nie myślę.

– Wiem. Mam za sobą cztery śluby, w tym oczywiście i mój. Panny młode dochodzą w trakcie przygotowań do takiego momentu, kiedy nic się nie liczy poza uroczystością. Samo małżeństwo nie jest nawet tak ważne jak ślub. Rzeczywistość szybko jednak daje znać o sobie. Niektóre panny młode potrafią być okropne, ale Shelly chyba nie myślała tego, co ci wykrzyczała. – Marcie ziewnęła.

Milczał. Nie potrafił w tej chwili przypomnieć sobie nawet twarzy eksnarzeczonej.

– Cztery? – odezwał się w końcu.

– Słucham?

– Cztery śluby?

– Mhm, do tego dwa razy byłam matką chrzestną. W marcu będę po raz trzeci. Moja przyjaciółka Mable urodziła synka, to jej pierwsze dziecko.

Ian parsknął śmiechem.

– Masz przyjaciółkę, która ma na imię Mable?

– Mhm. Uważa, że mama się na niej w ten sposób zemściła, bo bardzo źle znosiła ciążę. Ponieważ Mable uwielbia dzielić włos na czworo i zawsze długo trwa, nim podejmie jakąkolwiek decyzję, już w szkole była nazywana panną Być Może.

– Panna Maybe! Cudne – skomentował ze śmiechem.

– A ponieważ jej mąż ma na imię William, więc chodzą u nas pod wspólnym imieniem Maybe Will.

– Wygląda na to, że masz mnóstwo przyjaciół. Musisz fantastycznie czuć się z tą świadomością.

Marcie wtuliła się w Iana.

– Ty jesteś moim kolejnym przyjacielem. Cieszę się.

– Znowu ziewnęła. – Coś jeszcze chciałam ci powiedzieć, o Shelly. Myślę, że udało ci się uniknąć poważnych problemów.

Zaśmiał się cicho. O tak, pomyślał. Miał szczęście, że nie ożenił się z Shelly.

– Już nic nie mówię.

– Bardzo dobrze.

Kiedy wcześniej zdarzało mu się myśleć o Marcie, wyobrażał sobie osobę samotną i nieszczęśliwą. Nie domyślał się, jaka z niej Abigail Adams, harda, twarda, pozytywnie nastawiona do świata i ludzi kobieta.

Zaś mój wzrok nie sięga dalej niż do szczytu mojej góry, pomyślał smętnie.

– Dobrze chociaż, że dzięki Marcie wreszcie to zrozumiałem – mruknął.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wczesnym świtem Marcie obudziło głaskanie po włosach.

– Dzień dobry – mruknęła sennie.

Ian nic nie odpowiedział, tylko nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta. Przymknęła oczy, czuła łaskotanie jego brody. Położyła mu dłoń na karku.

Ian uniósł głowę.

– Zasypało nas, skarbie – szepnął.

– I dobrze.

– Zazdrościłem Bobby'emu. – Odgarnął jej włosy z czoła.

– Uważaj, Ian, poruszasz niebezpieczny temat.

– Jestem gotów powiedzieć ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nie tylko ja zazdrościłem Bobby'emu, inni chłopacy też. Czuło się, że między wami jest silna więź, taka prawdziwa, bardzo realna. Przesłałaś mu do Iraku majteczki.

Marcie zrobiła wielkie oczy, poczuła, że policzki jej pałają.

– Pokazywał ci je?

Ian parsknął śmiechem.

– Pokazywał je wszystkim marines w naszym oddziale. Były chyba jasnozielone z czarną koronką, jeśli pamiętam.

– Nie mogę uwierzyć, że się nimi przechwalał.

– Był bardzo dumny z takiego prezentu. Nosił je zawsze w kieszeni jak talizman. A potem przysłałaś mu to zdjęcie na motocyklu.

Marcie ukryła twarz w dłoniach, po czym wymamrotała:

– O rany... chyba spalę się ze wstydu. – Gdy odsłonił jej twarz i znów raz pocałował delikatnie, dodała: – Czyli wychodzi na to, że tego wieczoru, kiedy omal nie zmarłam na śmierć, widziałeś mnie po raz drugi w bieliźnie.

– Hm... Zdarzało mi się wracać do domu i widzieć twoją pupę wystającą spod pledu, że nie wspomnę już o bieliźnie suszącej się na krawędzi wanny. Mógłbym oddać życie, żeby znowu zobaczyć cię w takim fikuśnym stroju.

Marcie najpierw zrobiła wielkie oczy, potem uśmiechnęła się lekko, wreszcie wybuchnęła śmiechem.

– Słyszałam już od facetów to i owo, ale podobnej deklaracji jeszcze nigdy. Powiedz, powinnam cię zastrzelić za podglądactwo?

– A gdybym ci powiedział, że musiałabyś mnie zastrzelić, by mnie powstrzymać, to co? Przestraszyłabyś się?

– Nic mnie nie przestraszy. Wiem, że zawsze mnie ochronisz, nawet przed samym sobą.

Obsypywał ją pocałunkami, a Marcie trzymała jego twarz w dłoniach.

– Powinnaś coś wiedzieć. To, co się dzieje między nami... Nie przyszło mi do głowy aż do... – zamilkł gwałtownie.

– Aż do?

– Do twojego powrotu po tym, jak Erin cię wywiozła. Nic nie musimy... Powiedz mi, jeśli nie chcesz...

Marcie zaczęła się śmiać.

– Za dużo mówisz, Ian.

W jego oczach zapaliły się złote iskierki. Nachylił głowę, położył dłoń na karku Marcie. Tym razem pocałunek był długi, głęboki. Druga dłoń błądziła po jej udach, biodrach, piersiach. Pomógł jej pozbyć się swetra, dzinsów, sam zrzucił T-shirt.

Z niewysłowionym zachwytem kontemplował jej drobne, cudownie zgrabne ciało.

– Boże na wysokościach – szepnął wreszcie.

– Tak na mnie patrzyłeś, kiedy przyniosłeś mnie nieprzytomną z wychodka?

– To nie było nic przyjemnego, uwierz mi. Strasznie bałem się o ciebie...

– Przerwał na moment. – Marcie, dopiero teraz może być przyjemnie.

Zamknęła oczy.

– O czym myślałeś? – spytała, kiedy leżeli spleceni z sobą, na wpół senni, syci miłosnych szaleństw.

– Dziękowałem Bogu, że nie zapomniałem, jak się to robi – powiedział z rozmarzonym wyrazem twarzy. – Jesteś wyjątkowa, Marcie. Nie sądziłem, że to się zdarzy, ale... – Nie był w stanie dokończyć.

Dotknęła jego policzka.

– To miłe, Ian. Ty też jesteś wyjątkowy. Bardzo wyjątkowy. Chciałam się z tobą kochać. Boże, jestem tu zaledwie dziesięć dni... Co ty sobie o mnie teraz myślisz...

– To, że spotkałem ciebie, jest tym najlepszym, co zdarzyło się w moim życiu, Marcie. Umierałem, wiesz o tym. Mógłbym tak umierać jeszcze z pięćdziesiąt lat, aż do fizycznej śmierci, lecz twój przyjazd wszystko odmienił. Ty żyjesz, prawdziwie żyjesz, bo próbujesz zmienić swój świat, gdy widzisz taką potrzebę, więcej, po prostu to robisz, jak Abigail. – Uśmiechnął się szeroko.

– To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Nie przyciskam cię za bardzo?

– Nie ruszaj się. Chcę się czuć częścią ciebie. Miał ochotę powiedzieć, że będzie jego częścią do

końca życia, ale to mogłoby ją bardziej wystraszyć niż ryk, który wydał z siebie na powitanie.

W końcu zdecydowali się wstać i ubrać, aczkolwiek z ociąganiem. Wyszli przed chatę sprawdzić, jak bardzo są zasypani. Śnieg nie przestawał padać, ale sytuacja nie przedstawiała się aż tak dramatycznie, jak obawiała się Marcie.

– Zróbmy orły na śniegu – zaproponowała.

– Wykluczone – sprzeciwił się Ian. – Gdyby Buck mnie zobaczył, straciłbym u niego wszelkie poważanie.

– Daj się namówić. Twój orzeł będzie wspaniały, ogromny.

– Nie. – Ian chwycił ją wpół, zarzucił sobie na plecy i wniósł do chaty.

– Nie umiesz się bawić – marudziła.

– Za to ty potrafisz za nas oboje. – Nie zdejmując kurтки, nastawił wodę na kąpiel, jak zwykle na piecyku i na kuchence propanowej. – Zostawię cię samą, odśnieżę przejście do wychodka, przyczepię pług śnieżny do furgonetki i przejadę do przelotówki.

– Tak szybko? – W głosie Marcie zabrzmiało rozczarowanie.

– Później będzie znacznie trudniej, lepiej odśnieżać regularnie. Kiedy już się wykąpiesz, nastaw wodę dla mnie, dobrze?

– Jasne. Jak będziesz miły, to może nawet wyszoruję ci plecy.

Zima zawsze była przekleństwem dla Iana, bo przysparzała mnóstwo dodatkowej pracy: przekopywanie ścieżek przy chacie, odśnieżanie drogi dojazdowej, i tak w kółko, aż do wiosny. Tym razem najchętniej nic by nie robił i zatrzymał Marcie u siebie przez kilka następnych tygodni, zdawał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe. Jeszcze dzień, dwa, to wszystko, na co mógł liczyć.

Kiedy już przekopał przejście, przypiął pług do furgonetki, obciążył ją drewnem i zakrył skrzynię brezentem. Jeśli odśnieży drogę dzisiaj, jutro będzie miał łatwiejsze zadanie.

Kilka kilometrów od chaty Iana mieszkał stary, który nie miał pług. Miał co prawda traktor, ale popsuty. Ian zamierzał zajrzeć do niego następnego dnia, sprawdzić, jak sobie radzi, odśnieżyć mu drogę, zobaczyć, czy ma co jeść. Nie przyjaźnili się, ledwie wymieniali zdawkowe pozdrowienia przy spotkaniu, ale nie mógł pozwolić, żeby stary zamarł z zimna czy przymierał głodem, pozostawiony samemu sobie. W końcu niewiele go to kosztowało, kilka krótkich wizyt u sąsiada, nic wielkiego.

– Jesteś wreszcie – przywitała go Marcie, kiedy wrócił do chaty. – Już się zastanawiałam, czy nie biec ci z pomocą.

Ian ściągnął rękawice.

– Odśnieżyłem drogę do samej przelotówki, na wypadek gdybyśmy się gdzieś wybrali, chociaż nigdzie się nie wybieramy. Woda już się zagrzała?

– Tak. Jak będziesz miły, zrobię ci sadzone, zanim jajka diabli wezmą.

Ian zdjął kurtkę i powiesił ją na krześle.

– Poczytasz książkę, kiedy będę się kąpał? Marcie uśmiechnęła się szeroko.

– Mowy nie ma.

Mieli dla siebie dwie noce i jeden dzień. Dla Iana okazały się ozdrowieńcze, dla Marcie magiczne. Najadali się do syta, kochali, drzemali przy bużującym piecyku, rozmawiali. Wieczorem umościli się na kanapie. Ian wziął Marcie na kolana, rozkoszował się jej bliskością i nieśpieszną rozmową. Oparła głowę na jego piersi, a on głaskał ją po włosach.

– Opowiedz mi o Erin – poprosił. – Tak bardzo się różnicie, jesteście zupełnie inne.

– Całkowicie – przytaknęła Marcie. – Są trzy Erin. Jeśli naprawdę chcesz się czegoś o niej dowiedzieć, usiądź wygodnie.

– Siedzę wygodnie – oznajmił ze śmiechem.

– Kiedy dorastałam, Erin grała rolę Wielkiej Siostry i rozstawiała mnie po kątach. Myślę, że zwykle tak bywa między starszą a młodszą siostrą, ale kiedy zabraknie matki, ten rodzaj relacji jeszcze się wzmacnia. Innymi słowy, Erin była nie do zniesienia, prawdziwy wrzód na dupie i niech to starczy za komentarz. Kiedy umarł ojciec, Jej Wysokość całkowicie przejęła stery w domu, tyle że nie była w stanie nad nami zapanować. Trzynastolatek i piętnastolatka, możesz to sobie wyobrazić.

Chodziliśmy własnymi ścieżkami, żyliśmy własnym życiem. Ja miałam Bobby'ego i naszą paczkę, Drew sport i swoich kumpli. Teraz czasem się tym gryzę, a mówiąc wprost, mam wyrzuty sumienia, ale Erin w ogóle nas nie obchodziła. Zaczynała studia prawnicze, musiało być jej bardzo trudno, a my byliśmy głupimi dzieciakami, jakbyśmy nic nie rozumieli, nic nie wiedzieli. No, nie rozumieliśmy, nie wiedzieliśmy.

– Oczywiście powiedziałaś jej o tym, kiedy dorostaś?

– Oczywiście. Erin pracowała już w dobrej kancelarii, kiedy zamąciłam jej uporządkowane życie, oznajmiając, że wychodzę za męża. Próbowwała mnie odwieść od tego pomysłu, ale ja nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Były awantury, były łzy, w końcu zrobiła to, co zrobiłby nasz ojciec.

– To znaczy?

– Zgodziła się i wyprawiła nam wesele.

– Wyprawiła wam wesele?

– A może tata je wyprawił, choć przecież już nie żył. Zależy, jak na to spojrzeć. Zostawił nam dom, była polisa ubezpieczeniowa, jakieś akcje. Erin tego wszystkiego strzegła z myślą o naszych studiach. Mnie to zupełnie nie interesowało, chciałam po prostu wyjść za Bobby'ego. Zrozumiała, że mnie nie przekona, więc się zgodziła, chciała, żebym była szczęśliwa. Gryzła się strasznie moją decyzją, ale udawała rozpromienioną. Choć z drugiej strony

uwielbiała Bobby'ego i jego rodzinę, martwiło ją tylko to, że jesteśmy za młodzi na ślub. – Zadumała się na chwilę. – No a potem Bobby wrócił z Iraku w takim stanie, w jakim wrócił. Erin, która wcześniej nie mogła pogodzić się z naszą decyzją, stała się moim najlepszym adwokatem. Użyła całej swej wiedzy prawniczej i uruchomiła wszystkie kontakty, żeby zdobyć dla mnie możliwie najwyższe odszkodowania. Sam na pewno wiesz, jak ciężko wyciągnąć pieniądze od wojska. Bobby nie był już przydatny dla armii, więc... – Uśmiechnęła się smutno, z goryczą. – Musisz walczyć jak buldog, nie popuścić ani na krok. Podobnie jest z zagwarantowaniem opieki medycznej. Trzeba niespożytej energii, żeby to wszystko, co niby gwarantuje ci prawo, uzyskać. A ona telefonowała, słała listy, wciągnęła też w sprawę jakiegoś kongresmana. I to Erin znalazła idealny dom opieki. Moja nieskazitelnie elegancka siostra w designerskich ciuchach brudziła sobie ręce po łokcie, pomagała myć Bobby'ego, zmieniała pościel, czyściła mu zęby, zakrapiała oczy... Trzymała go w ramionach, szeptała serdeczne słowa, opowiadała o swojej pracy, o tym, co dzieje się w polityce. Była z nim w każdy możliwy sposób, jak my wszyscy.

Ian poczuł jak ściska mu się gardło. Próbował wyobrazić sobie wyniosłą damę, która przyjechała po Marcie, w zupełnie innej roli. Czulej i ofiarnej siostry i szwagierki, pocieszycielki zboliałych, pomocnej w każdej sytuacji.

– To są te trzy Erin?

– Nie, dopiero dwie. Trzecia to ta, którą poznałeś. Wzięta pani adwokat, ceniona przez partnerów w kancelarii. Troszczy się o mnie i o Drew, pomaga nam, ale ma trzydzieści cztery lata i wciąż jest samotna. Miała kilku facetów, lecz nic ważnego, ot, przelotne związki. Mieszkamy wszyscy troje w naszym rodzinnym domu. Moją sytuację znasz, Drew jeszcze studiuje, natomiast Erin... no cóż, tak naprawdę poza pracą nie ma własnego życia, bo wszystko

oddała nam. Sprawia wrażenie okropnie władczej, zimnej i wyrachowanej, lecz to tylko pozory, bo wszystko poświęciła dla nas. Powinna mieć męża albo partnera, ale myśli tylko o nas. Najpierw Bobby, potem studia Drew. Nie jakieś tam zwykłe studia, lecz niesłychanie kosztowne. Gdyby nie pomoc Erin, Drew mógłby sobie tylko pomarzyć o medycynie, a ja nie wiedziałabym, jak walczyć o Bobby'ego. Bardzo wiele jej zawdzięczam. Przeciwstawiam się, kiedy próbuje mną rządzić, ale dobrze wiem, jak wielki dług wdzięczności mam wobec niej.

– Świetnie cię rozumiem – powiedział w zadumie, porównując swój los z losem Marcie. – Zaznałaś wiele cierpienia, ale taka siostra, taki brat... taka rodzina...

– Pocałował ją w czubek głowy

– No właśnie, Ian. – Też zadumała się na moment.

– Dlatego obiecałam, że wrócę do domu na święta. Mogłabym tu siedzieć w nieskończoność, ale przyrzekłam. Nie chodzi tylko o Erin. Rodzina Bobby'ego traktuje mnie jak córkę i siostrę...

– Wiem. Bardzo dzielnie sobie radziłaś. Nie jest łatwo mieszkać w tej chacie.

– Co ty, nic mi nie przeszkadzało. Może tylko to, że mróz szczypie w tyłek, gdy trzeba iść do wychodka.

– Kiedy tu jechałaś, czego oczekiwałaś? – Ian nawijał na palec kosmyk rudych włosów.

– Na pewno nie tego, co się stało. – Marcie zaczęła się śmiać. – Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałbym, że to niemożliwe.

– Czego chciałaś?

– Szukałam spokoju wewnętrznego. – Wyprostowała się, obróciła i przysiadła na piętach. – Dlaczego tak się stało, Ian? Dlaczego zaszyłeś się tutaj, z nikim nie nawiązałeś kontaktu?

– Opowiadałem ci. Spałem w lesie i...

Marcie pokręciła głową.

– Musi chodzić o coś więcej. Rozumiem, że trafiłeś tu przypadkiem, że stary cię znalazł w śniegu, że zostałeś z nim. Ale czy była jakaś trauma, która kazała ci uciekać od świata?

Ian zasepił się.

– Myślisz, że to tak musiało wyglądać? Jack powiedział mi, że przyjechał tutaj, bo szukał miejsca, gdzie mógłby rozmyślać...

– Ale otworzył bar, wiele osób ma w nim wsparcie. To jednak nie to samo. Chodziło o Shelly? O ślub?

– Mnóstwo rzeczy się na to złożyło, Marcie. – Ian dotknął jej policzka. – Zbyt wiele zdarzyło się niemal w jednym czasie. Al-Falludża. Bobby. Shelly. Mój ojciec...

– Opowiedz mi, dlaczego pozwoliłeś Shelly odejść. Ian na moment odwrócił wzrok, po czym spytał:

– Czy Shelly chociaż raz zadzwoniła do ciebie? Złożyła ci wizytę, odwiedziła Bobby'ego? Czy też próby kontaktu wychodziły wyłącznie z twojej strony?

– Szukałam ciebie...

No tak, pomyślał, ta odpowiedź wszystko wyjaśnia.

– Posłuchaj, Marcie. Sugerowałem Shelly w listach, jeszcze zanim Bobby został ranny, żeby się do ciebie odezwała. Mieszkacie w tym samym mieście, Bobby był moim przyjacielem.

– Ale...

– Wiem. Po tym, co stało się z Bobbym, musiałem dać sobie czas, żeby dojść do siebie. To był główny powód. Shelly wiedziała o wszystkim. Wiedziała, w jakim stanie jest Bobby, wiedziała, że się nim opiekujesz. Że byłaś przy nim w Niemczech, potem w Waszyngtonie, że sprowadziłaś Bobby'ego do domu. I nie spróbowała ani razu skontaktować się z tobą. Dziewczyna z tego samego miasta i najlepszy przyjaciel jej narzeczonego. – Ian skrzywił się. – Nie miałem pojęcia, że jest takim człowiekiem.

– Kiedy wróciłam z Bobbym do Chico, też nie próbowałam ponownie się z nią kontaktować – powiedziała Marcie. – Spotkałam się z nią, kiedy zaczęłam szukać ciebie.

– Ponownie? – Patrzył na nią czujnie, uważnie. Wiedziała, że złapał ją za słowo. Próbowwała bronić

Shelly, tyle że... Umknęła wzrokiem.

– Dzwoniłam do niej jeszcze przed Al-Falludżą, bo uznałam, że powinnyśmy się poznać, skoro ty i Bobby jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Niestety nie znalazła dla mnie czasu. Wzięła mój numer i powiedziała, że zadzwoni, jak znajdzie wolną chwilę.

– I nigdy jej nie znalazła... – Zamilkł na moment, minę miał ponurą. – Nie mówiła mi o tym, ale ja jakoś podskórnie wiedziałem. Była zajęta przygotowaniem do ślubu. Shelly cierpi na widzenie tunelowe. Nie jestem nawet pewien, czy mieściłem się w tym mocno zawężonym polu widzenia. Masz rację, mogę dziękować losowi, że się z nią nie ożeniłem. Nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę, ale czułem, że coś jest nie tak.

– A ojciec? Co takiego zrobił?

Trudno mu było odpowiadać, ale wiedział, że musi być szczery z Marcie.

– Nic, czego nie robiłby przez całe życie. Zawsze trudno go było zadowolić. Same wymagania, nigdy słowa pochwały, a ja chociaż raz chciałem usłyszeć, że jest ze mnie dumny.

– Jaka była twoja matka?

– Zupełnie niezwykła. – Na twarzy Iana pojawił się ciepły uśmiech. – Kochała go przy wszystkich jego wadach. Jej nie musiałem udowadniać, że jestem supermanem. Jak padałem na pysk, promieniała i mówiła do ojca: „Widziałeś, jak Ian to zrobił? Genialne!”. Kiedy wystąpiłem w musicalu, uznała, że to najważniejsze wydarzenie w Chico, natomiast ojciec zapytał, czy jestem gejem. – Ian zaśmiał się. – Mama była najlepszym, najcieplejszym, najbardziej wielkodusznym człowiekiem na świecie. Zawsze pozytywnie nastawiona do świata, wierna, do bólu uczciwa i kochająca nas. Prawdziwa opoka. Jakby dla kontrastu ojciec z niczego nie był zadowolony, wszystko mu przeszkadzało, wszystko szło nie tak, a matka, zamiast mu powiedzieć: „Zaniknij się wreszcie, stary pryku”, mówiła: „Upiekłam ciasto czekoladowe, to ci poprawi nastrój”.

– Musiała być wspaniała.

– Była. W przeciwieństwie do starego pryka. Nigdy mnie nie uderzył, nie skrzyczał chyba nawet. Nie upijał się, nie rozbijał mebli czy...

– Co takiego zrobił?

– Wiedziałaś, że dostałem odznaczenia za uratowanie Bobby'ego?

– Tak. Bobby też został odznaczony.

– Ojciec opowiadał wszystkim o moich medalach, ale dla mnie nie miał na ten temat choćby jednego słowa. Kiedy mu powiedziałem, że rezygnuję ze służby w Marine Corps, usłyszałem, że wszystko spierdoliłem. Że nie potrafiłem docenić tego, co miałem. I że nie mogłem przynieść mu większego wstydu. I że bym zapomniał, że jestem jego synem.

Marcie, zamiast łać łyżycę współczucia, uśmiechnęła się.

– Zawsze taki sam, przez całe swoje głupie życie – podsumowała.

– Zawsze taki sam. – Ian ze smutkiem pokiwał głową.

– Żałosny sukinsyn.

– Dla kogoś takiego nie ma usprawiedliwienia. To przecież nic nie kosztuje być serdecznym i miłym. Być przyzwoitym człowiekiem. Wstyd.

– Zaraz mi powiesz, że nie będę wolny, dopóki mu nie przebaczę – mruknął Ian. – Ludzie zawsze tak mówią. Wybacz przez wzgląd na siebie, nie na tego, któremu wybaczasz.

– Nie usłyszysz tego ode mnie, mowy nie ma. Ale gdyby on poprosił o wybaczenie...

– W życiu.

– Też tak myślę. Poznałam go, rozmawiałam z nim i to, co mi opowiedział, w ogóle mnie nie zaskoczyło.

– Nie czuję do niego nienawiści, przysięgam na Boga, ale nie powiem przecież: „Jesteś najgorszym sukinsynem, jakiego świat widział, ale mi to nie przeszkadza”.

Marcie oparła głowę na jego ramieniu.

– On się nigdy nie zmieni. Nic go nie zmieni. To pewne jak słońce na niebie. Wreszcie to rozumiałam.

– Spojrzała Ianowi głęboko w oczy. – Teraz wszystko już będzie dobrze.

– Dobrze? Niby co rozumiałaś?

– Wróciłeś z Iraku poturbowany psychicznie. Straciłeś najlepszego przyjaciela, mimo że jego organizm jeszcze funkcjonował, co chyba było dla ciebie gorsze niż ostateczny koniec. Twój związek się rozpadł. To często się zdarza, kiedy żołnierz wraca z wojny. Potrzebowałeś czasu dla siebie...

– Wiem, że mogłem szukać pomocy, ale byłem w takiej kondycji, że gdyby ktoś chciał mi pomóc, dałbym mu chyba w szczękę.

– Był w tobie gniew, zresztą całkiem usprawiedliwiony. Twój bliscy...

– Okazało się, że nie mam nikogo bliskiego.

– Teraz masz. – Marcie znów intensywnie spojrzała mu w oczy. – Dziękuję ci. Chciałam zrozumieć, co się stało. Tylko to chciałam wiedzieć. Nie musiałeś mi opowiadać o sobie, a jednak opowiedziałeś.

Odgarnął kosmyk, jeden z wielu niesfornych rudych kosmyków, za jej ucho.

– Na pewno sobie wyobrażałaś, jak to będzie, gdy mnie odnajdziesz...

– Oczywiście! Wiele razy o tym myślałam. Ale nie brałam pod uwagę wspaniałego seksu. Wyobrażałam sobie, że cię odnajdę, powiem ci coś, co przyniesie ci ulgę, i zabiorę cię do domu.

– Do domu?

– Do Chico. Dokądkolwiek, gdzie czułbyś, że jest twój dom. Chłopcy z twojego oddziału odwiedzali Bobby'ego, dopytywali się, czy wiem, co się z tobą dzieje. Nie jesteś taki samotny, jak ci się wydaje. Powinieneś zadać sobie trochę trudu i ich odnaleźć. Przepadłeś na zbyt długo. Kiedy ludzie myślą, że ich nie chcesz, zostawiają cię w spokoju.

– Nie wszyscy – skomentował ze śmiechem.

– Już ci mówiłam, że jestem równie uparta jak ty.

– To powiedz mi jeszcze, jak to jest według ciebie z tym przebaczeniem.

– Akurat w tej kwestii myślę podobnie jak ty. Jeśli ktoś, kto postąpił wobec mnie okropnie, przeprosza i prosi o przebaczenie, to w porządku, mogę wybaczyć, uznać sprawę za niebyłą, ale nie zamierzam nikomu przebaczać na siłę. Jeśli zdolność do przebaczenia ma mnie uszlachetniać, to wolę pozostać najgorszym draniem na boisku.

– A Bóg?

– Bóg wszystko rozumie, ale nawet jemu zdarzyło się kilka pomyłek. Spójrz na pestkę awocado, jest o wiele za duża, a dla odmiany granat ma za dużo maleńkich pestek i mnóstwo miąższu się marnuje. Ale to drobiazg w porównaniu z komarami. Po cholere to to żyje? No powiedz, po cholere?! – uderzyła w dramatyczne tony.

– No ładnie, krytykujesz dzieło boże... – Spowaźniał.

– A co z tymi, którzy są potworami w ludzkim ciele? Roztaczają wokół siebie złą aureę, niszczą wszelką radość, nałogowo krzywdzą innych?

Marcie podniosła głowę, spojrzała mu w oczy, wyraz twarzy miała łagodny, pełen pogody.

– Przyjmujemy ich takimi, jakimi są, skoro już krążą po naszym terenie. To jasne, że nie możemy ich kochać jak braci, choć czasami można kogoś takiego zrozumieć, dociec, dlaczego jest taki, a nie inny... Choć lepiej zostawić takich ludzi samym sobie, jeśli to możliwe.

– Przerwała na moment, szukając właściwych słów.

– Ian, skoro szukasz mojej rady, to powiem ci tyle: zaakceptuj go takim, jaki jest ten żalosny stary drań, który nawet przez jeden dzień w swoim zmarnowanym życiu nie był szczęśliwy. I powtarzaj sobie, bo taka jest prawda, że z tobą nie ma to nic wspólnego.

Ianowi łzy napłynęły do oczu. Marcie patrzyła, jak głęboko jest poruszony. Oto ten potwór, ten dzikus, myślała, który przywitał mnie wściekłym rykiem...

– Skąd ktoś taki młody, taki łobuz z boiska, ktoś tak nieutemperowany czerpie tak wiele mądrości?

– To nie mądrość, tylko praktyczna wiedza nabyta w nieustannym zmaganiu się z życiem. Staram się, jak umiem, to wszystko. Muszę ci coś powiedzieć. Jestem z tobą całym sercem, Ian, i mam nadzieję, że to wiesz.

– Wiem.– Pocałował ją leciutko w usta.– Chciałbym cię o coś spytać...

– Tak?

– Dziwne, gdy o to pyta syn, ale... ale nic nie wiem, co się dzieje z moim ojcem. Mówiłaś, że jest chory.

– Nie odchodzi jeszcze, ale choroby mogą skrócić mu życie. Miał raka prostaty, brał chemię. Ma chorobę Parkinsona, wygląda na to, że również początki demencji, przeszedł lekki wylew. Jednak, choć może zabrzmiało to dziwnie, trzyma się krzepko i może żyć jeszcze długie lata. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Jesteś niezwykła.

– Mógłbyś jechać ze mną na święta do Chico. Ian milczał przez chwilę.

– Nie, Marcie – odparł po chwili milczenia. – Wystarczyło dziesięć dni, żebyś odmieniła moje życie, ale nie na tyle, żebym był gotów jechać do Chico. To, co się zdarzyło między nami, może być tylko przygodą bez dalszego ciągu. Nie przypuszczaliśmy, że tak się to potoczy, nie planowaliśmy tego.

– Ale nie żałujesz?

– Miałbym żałować? Jestem wdzięczny i tobie, i losowi.

– Gdybym została tu dłużej...

– To zamieniłabyś mnie w innego faceta? Wyciągnęła z tej chaty?

– Nic z tych rzeczy! – zaprzeczyła energicznie. – Przecież mnie znasz, nie jestem jak moja Jej Wysokość Siostra. Myślę tylko, że gdybym została dłużej, częściej byś się śmiał, śpiewał ludziom, zamiast zwierzętom. Wiesz, o co mi chodzi. No i może zaprosiłbyś tę bibliotekarkę na drinka.

– Jakim cudem? Spaliłaś przede mną wszystkie mosty i rozkopałaś wszystkie dróżki wiodące do niej. Przecież nie pójdzie na drinka z sawantem idiotą, bo wszystkie przypiśnięte wzięłyby ją na języki.

– No tak, nieźle cię załatwiłam. Ta opinia pewnie przylgnęła do ciebie jak rzep do psiego ogona. Wybacz – przepraszała z nieskrywaną obłudą. – Ian, jeśli przyjadę do ciebie, nie każesz mi spać w samochodzie, co?

– Rany, Marcie... – Chciał się roześmiać, lecz nagle poczuł wielki smutek. Może przyjedzie raz, drugi, a potem przestanie przyjeżdżać. Nie zasługiwał na nią. A ona zasłużyła na coś więcej. Na kogoś innego. Po co jej stary, zmęczony życiem żołnierz piechoty morskiej z problemami, które wyгнаły go w leśną głuszę?

– Skoro nie chcesz jechać ze mną, zostanę tu do Wigilii. Tak wyliczę czas wyjazdu, by zdążyć do domu na kolację.

– Erin się to nie spodoba. Czeka na ciebie.

– Trudno, niech czeka. Robię, co w mojej mocy, by ją zadowolić, ale nie kosztem tego, co najważniejsze, Ian. Nie rozumiesz? Nie chcę cię tu zostawiać samego.

Zamiast ciągnąć ten temat, spytał po prostu:

– Myślisz, że jest za wcześnie, żeby się znowu kochać?

– Nie – powiedziała z uśmiechem.

Przygarnął ją do siebie. Uznał, że lepiej nie mówić „Kocham cię”. Marcie już było wystarczająco trudno, po co utrudniać sytuację jeszcze bardziej.

Kiedy obudziła się rano, Iana już nie było. Zostawił karteczkę:

Kochanie, odsnieżę drogę, dostarczę drewno klientom. Wrócę niedługo.

Ian.

– Kochanie – powtórzyła szeptem. Złożyła starannie kartkę na cztery i schowała do portfela. Przechowa ją. Na zawsze.

TTLR

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ian dostarczył drewno klientom, przyjął trzy kolejne zamówienia, każde na pół saga. Zapas sezonowanego drewna powoli się kończył, ale Ian miał wszystko starannie wyliczone. Przez całą wiosnę, lato i jesień przygotowywał drewno, sezonował je, a kiedy przychodziła zima, sprzedawał w ciągu paru tygodni.

W Virgin River był około południa. Zaparkował przy barze, ale nie wszedł do środka. Podszedł do drzewka, przyglądał się naszywkom i odznakom różnych jednostek, różnych formacji. Rozejrzał się. Pusto. Był sam. Wyjął z kieszeni odznakę swojej jednostki i przymocował drucikiem do gałęzi. Odznaka jego jednostki, taka sama, jaką nosił Bobby. Jeszcze medale, Purpurowe Serce i Brązowa Gwiazda. Zajęło mu to chwilę.

Nagle usłyszał:

– Dopilnuję, żeby wróciły do ciebie.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył Mel Sheridan.

– Nie mają już dla mnie większego znaczenia.

– Już to słyszałam – odparła Mel z uśmiechem.

– Tak? Od kogo?

– Choćby od Jacka. Wy, z Marine Corps, naprawdę jesteście dziwni.

Dokonujecie czynów, które przynoszą wam medale, po czym chowacie, że zacytuję męża, „te błyskotki” do szuflady. Jack chciał się swoich pozbyć, dlatego ojciec je skonfiskował i zabezpieczył. Jack mówi, że medale są nieważne, ważni są ludzie. Dopilnuję, żeby twoje odznaczenia wróciły do ciebie – powtórzyła.

– Dziękuję. Myślę, że tu jest ich miejsce.

– Chwilowo. Wiem, że Marcie jedzie do domu, ale gdybyś był gdzieś w pobliżu w Wigilię...

– Słyszałem. Spotkanie wigilijne. Sam nie wiem...

– Nieformalne spotkanie, żadnych zaproszeń, przyjdzie, kto będzie miał ochotę. Zajrzyj. – Mel znów uśmiechnęła się przyjaźnie.

– To miłe. Muszę już jechać. Mój sąsiad, staruszek, nie ma pługu śnieżnego...

– Ale ma ciebie, Ian.

– Nie. Ja tylko...

Z baru wybiegli Jack, Proboszcz i Mike, wszyscy w kurtkach, ze strzelbami.

– Jack? – zaniepokoiła się Mel.

– Travis Goesel wyszedł wczoraj z domu i dotąd nie wrócił. Rodzina przeszukała całą farmę, pastwiska. – Poszedł do furgonetki i wrzucił torbę na skrzynię. – Davida zostawiłem z Brie.

– Travis wyszedł z domu?

– Jego psa zabiła puma, więc chłopak wziął strzelbę i poszedł jej szukać. Jest doskonałym strzelcem. To bystry dzieciak, sam z własnej woli nie błąkałby się po okolicy w taki mróz, w śniegu.

– Gdzie jest farma Goeselów? – spontanicznie zapytał Ian.

– Wiesz, gdzie jest Biedny Staw?

– Rzeczka, która przepływa przez moje grunty, go nawadnia. To kilka kilometrów za zachód ode mnie. Ten kot kręcił się koło mojej chaty, widziałem go.

– Skąd wiesz, że to ten sam? – zapytał Jack.

– Był agresywny. Nie uciekł, jak inne lwy górskie.

– Musisz dobrze znać tę okolicę. Pomógłbyś nam?

Ian za wszelką cenę chciał wrócić do domu. Marcie czekała na niego, była sama, a po okolicy grasował groźny kot.

– Dzieciak ma szesnaście lat – ciągnął Jack. – Jest wyrosnięty na swój wiek, silny i sprawny, ale jego ojciec ma rację, musiało stać się coś złego. Nie wiem, co gorsze, mróz czy spotkanie z lwem górskim.

– Jeśli to bystry chłopak, nie poszedł w stronę mojej chaty, bo musiałby ostro się wspinać, a to bez sensu. Na pewno zaczął od dołu i zataczał koła, by złapać trop. Zacznę od podnóża góry i będę szedł na zachód. Wy idźcie z zachodu na wschód. Może to coś da. Chłopiec w tym wieku jest w stanie pokonać wielokilometrową trasę.

– Ojciec i bracia ciągle jeszcze przeszukują farmę, my zajmiemy się okolicą. Proboszcz i Mike przepatrzą teren na zachód od farmy, ja pójdę z tobą od wschodu. – Jack zdjął torbę ze skrzyni furgonetki.

– Ogrzewanie w mojej furgonetce praktycznie nie działa – ostrzegł Ian.

– Ale masz pług. Świetnie, bardzo się nam przyda. Chcę kupić coś takiego. Mamy spory kawałek drogi dojazdowej do naszego nowego domu.

Ian zwrócił się do Mel:

– Rano wyjechałem rozwieźć drwa klientom i od tej chwili nie zająłem do chaty, a Marcie na mnie czeka, nie wie, dlaczego nie wracam. Jeśli wpadnie jej do głowy uruchomić garbusa i ruszyć na poszukiwania...

– W porządku. Zajrzę tylko do Brie, jak radzi sobie z Davidem, i pojedę do niej.

– Powiedz, że ma siedzieć w domu, nie wychylać nosa za próg. Nie będzie się jej to podobało, ale trudno. Powiedz, że po okolicy kręci się ta przeklęta puma, która niczego się nie boi.

– Powiem jej. A wy uważajcie na siebie. Jack, bądź ostrożny.

Jack wyszczerzył zęby.

– Wrócę niedługo, Melindo. Na Tralisa czekają prezenty pod choinką. Musimy sprowadzić go do domu. Ty też uważaj na siebie i na malucha. Jedziemy, Buchanan. Do dzieła.

Ruszyli dwoma furgonetkami. Ian zabrał Jacka, Mike pojechał z Proboszczem.

– Ile masz ziemi, Ian? – zagadnął Jack, kiedy ruszyli.

– Około trzystu hektarów

– Fiu, fiu, całkiem nieźle.

– Góra i las z ograniczonym pozwoleniem na wyrąb. Właściwie tyle, co nic.

– Piękne i ciche nic.

– Jest strumień, mnóstwo ryb, dobry teren łowiecki. Las dostarcza drewna na opał, mam stałych klientów, z tego żyję. Stary Raleigh kiedyś prowadził niewielkie gospodarstwo rolne, ale wiele lat przed śmiercią to zarzucił. Sprzedawał drewno, wędkował, polował, więc miał co do garnka włożyć.

– Jak go poznałeś?

– Wędrowałem po okolicy, donikąd, bez celu. Biwakowałem to tu, to tam, polowałem na króliki. Zima zaskoczyła mnie w górach. Raleigh był starszy niż sam Matuzalem, dał mi dach nad głową w zamian za pomoc.

Ot, i cała historia. Powiedz mi coś o tym chłopcu. Dlaczego on to zrobił?

Jack spojrzał na niego uważnie.

– Miałeś kiedyś psa?

– Tak, nazywała się Velvet. Czarna labradorka. – Velvet była jego najlepszą przyjaciółką od dzieciństwa. Umarła, gdy miała czternaście lat, była już zupełnie zniedołężniała, kiedy odeszła, żal było patrzeć, ale nie potrafił się z nią rozstać.

Miał siedemnaście lat, ona czternaście. Pewnego ranka szykował się do szkoły, kiedy usłyszał, jak ojciec klnie w żywy kamień. Już wiedział, Velvet w nocy przydarzył się wypadek. Była już bardzo zmęczonym psem i nie zawsze pamiętała o porządku.

– Tego psa trzeba uśpić – warknął ojciec. Przerażony, że kiedy wróci do domu, nie zostanie

Velvet, nie poszedł tego dnia do szkoły. Sam zawiózł ją do weterynarza. Trzymał jej głowę w ramionach, kiedy zasypiała cicho, bez bólu. Nie mógł pozwolić, żeby umierała sama. Chciał z nią być do samego końca, chciał się pożegnać.

Długo rozpaczał po jej odejściu. Zaszywał się gdzieś, gdzie nikt nie mógł go widzieć, i płakał jak dziecko.

– Puma przychodziła na farmę, kręciła się tam. Pies chciał ją przegonić – mówił Jack. – Bronił kóz i kur.

– Ile miał lat?

– Nie wiem dokładnie, sześć, może osiem. Nazywała się Whip. Border collie, pasterski pies. W obejściu jest sześć psów, nie mieszkają w domu, ale Whip była ulubienicą Trávisa, wychował ją od szczeniaka, sam wybrał ją z miotu. Spała z nim w łóżku. Goesel nie mógł jej wypędzić z sypialni syna. Wiesz, jacy są farmerzy, zwierzęta mają dla nich wartość użytkową, traktują je trzeźwo, bez sentymentów. Nie wiem, jak kotu udało się dopaść Whip, psy pasterskie są i bardzo czujne, i ostrożne. Ian zacisnął zęby.

– Ja też mam swoje porachunki z tym draniem.

– I ja miałem psa. Wielkie, wspaniałe psisko, Spike, wilczur – wspominał Jack. – Moje kochane siostry uwielbiały go stroić. Biedaczysko, nie mogłem na to patrzeć. Dumny silny samiec, a pozwalał tak strasznie się upokarzać.

Ian wyobraził sobie owczarka niemieckiego w spódniczce baletnicy, oburzenie nastoletniego psiego „taty”, rozchichotane dziewczyny... Parsknął śmiechem.

– Nic śmiesznego – mruknął Jack.

Zjechali na pobocze, Ian wziął narzędzia ze skrzyni furgonetki i opuścił pług. Był to pług starego typu, bez hydrauliki, więc nie można było sterować nim z kabiny, wszystko robiło się ręcznie, ale spełniał doskonale swoje zadanie.

– Nie widzę drogi – powiedział Jack. – Ty widzisz?

– Wiem, gdzie jest.

– Jakim cudem?

– Wyczuwam. Spokojnie, jeśli chłopak jest rzeczywiście bystry, musimy szukać zostawianych przez niego śladów, jakiegoś schronienia albo...

– Ciała – dokończył Jack.

– Jeśli się zgubił, powinien szukać rzeki i posuwać się jej brzegiem albo pójść którąś ze starych przesiek. Akurat przesieki łatwo znaleźć, bo wskazuje je linia drzew. – Ian przejechał kilkaset metrów i zatrzymał furgonetkę. – Proponuję, żebyśmy zaczęli stąd.

– Zgoda.

Wysiedli z furgonetki. Ian sięgnął po strzelbę leżącą na skrzyni, wyjął latarkę ze schowka w kabinie, Jack szperał w swojej torbie.

– Mam tylko jedną raketnicę, ale dam ci kominiarkę i ciepłą chustę, owiąż nią szyję. Podejdziemy kawałek razem. Kiedy się rozdzielimy, oddaj dwa strzały, gdybyś coś znalazł. Jasne?

– Jasne. – Ian przeklinał się w duchu, że rano nie włożył kalesonów. – Whip nie była tak sprytna i zajadła jak pozostałe psy, bo Travis trochę ją rozpuścił. – Zabrzmiało to tak, jakby Ian doskonale znał Trávisa i jego psa.

– Wiem – przytaknął Jack. – Jak twoja latarka? Potrzebne ci baterie?

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien.

Jack dał Ianowi baterie oraz dwie małe butelki wody mineralnej, a kiedy uszli kilkaset metrów, zadysponował:

– Tu się rozdzielimy.

Ian ruszył w stronę rzeki. Szukał śladów na śniegu, od czasu do czasu spoglądał na drzewa, by sprawdzić, czy kotu nie przyszło do głowy bawić się w chowanego. Myślał o chłopcu, wspominając, jaki sam był w wieku szesnastu lat. Narwany dzieciak, dla którego liczyło się kilka spraw, wśród nich była miłość do Velvet.

Kiedy Velvet odeszła, przestał udawać, że nie widzi wad ojca. Zmęźniał, był od starego Buchanana wyższy i silniejszy, potrafił mu się postawić, ostro odpowiedzieć. Dość miał wiecznej krytyki. Matka prosiła, żeby nie wchodził w spory, ignorował jadowite uwagi ojca. Wtedy wyrzucał matce, że pozwala traktować się jak niewolnica.

Wiele razy jej powtarzał:

– Powinien całować ziemię, po której stąpasz!

Na co padała taka odpowiedź:

– Ian, on po prostu nie okazuje czułości, nie potrafi być serdeczny, ale nie zdradza mnie, ciężko pracuje, żeby nas utrzymać. Dał mi ciebie, za co będę mu dożgonnie wdzięczna.

To za mało, myślał Ian, tragicznie za mało. I znów za jakiś czas wrywało mu się zdanie o całowaniu ziemi, a matka dawała tę samą odpowiedź. Nie miał więc szans, by cokolwiek zmienić w rodzinnych układach, a zarazem zrozumiał, że dla własnego dobra musi w radykalny sposób odmienić swoje życie.

Wstąpienie do marines wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Z matką będzie utrzymywał serdeczny, bliski kontakt, uwolni się jednak od starego drania. Matka wkrótce umarła, Iana wysłano do Iraku. Został mu tylko ojciec, jedyna bliska osoba, której nie sposób było uznać za bliską. Po powrocie z Iraku zaczął się wdawać w burdy i w różne idiotyczne konflikty. Był to kliniczny przypadek zespołu stresu pourazowego, z którym kompletnie sobie nie radził. Dodatkowo dręczył go lęk, że jeszcze trochę, a upodobni się do ojca. W konsekwencji tych wszystkich zdarzeń i okoliczności wystąpił z Marine Corps, co doprowadziło go do...

Wrócił do terażniejszości. Dość rozmyślał. Patrzył pod nogi, przed siebie, szukał śladów na śniegu. Przemarzał, szukał chłopca od dobrych kilku godzin. Nie wypił choćby kropli wody, którą dał mu Jack. Chciał ją zachować dla Trávisa, bo będzie mu o wiele bardziej potrzebna.

I nagle natrafił na ślady krwi. Były ledwie widoczne, bo częściowo przykryte już nowym śniegiem. Ślady krwi i ślady łap. Puma, ranna puma. Musiała posuwać się z trudem, szurała po śniegu.

Travis, mądry dzieciak, zapewne poszedł w przeciwnym kierunku. Ian uczynił to samo.

Doszedł do rzeki, rozejrzał się uważnie. Zapadł już mrok. Niedługo będzie musiał wracać do furgonetki choćby po to, żeby spotkać się z Jackiem i omówić plan nocnych poszukiwań. Powinien pojechać do chaty, włożyć ciepłe kalesony, zmienić skarpety. Wiedział, że za nic nie przerwie poszukiwań.

Skierował światło latarki na zegarek. Właśnie minęła szósta.

Po raz tysięczny wydał z siebie potężny okrzyk:

– Travis! Travis!

Skierował latarkę na śnieg: kropla krwi tutaj, kropla krwi tam... Travis był ranny i postąpił, jak powinien postąpić inteligentny dzieciak, to znaczy kierował się brzegiem rzeki w stronę domu. Penetrując gęstniejące ciemności latarką, Ian coś dostrzegł. Był to kopczyk, biała kopułka zmieszana z podściółką wydobyta spod śniegu, przykryta już cieniutką warstwą świeżego puchu. Nie wyglądała obiecująco, ale kiedy Ian kopnął ją lekko, pokazał się rękaw. Rzucił się na kolana i w mgnieniu oka odkopał chłopca. Twarz miał bladą jak kreda, sine usta, zamknięte oczy. Zaczął nim z całych sił potrząsać. Nie wiedział, czy dzieciak jeszcze żyje.

– Travis! Travis!

Chłopiec otworzył w końcu oczy i zamrugał nieprzytomnie. Najwyraźniej nie wiedział, gdzie jest, co się z nim dzieje.

Spojrzał na Iana.

– Przepraszam... tato...

– Jezu Chryste, Travis! – Iana ogarnęła ulga wprost nie do opisania. Chłopak żył! – Wszystko będzie dobrze, mały. – Obrócił go ostrożnie na bok. Kurtka była w strzępach, plecy poharatane pazurami. Puma zaatakowała go od tyłu, na szczęście rany nie były głębokie, jako że gruba warstwa ubrania uchroniła Travisa od poważniejszych okaleczeń, a mróz powstrzymał dość szybko krwawienie. – Zastrzelełeś ją?

– Chyba nie. Przepraszam, tato.

Chłopak majaczył. Na szczęście pomyślał, żeby wkopać się w śnieg, skryć się w nim jak w kokonie.

– Trzymaj się, mały. Zabieram cię stąd. – Ian działał niczym automat, po prostu robił, co należało zrobić, jakby miał wpisany w siebie właściwy program. Cóż, lata spędzone w marines zrobiły swoje. Strzelił dwa razy w drzewo. Trzy strzały oznaczały, że sygnalizujący się zgubił, dwa były

sygnałem przywoływania, jeden mógł pochodzić z broni przypadkowego myśliwego.

Zarzucił strzelbę na ramię i wziął Trávisa na ręce. Jak Bobby'ego, przemknęło mu przez głowę. Tym razem było jednak inaczej, ciało Trávisa nie było bezwładne, Ian czuł napięcie mięśniowe, ruchy całego ciała. Chłopiec reagował na ból, był przemarznięty, miał rozorane plecy, lecz za tydzień, dwa może całkowicie powrócić do zdrowia. Nie, nie był jak Bobby...

– Obudź się, Travis! Nie zasypiaj! Lew górski cię zaatakował? Opowiedz mi o nim. – Ian szedł tak szybko, jak tylko mógł. Oby nie potknąć się, nie upaść. Czuwał nad tym, myślał tunelowo: iść szybko, ale zachować maksymalną ostrożność. Nie wiadomo, jakie obrażenia ma Travis, upadek mógłby być tragiczny w skutkach. – Słyszysz mnie, mały?

– Ty... kto...?

Ian roześmiał się z ulgą. Chłopiec przytomnie zareagował, kojarzył już, co dzieje się wokół.

– Twój anioł stróż. Strzelałeś do pumy?

– Próbowałem... chyba pudło...

– Widziałem krew na śniegu. Musiałeś ją trafić.

– Nie mogłem... zastrzelić – odpowiedział Travis, z trudem wymawiając każde słowo.

– Krwawiła znacznie gorzej niż ty. Miałeś szczęście. Mów, cały czas mów. Opowiedz mi wszystko po kolei.

Travis usłuchał, chociaż mówił niewyraźnie, bełkotliwie:

– Skoczyła... z drzewa... Widziałem ją, ale mnie dopadła... Zabiła Whip...

– Mów, cały czas mów – powtórzył Ian. Był coraz bardziej zmęczony, bo brnięcie w głębokim śniegu z ciężkim szesnastolatkiem na rękach to ciężka

harówa. Wiedział jednak, że będzie tak szedł szybko i uważnie, aż wykona zadanie. Prędzej sam padnie, niż choćby trochę odpuści. – Zaraz będziemy przy samochodzie – powiedział, chociaż wcale nie był pewien, jak daleko stoi furgonetka. – Mów! Opowiedz mi o swojej dziewczynie.

Travis próbował opowiadać, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Miała na imię Felicity. Ian nie znał żadnej kobiety o tym imieniu, które stało się popularne w następnej generacji, obecnie nastoletniej. Dzieli cię od nich cała epoka, staruszkę, pomyślał z rozbawieniem.

– Mów – ponaglał nieustannie. – Kochasz się w niej? W tej Felicity?

– To dobra dziewczyna.

– Szkoda – ocenił Ian. – Wielka szkoda, że nie może być złą dziewczyną. Te złe dopiero zachodzą człowiekowi za skórę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Jest ładna?

– Ładna.

– No mów, mów. – Położył ostrożnie Trávisa na ziemi. – Muszę dać sygnał, że idziemy. – Zdjął strzelbę z ramienia i znowu strzelił dwa razy, nawołując resztę grupy, a w pierwszym rzędzie Jacka. I zaraz go usłyszał:

– Hej! Masz coś?

– Mam chłopca! – odkrzyknął Ian, dostrzegając wreszcie furgonetkę. Jeszcze sto metrów...

– Pomogę ci! – zawołał Jack.

– Doniosę go. Będziesz prowadził.

– Nie znam tej drogi. Nie czuję jej – oznajmił Jack.

– Odśnieżyłem ją przecież. Wskakuj za kierownicę.

Kiedy wsiedli, Ian, przytrzymując Trávisa jedną ręką na kolanach, drugą wyszukał kluczyki w kieszeni kurtki i podał Jackowi. Głowa chłopca chwiała się na wszystkie strony. Był wyczerpany, bliski utraty przytomności, ale robił

wszystko, by mieć oczy otwarte. Ian rozpiął mu kurtkę i koszulę oraz rozerwał podkoszulek, po czym zrobił to samo z własnym odzieniem. Przytulił chłopca do piersi, rozgrzewał go ciepłem własnego ciała. Jack nawrócił i ruszył w kierunku szosy.

– Pług jest cały czas spuszczone. Mam go podnieść?

– Nie. Hrabstwo będzie nam wdzięczne.

– A jak go uszkodzimy?

– Widzisz jakiś problem?

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiem. Konieczna jest pomoc medyczna. Decyduj. Dokądkolwiek jedziemy, trzeba będzie zadzwonić stamtąd do jego rodziców...

– W takim razie wracamy do Virgin River. Dok i Mel się nim zajmą. Nie ma sensu jechać na farmę i tam ich wzywać. Jeśli będzie kiepsko, zawiozą go do szpitala hummerem. W jakim stanie jest Travis?

– Próbował okryć się śniegiem i podściółką, chronił się przed mrozem, jak mógł, ale jeszcze kilka godzin i skończyłoby się tragedią – mówił Ian, cały czas ogrzewając chłopca własnym ciałem. – Puma go poturbowała, ale na moje oko nie wygląda to zbyt groźnie. Mróz powstrzymał krwawienie, tyle że co ja mogę wiedzieć? Nie jestem lekarzem. Jedź szybciej, co?

– Tak jest, sir.

Ian przytulił twarz Trávisa do ramienia. Chłopiec poruszył się, otworzył oczy i na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– Kto ty jesteś? – zapytał słabym głosem.

– Dobry duch Bożego Narodzenia – poinformował go Ian. – Wszystko będzie w porządku, mały. – Wyjął z kieszeni butelkę mineralnej i podsunął Travisowi.

– Napij się. Powoli, ostrożnie. Kilka małych łyków.

– Znowu objął i mocno przytulił chłopca. – Naprawię w końcu ogrzewanie w tym gracie, żebym miał skonać. Myślę, że dostałeś tę pumę, mały.

– Strzeliłem do niej, ale dalej atakowała. Walnąłem ją z całej siły w łeb kolbą, wtedy uciekła...

– Krwawiła mocno. Musiała niezłe oberwać.

– Nie zastrzeliłem jej – powiedział Travis powoli.

– Wystraszyłem ją tylko, a potem zagrzebałem się w śniegu.

– Miałem psa – zaczął Ian. – Labradorkę. Była przez lata moją najlepszą przyjaciółką. Spała ze mną. Była kochana...

– Whip też była kochana.

Ian zmierzwił Travisowi włosy.

– Widzisz, Velvet była mi tak droga, że zrobiłbym to samo, co ty zrobiłeś. Ten lew górski jest paskudny. Już miałem z nim do czynienia.

– Widziałeś go?

– Tak, przyszedł pod moją chatę. Powinienem był go zabić. To moja wina, że dalej robił szkody. Powinienem był zastrzelić drania. Przez niego moja dziewczyna przesiedziała kilka godzin uwięziona w wychodku, na mrozie, a ja tylko strzeliłem w powietrze, żeby przepłoszyć tego cholernego intruza. Przepraszam cię, mały. Powinienem był go zabić.

– Ty albo ja – powiedział Travis sennie i głowa opadła mu ramię Iana.

– Wypij jeszcze kilka łyków. – Podsunął mu butelkę z mineralną do ust.

Kilka minut później wjechali do Virgin River. Jack nacisnął klakson i nie zdejmował z niego dłoni. Na ten dramatyczny sygnał wszyscy goście wylegli na ganek baru, byli wśród nich Mel i Dok Mullins.

Gdy Jack zatrzymał się przed wejściem do przychodni, Ian wysiadł z Travisem w ramionach. Stary doktor i Mel natychmiast zajęli się chłopcem. Przyniesiono nosze z hummera i zanesiono Travisa do przychodni.

Dok zbadał puls, osłuchał płuca i serce, po czym zawyrokował:

– Hipotermia. – Następnie obejrzał rany na plecach i powiedział: – Melindo, podaj mu kroplówkę. Nie wygląda to najgorzej, ale zawieziemy go do Valley Hospital. Chłopiec szybko dojdzie do siebie. – Spojrzał na Jacka: – Zadzwoń do jego rodziców.

– Zaraz to zrobię, a potem pojedę do lasu i odpalę flarę. Trzeba zawiadomić Mike'a i Proboszcza.

– Melindo, strasznie się guzdrzesz. Chciałbym już jechać. A może masz pilniejsze sprawy?

– Zamknij się, stary capie – odpysknęła Mel, wsiadła jednak posłusznie.

– Jack, uważaj na Davida.

Jack uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Bądź spokojna, kochanie.

Iana, gdy tak przypatrywał się temu wszystkiemu, tknęła pewna myśl.

Należę do grupy, uświadomił sobie.

Nawet tutaj, w zabitej deskami miejscinie, byli ludzie, którzy tworzyli wspólnotę. Wiedział o tym od początku, ale wolał trzymać się z daleka.

Jack spojrzał na niego, uniósł brwi.

– Twoja dziewczyna, powiadasz?

– Rozmawiałem z dzieciakiem, nie z tobą.

– Mhm... Lepiej jedź już do domu, stary.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ian zdołał dotrzeć do chaty dopiero po ósmej. Był zmęczony i przemarznięty. Bał się, że minie co najmniej pół nocy, zanim się rozgrzeje. O ładowaniu drewna na furgonetkę, przygotowaniu dostaw na rano, mowy być nie mogło. Zanim zdążył zamknąć drzwi za sobą, Marcie dziko wrzasnęła na jego widok i rzuciła się ku niemu, chwyciła za szyję, otoczyła biodra nogami.

– Hej! Przyczepiłaś się jak kleszcz – skomentował ze śmiechem.

Spojrzała mu w twarz.

– Nic ci nie jest?

– Nic, poza tym że strasznie zmarzłem i jestem głodny. Bałaś się o mnie?

– Co ty! O takiego twardziela? – Jednak jej oczy mówiły całkiem coś innego. – Znaleźliście chłopca?

– Znaleźliśmy. Spędził wiele godzin na mrozie, puma go trochę poturbowała, ale nic mu nie będzie. Nakarmisz mnie? Myślę, że Abigail Adams tak by zrobiła, nie sądzisz? – przymilał się.

– Owszem, tak by zrobiła, a w przerwach zaorałaby pole i urodziła kolejne dziecko.

Chryste, ile w tej kobiecie jest życia, pomyślał. Byłoby zbrodnią zamknąć ją w górskiej chacie, ale na razie jej obecność na wzgórzu była niczym odpowiedź na modlitwy.

Rano Ian musiał na nowo przekopać ścieżki wokół domu, a następnie załadował drewno na skrzynię furgonetki, lecz zamiast jechać na skrzyżowanie, przy którym zwykle handlował polanami i przyjmował zamówienia, skręcił w przeciwną stronę, do sąsiada. Opuścił pług i odśnieżył drogę dojazdową prowadzącą do chaty.

Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Z komina nie unosił się dym, w ogóle żadnego śladu życia. Jeśli będę musiał grzać kolejnego delikwenta własnym ciałem... pomyślał z rezygnacją.

Na szczęście drzwi skrzypnęły i na progu pojawił się stary. Był w kurtce i w butach.

– Odsnieżyłem drogę, na wypadek gdyby ktoś do pana przyjechał albo pan gdzieś się wybierał.

– Zobowiązany – mruknął staruch, nie siląc się na wypowiedzenie dłuższego podziękowania.

– Ma pan drewno na opał? Jakies puszki, zapas jedzenia?

– Dam se radę.

Zwykle Ian pozdrawiał starego zdawkowo, a potem, zajęty własnymi sprawami, zapominał o jego istnieniu, dziś jednak było inaczej. Zaklął pod nosem, odrzucił brezent zabezpieczający drwa, wziął całe naręcze polan i skierował się ku drzwiom chaty.

Stary zagroził mu drogę, mrużąc coś nieprzyjaźnie.

– Przywiozłem panu drwa na opał – stanowczym tonem oznajmił Ian.

Stary wahał się chwilę, w końcu przepuścił go z paskudnym grymasem na twarzy.

Ian złożył drwa koło piecyka i natychmiast ewakuował się z chaty goniony przez okropny smród. Po chwili wrócił z kolejnym naręczem. Stary nie korzystał z wychodka, nie miał siły odsnieżyć przejścia, nie miał siły i odwagi brnąć w śniegu, stąd ten potworny smród.

Ian przyniósł trzecie naręcze i powiedział:

– Niech pan rozpali ogień, a ja przekopię przejście do klopa. Gdzie łopata?

– Nie trzeba. Ja...

– Niech się pan ze mną nie sprzecza! – Ian nie bawił się w żadne ceregiele, podniósł głos, jakby komenderował opornymi rekrutami. – Gdzie ta cholerna łopata?

Stary wskazał głową, że na zewnątrz. Ian wyszedł przed chatę i dopiero po dobrej chwili dojrzał opartą o ścianę łopatę, przysypaną do połowy śniegiem. Śpieszył się, bo klienci na pewno wyglądali go na krzyżowce. Z tego powodu przejście do wychodka będzie wąskie, ale musi je przekopać. Dureń z tego starucha. Taki dumny, że gotów zamarznąć na śmierć we własnych odchodach.

Nie pozwoli na to, tak samo jak nie pozwoli sobie zestarzeć się w podobny sposób, jak nie pozwoli, by upodobnić się do ojca.

Kiedy skończył, zabębnił w drzwi chaty.

– Jada pan potrawkę wołową Dinty Moore?

– Dlaczego pytasz?

– Mam zapas, za dużo kupiłem. Podrzucę panu później kilka puszek.

– Nie trzeba.

– Daj spokój, człowieku! To tylko sąsiedzki gest. Dziewczyna, która u mnie mieszka, nie weźmie tego do ust. Wpadnę później. Chętnie podzielę się tym, co mam.

Stary wzruszył ramionami, po czym spytał nieufnie:

– Hodujesz trawkę?

– Do cholery, nie. Skąd to panu przyszło do głowy?

– Z czego żyjesz?

– Ścinam drzewa, handluję drwami na opał. Trochę wędkuje. Ostatnio nic, tylko odśnieżam. Nie wiem nawet, jak się pan nazywa.

– To jesteśmy kwita. Ja też nie znam twojego nazwiska – mruknął stary.

– Ian Buchanan – przedstawił się Ian bez podawania dłoni.

– Michael Jackson.

Na tę prezentację Ian wybuchnął śmiechem, a stary, rzecz oczywista, strasznie się zjeżył. Ian zdał sobie sprawę, że ten zgred zapewne od dziesięcioleci nie oglądał telewizji, jeśli w ogóle oglądał kiedykolwiek, więc nic nie wie o królu popu.

– Miło poznać, panie Jackson.

– Na pewno nie hodujesz trawki? Nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym hodowcą. Nigdy w życiu.

– Na pewno – uspokoił go Ian. – Przywiozę później parę puszek. Teraz może iść pan do wychodka i napalić w piecyku.

Ian wrócił do furgonetki, podniósł pług i zapuścił silnik. Nie usłyszał „dziękuję”, „miło poznać”, nic z tych rzeczy. Od dwóch lat dbał o drogę starego, lecz dotąd nie zamienili ani jednego słowa. Czasami skinienie głową, to wszystko.

Stary z roku na rok coraz bardziej niedołązniał. Jeszcze niedawno sam był w stanie odśnieżyć dojazd do chaty, teraz brakło mu siły, by pójść do wygodki.

Zapewne nie miał w domu nic do jedzenia. Opowie o sąsiedzie Dokowi, niech zajrzy do niego od czasu do czasu. Nie chciał mieć Michaela Jacksona na sumieniu, i tak już musiał zmagać się ze zbyt wieloma problemami.

Sprzedaż drewna zajęła mu więcej czasu niż zwykle. Pojawili się dwaj klienci, ale obaj musieli jechać do bankomatu po gotówkę, bo Ian nie przyjmował czeków, chyba że od dobrych znajomych. Do chaty wrócił dopiero po południu, po ośmiu godzinach nieobecności.

Marcie wcześniej zagrzała wodę na kąpiel i z wielkich garnków unosiła się para.

– Powiedz, Abigail, w polu też dzisiaj pracowałaś? – zapytał z uśmiechem.

– I przebudowałam oborę. Wyjątkowo późno dziś wracasz.

– Czasami zdarzają się gorsze dni. Muszę jeszcze na chwilę wyskoczyć. Zajmie mi to kwadrans, nie więcej.

– Podeszedł do kredensu. – Ilu puszek potrawki możemy się pozbyć?

– Dlaczego pytasz?

– Wygląda na to, że mój sąsiad nie ma w domu nic do jedzenia. – Podumał chwilę i wyjął z kredensu osiem dużych puszek, przyniósł z furgonetki torbę i załadował do niej prowiant.

– To miłe, Ian, że się z nim dzielisz.

– A tam. Nie chcę, żeby któregoś dnia wiatr przyniósł do mojej chaty smród rozkładającego się ciała. Niech woda się grzeje. Zaraz wracam.

Stary nadal był naburmuszony i nieprzystępny, ale puszki przyjął bez protestów. Kiwnął głową w podzięcie i na pożegnanie, po czym zamknął drzwi.

Dla Iana w pewnym sensie był to moment objawienia. Tu, w górach, gdzie jedno domostwo od drugiego dzieliło wiele kilometrów, można było żyć na dwa sposoby. Albo człowiek czuł się związany z miasteczkiem i z sąsiadami, pomagał im i sam mógł liczyć na wsparcie w trudnych chwilach, albo żył jak stary. Jeśli nie dopuszcza się ludzi do siebie, szybko odbierają sygnał i zostawiają kogoś takiego samemu sobie. Nikt nie będzie zabiegać na siłę o kontakt, o sąsiedzkie współzycie, o przyjaźń. Jeśli chce się mieć ludzi wokół siebie, trzeba zrobić ten pierwszy krok, wykonać czytelny gest, wyjść innym naprzeciw.

Ian nigdy nie interesował się życiem Virgin River, nigdy nie zabiegał o przyjaźń mieszkańców. Chyba rzeczywiście upodobił się do ojca. Bogu

dzięki, że Marcie zdawało się to nie przeszkadzać... Cóż, na pewno przeszkadzało, tyle że jeszcze nie urosło to do rangi prawdziwego problemu. I nie urośnie, bo ich związek... czy jak to nazwać... nie ma przed sobą prawdziwej przyszłości. Niezależnie jednak od tego, musi coś zmienić w swoim życiu, bo w przeciwnym razie skończy jak Raleigh czy stary Michael Jackson.

Ruszył w drogę powrotną do domu, gdzie czekała Marcie bawiąca się w Abigail. Bardzo to było miłe. No cóż, za kilka dni będzie musiała wyjechać, więc chciał maksymalnie wykorzystać ten czas, jaki im został, nacieszyć się jej obecnością, a jednocześnie jakoś jej ułatwić moment rozstania. Wiedział, z jaką niechęcią myślała o konieczności opuszczenia chaty, o powrocie do domu, choć przecież bardzo kochała najbliższych sobie ludzi.

Wykąpał się, usiadł z Marcie na kanapie i zaczął czytać najbardziej pieprzne fragmenty z romansu, który wypożyczyła. Owszem, bez dwóch zdań były pieprzne, lecz okazały się niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło potem.

Wieczorem pojechali do Fortuny, do pralni. Tam opowiedział jej o swoim planie:

– Jutro, kiedy już rozwiozę drewno, odkopię twojego garbuska, zaholuję go do Virgin River i postawię przed barem Jacka. W bagażniku zostawię łańcuchy i pokażę ci, jak je założyć. Bardzo proszę, nie próbuj nawiać bez pożegnania, kiedy mnie nie będzie. Zjazd ze wzgórza bez łańcuchów to tak naprawdę samobójstwo. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

Marcie spuściła głowę, posmutniała, nie powiedziała ani słowa. Marcie, która zawsze miała coś do powiedzenia.

Ian wziął ją w ramiona, obrócił ku sobie i ujął pod brodę.

– Mamy jeszcze trochę czasu dla siebie, Marcie. Masz czas, żeby się zastanowić, czy zadałaś mi wszystkie pytania, które chciałaś zadać, żebyś spokojnie mogła wrócić do domu ze świadomością, że uporządkowałaś swoje życie.

– A co z tobą?

– Od lat nie czułem takiego spokoju wewnętrznego. Najlepiej jak można wykorzystamy ten czas, który nam pozostał do twojego wyjazdu. – Pocałował ją delikatnie w usta. – Byłem wściekły, kiedy cię zobaczyłem przed moją chatą, ale złość dawno minęła. Zrobiłaś dla mnie wiele dobrego.

– Ian, zdarzyło się między nami znacznie więcej, niż mogłam sobie wyobrażać. Cieszę się.

– To wyjmijmy nasze rzeczy z suszarki, włóżmy je i jedźmy do Virgin. Zdażymy jeszcze wypić drinka z Jackiem i Proboszczem przed zamknięciem baru, a potem wrócimy do domu, napalimy w piecu i jeśli będziesz chciała, znowu będę ci czytał najbardziej sprośne fragmenty z twojej powieści.

Pacnęła go w ramię.

– Nie są wcale sprośne, tylko romantyczne.

– Owszem, bardzo romantyczne. – Uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło.

Pojechali do Virgin River. Jack żegnał się z przyjaciółmi, bo następnego dnia zabierał rodzinę do swojego ojca, który mieszkał w Sacramento. W barze Ian i Marcie zastali Mel oraz jej szwagierkę Brie, siostrę Jacka, a także Mike'a Valenzuelę. Wszyscy byli w świątecznym nastroju. David spał w mieszkaniu Paige i Proboszcza. Mel i Jack z ożywieniem rozprawiali o wyjeździe. Marcie i Ian zamówili piwo i włączyli się do rozmowy.

Dok siedział w domu, więc kiedy Marcie poszła zadzwonić do siostry, Ian opowiedział Mel o starym Jacksonie i swoich obawach co do jego stanu.

– Dziękuję, Ian – powiedziała z uśmiechem. – Jutro rano przed wyjazdem porozmawiam z Dokiem, na pewno pojedzie do twojego sąsiada. Pamiętaj tylko, że starzy ludzie nie lubią rewolucji. Nie jest łatwo ich namówić, żeby zmienili tryb życia, bardziej dbali o siebie, że o leczeniu już nie wspomnę. Bywają potwornie uparci, odrzucają wszelką pomoc, za nic kogoś takiego nie namówisz na zrobienie badań czy pójście na obserwację do szpitala.

– Coś o tym wiem – powiedział Ian. – Raleigh był pod moją opieką przez całą chorobę, do samego końca.

– Czyli zakosztowałaś tego – odparła Mel z uśmiechem. – Dobrych, spokojnych świąt, Ianie.

– Tobie też.

Od lat nie odchodził świąt. Po raz ostatni z Shelly, przed wyjazdem do Iraku. Dał jej pierścionek i święta zamieniły się w celebrację zaręczyn.

Ojciec miał do świąt stosunek obojętny, to matka tworzyła w domu atmosferę Bożego Narodzenia. Piekła, gotowała, stroiła choinkę, przygotowywała starannie przemyślane prezenty. Ojciec natomiast w ogóle nie zwracał sobie tym głowy, szedł po linii najmniejszego oporu. Kupował żonie pod choinkę subskrypcję czasopisma dla kobiet, paskudny sweter, którego potem nigdy nie włożyła, książki kucharskie. Potrafił kupić w ciągu roku odkurzacz, zmywarę, coś, co akurat było potrzebne w domu, i oświadczał:

– Potraktuj to jako wcześniejszy prezent świąteczny.

Po śmierci matki przestali obchodzić Boże Narodzenie. Nie ubierali choinki, nie dekorowali fasady domu lampkami, nie zasiadali do świątecznej kolacji. Ian był szczęśliwy, że opuszcza dom.

W te ostatnie celebrowane święta dał Shelly pierścioneł, naszyjnik i śliczny peniuar. Pamiętał doskonale każdy szczegół. Wtedy właśnie postanowił, że nigdy nie stanie się taki jak ojciec, zawsze będzie myślał o swoich bliskich.

W tym roku też nie zamierzał obchodzić świąt, niemniej od lat nie czuł się tak dobrze. Nie udekoruje chaty, a na kolację jak zawsze otworzy puszkę potrawy wołowej Dinty Moore. Było mu przykro, że nie ma prezentu dla Marcie. Szczęśliwie ona nie miała ani okazji, ani pieniędzy, żeby kupić coś dla niego.

Ku własnemu zaskoczeniu zauważał, że jego życie się zmienia, a stało się tak dzięki Marcie. Spędzone z nią dni i noce okazały się nie tylko najwspanialszym darem od losu, ale także przyniosły iluminację. Marcie otworzyła mu oczy na tak wiele spraw. Pomyślał, że jednak mógłby wykopać szambo, zainstalować komorę fermentacyjną, skanalizować dom... I nagle wybuchnął śmiechem. Po prostu śmiał się z siebie. Bo co to za problem kupić termę, dobudować łazienkę? Składa się zamówienie, sprowadza fachowców... Tyle że, drobiazg, potrzeba na to pieniędzy. Prawdziwych pieniędzy, a nie tych uciulanych ze sprzedaży drewna w zimie i przenoszenia mebli latem. Cóż, musiałby wprowadzić radykalne zmiany w swoim życiu. Właściciel firmy od przeprowadzek proponował mu kilka razy etat, Ian był silny, szybki, sprawny, ale za każdym razem dziękował. Teraz był gotów podjąć stałą pracę w firmie. Jeśli się rozejrzy, może znajdzie coś ciekawszego, lepiej płatnego. Przecież nie bał się roboty.

Jakiś głos z tyłu głowy szeptał mu, że dawno przestał funkcjonować w normalnym świecie, gdzie obowiązują określone procedury, określone formalności i zobowiązania fiskalne. Owszem, opłacał podatki związane z nieruchomością, ale to wszystko. Sprzedawał drewno na czarno, najmował się do pracy na czarno. Czy potrafiłby wrócić do tamtego świata? Zalegalizować działalność gospodarczą wyrębu i sprzedaży drewna, podpisać umowę o pracę w firmie od przeprowadzek? A to byłby dopiero początek tej całej rewolucji. Więc czy byłby w stanie?

Być może. Miał motywację. Marcie nauczyła go śmiać się, cieszyć z życia. Już choćby dlatego warto było rozejrzeć się za etatem, pomyśleć o łazience. Nie chodziło tylko o zapewnienie Marcie wygody, także, a może nawet bardziej, o to, że warto normalnie żyć, korzystać z dobrodziejstw cywilizacji, zamiast tylko egzystować. Niech to diabli, nie pamiętał, kiedy ostatnio wziął porządny prysznic.

Marcie wróciła z kuchni i usiadła obok niego na stołku z niewesołą miną.

- Erin Elizabeth jest wkurzona. Czeka na mnie. Straciła już cierpliwość.
- Nie dziw się. Przecież obiecałaś Wielkiej Siostrze.
- Powiedziałam jej, że zostaję tu do Wigilii. To tylko cztery godziny jazdy.

Ian objął ją i pocałował w czoło.

- Dobrze, że spędzisz święta z rodziną. Oni cię kochają, jesteś im potrzebna. Ciesz się tym.
- Wiem, tylko że tyle się teraz dzieje. Muszę grzać wodę na kąpiel dla ciebie, pracować w polu...
- Prowokować do śmiechu...
- Raczej do ryku.

– Cokolwiek teraz myślisz, będziesz się cieszyć, że znowu jesteś w domu. Własne cztery ściany, przytulnie, wygodnie. Posłuchaj lepiej rady mojego ojca, której ci udzielił, kiedy się dowiedział, że zamierzasz mnie szukać.

– Mówiłam ci?

– Nie, ale za dobrze go znam, by nie wiedzieć. Marcie utkwiała wzrok w szklance z piwem.

– Powiedział, że marnuję czas.

– No właśnie... I co jeszcze?

– To stary zgred...

– Mów. Zawsze mówisz prawdę.

Spojrzała na niego zakłopotana.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak, chcę.

– Jeśli już cię znajdę, to kazał ci przekazać, że zapisał dom i samochód chłopcu, który rozwozi poranne gazety.

Ian ryknął śmiechem. Odchylił głowę do tyłu, nie mógł się opanować.

– Jezu, nie mogę... – Aż popłakał się ze śmiechu.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedziała Marcie, kiedy w końcu się opanował. – Dla mnie to obrzydliwe.

– Ale to właśnie cały on. Zapiekł w swej złości świrus... Myśli, że załamie się tym wydziedziczeniem, a mnie to po prostu bawi. Zastanawiam się, czy spalił moje karty bejsbolowe i kurtkę kibicówkę, czy komuś oddał.

– Nie zasłużył na takiego syna jak ty. – Marcie wydeła usta, po czym upiła łyk piwa.

– Nie powiesz, że powinienem zobaczyć się z nim, zanim umrze? – zapytał drwiąco.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Nie zobaczyłbyś nic, czego nie widziałeś wcześniej.

– Zaprzeczysz, że chciałaś, żebym się z nim pożegnał, spotkał po raz ostatni?

– Ian, nie! Na pewno nie. Chciałam, żeby to on zaproponował spotkanie. Żeby miał szansę przekonać się, że u ciebie wszystko w porządku. A także by zrozumiał, że jesteś dobrym człowiekiem, dobrym i silnym, chociaż on był podły i okrutny. Tego chciałam.

– Dlaczego? – zapytał zbity z tropu. Położyła dłoń na jego dłoni.

– Bo masz w sobie mnóstwo ciepła, serdeczności. On na to nie zasługuje. Przez całe życie nie zrobił nic, żeby zasłużyć na twoją miłość, szacunek, dobroć, nigdy nie potrafił ci podziękować. On powoli odchodzi. Niechby zobaczył, że jesteś dobry i silny, że masz serce i w niczym go nie przypominasz, nigdy się do niego nie upodobnisz. To wszystko. – Zadumała się na moment. – Zresztą ja wiem? Może któregoś dnia sam o tym pomyślisz? A jeśli tak, to działaj od razu, po prostu coś zrób, zanim będzie za późno. – Już jest za późno, pomyślała. Za późno dla ciebie, nie dla niego. Chociaż kto wie?

– Sądzisz, że tak dobrze mnie znasz?

– Owszem. Obserwuję cię. Jeleń, stary sąsiad, różne pozorne drobiazgi... Masz serce, jesteś szczodry, potrafisz dawać, dla ciebie to naturalne gesty. Myślę, że to była najtrudniejsza decyzja, jaką podjąłeś w życiu, gdy tak odciąłeś się od wszystkiego, wycofałeś.

W Wigilię rano Ian nie pojechał z drewnem. Mógł załadować furgonetkę, dostarczyć drwa kilku stałym klientom przed samymi świętami i

zarobić trochę więcej niż zwykle, ale wołał zostać w domu. Przygotował kawę i obudził Marcie.

– Nie pojechałeś z drewnem? – zapytała zaspanym głosem.

– Dzisiaj nie. Uważaj, kawa jest bardzo gorąca.

– Hm – mruknęła, biorąc kubek. – Byłbyś doskonałą Abigail.

– Powiedz, co mogę zrobić, żeby ułatwić ci wyjazd. Zastanawiała się przez moment, po czym powiedziała:

– Dwie rzeczy.

– Wymień je.

– Zawieź mnie do Virgin River i tam zostaw. Powiedz do widzenia i odjedź. Nie czekaj, nie patrz, jak będę odjeżdżała.

– Jeśli tego właśnie sobie życzysz...

– Powiedz mi, czujesz coś do mnie?

– Mam dla ciebie mnóstwo różnych uczuć. Po prostu czuję wszystko... tyle że to nie zmienia faktów. Żyjemy w zupełnie różnych światach, które nie mają żadnych punktów stykowych. Wciąż jestem facetem, który ma „sprawy”, jak to nazywasz, mnóstwo nierozwiązanych spraw. Dlatego nie jestem gotów na marsz do przodu, na te wszystkie radykalne zmiany, które... – Przerwał na moment. – Chociaż drobne zmiany i tak zaszły, jakby same z siebie, mimowolnie. Na przykład nie jestem już taki zarośnięty.

– To bardzo dobre zmiany.

– Wszystko dzięki tobie. Przyjeźdź od czasu do czasu, jeśli będziesz miała ochotę. Jeśli nie, nie będę chował urazy. Pamiętaj, co mi powiedziałaś. Że chciałaś mnie znaleźć, podziękować, zadać ważne pytania, przekazać coś ważnego od siebie. Że musiałaś to zrobić, aby uwolnić się od tego, co było, uporządkować przeszłość, a potem zacząć nowy rozdział. Ja to rozumiem, Marcie. Nawet biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się między nami.

Szczególnie to biorąc pod uwagę. Możesz zacząć nowy rozdział, jeśli chcesz.

A jeśli chcesz, to oczekuję tego po tobie.

– A jeśli ja chcę ciebie?

– Boję się, że mógłbym cię zawieść, a za nic nie chciałbym cię unieszczęśliwić. Ta myśl mnie przeraża.

– Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

– Stare nawyki, niestety.

– Jestem pewna, że mógłbyś z nimi zerwać, gdybyś tylko zechciał.

Gdybyś uwierzył... a wiara działa cuda.

– To jest u ciebie najpiękniejsze, ten twój niezłomny optymizm – powiedział z uśmiechem.

– To nie optymizm, Ian. Już ci mówiłam, to wiara. Sam powinieneś kiedyś spróbować uwierzyć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

O pierwszej Ian przywiózł Marcie do Virgin River, gdzie czekał już zielony garbusek. Pokazał jej, jak założyć łańcuchy, gdyby zaskoczył ją śnieg. Na razie drogi były przejezdne, niebo czyste. Powinna bez kłopotów dotrzeć do domu, o ile wyjedzie w ciągu najbliższych godzin. Na pożegnanie wziął ją w ramiona i pocałował. Nie sprawdzał nawet, czy ktoś ich obserwuje.

– Dziękuję, że jesteś równie uparta jak ja.

– Trudno mi rozstawać się z tobą.

– Jak już będziesz blisko Chico, poczujesz się znacznie lepiej. Oni tam czekają na ciebie. Kochają cię, wszystko by dla ciebie zrobili.

– Lepiej...

Położył jej palec na ustach.

– Sza. Nic nie mów. Jedź ostrożnie.

– Jeśli napiszę do ciebie, odpiszesz?

– Absolutnie – obiecał solennie.

– To już coś. No, pewien postęp. Zostawiłam ci coś. Wsunęłam do skrzyni z ubraniami, kiedy cię nie było.

– Marcie, nie powinnaś była tego robić.

– To nie jest prezent gwiazdowy, nic z tych rzeczy.

Coś, co chciałam ci dać, ale ciągle nie było okazji. A potem pomyślałam, że powinienes to obejrzeć, kiedy będziesz sam. Zobaczymy się jeszcze, Ian. – Uśmiechnęła się, ale wargi jej drżały, po policzku spłynęła łza.

– Uważaj z piłą i siekierą. I opiekuj się Buckiem.

– Tak jest. – Jeszcze raz ją pocałował, tym razem leciutko. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Marcie weszła do baru, a Ian ruszył do furgonetki. Uświadomiła sobie, że nie poprosił o numer telefonu, gdyby nagle coś się w nim przełamało i koniecznie chciał zadzwonić. No dobra, zostawi numer Proboszczowi. Poza tym miał numer w listach, które do niego słała, a których nie czytał. Wątpiła mocno, czy po jej wyjeździe Ian będzie pojawiał się w Virgin River. A jeśli po rozstaniu z nią jeszcze bardziej zamknie się w sobie? Tego obawiała się najbardziej na świecie. Całkiem zamknie się w sobie, zdziwaczeje, wrośnie w dziką przyrodę, ostatecznie odgrodzi się od świata i ludzi...

W barze o tej porze było pusto. Tylko dwójka gości, kończyli właśnie lunch. Z kuchni wyszedł Proboszcz.

– Jak leci, Marcie?

– Dobrze. Wracam dzisiaj do Chico. Mogłabym napić się kawy przed wyjazdem?

– Jasne. Wszystko w porządku?

– Zależy, jak na to spojrzeć... no, raczej tak. Pożegnałam się właśnie w Ianem, choć wcale nie chcę wyjeżdżać. Kto by pomyślał, że go znajdę i stanie mi się tak bliski...

– Znalazałaś. Domknęłaś wszystkie niedokończone sprawy, tak jak chciałaś?

– Tak. Bardzo dużo rozmawialiśmy. Obojgu dobrze nam to zrobiło. – Marcie podniosła wzrok. Starła się być dzielna.

– To chciałem usłyszeć. Ian jest w porządku. To on znalazł tego chłopca, Trávisa Goesela. Uratował mu życie.

– Ian go znalazł? – zdumiała się. – Nic mi nie powiedział.

– Tak. Znalazł go w kopcu ze śniegu i igliwia. Chłopak próbował chronić się przed zimnem. Ian niósł go półtora kilometra do furgonetki. Chłopak ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, rosły, dobrze zbudowany.

Potem Ian rozpiął koszulę i grzał go własnym ciałem... Jeszcze godzina i znalazłby zwłoki. Dzieciak już doszedł do siebie. Potrzymali go dobę w szpitalu i dzisiaj wypuszczą do domu. Będzie mógł jutro otworzyć prezenty, które czekają na niego pod choinką.

– Mnie powiedział, że... że chłopiec został znaleziony. Nie przyznał się, że to on. Posłuchaj, Proboszcz... Jezu, nie wiem, jak to powiedzieć, ale moglibyście czasami wyciągnąć go z chaty? Tak zwyczajnie... Przy mnie zaczął trochę się ruszać, otwierać na ludzi...

– Jasne, dzieciaku. Lubimy go.

– Tylko wiesz, to nie może być taki *savoir-vivre*, zaproszenie na herbatkę, tylko... – Kompletnie się zaplątała. Przecież Ian był dorosły i samodzielny, a ona traktowała go jak... no właśnie, jak?

Proboszcz, choć rzadko mu się to zdarzało, ryknął śmiechem, a gdy już jakoś doszedł do siebie, powiedział:

– Nie, nie wyślemy mu zaproszenia na herbatkę na czerpanym papierze, tylko złapiemy go za kark, wyciągniemy z lasu i napoimy whisky. Taki to będzie *savoir-vivre*.

– No to mnie uspokoiłeś – odparła rozpogodzona.

– Zostawię ci mój numer domowy, gdybyś kiedyś potrzebował skontaktować się ze mną. Jak mnie nie zastaniesz, zawsze możesz zostawić wiadomość na sekretarce. – Zapisała na serwetce numer stacjonarny.

– Dam ci też numer komórki. – Dopisała go. – Na wszelki wypadek... Gdyby... No wiesz...

– Absolutnie. Jasne. – Proboszcz złożył serwetkę i schował ją do kieszeni, po czym postawił koło kubka Marcie dzbanek z kawą. – Dzisiaj spotkanie wigilijne, mamy mnóstwo roboty. Muszę wracać do kuchni. Gdybyś czegoś potrzebowała, chciała coś przegryźć, zajrzyj i krzycz.

– Nie przejmuj się mną. Dokończę kawę i ruszam w drogę. Dzięki.

A więc znalazł chłopca, uratował mu życie, a potem zawiózł prawie cały zapas potrawki staremu sąsiadowi. Albo tak bardzo się zmienił, albo pomagał każdemu w miarę swoich możliwości. Marcie dostrzegła w nim pewne zmiany, ale podejrzewała, że życie, które dziś prowadził, niewiele o nim mówiło. Zaszył się na pustkowiu niekoniecznie dlatego, że wszyscy go opuścili, ojciec, dziewczyna, towarzysze broni. Zapewne głównym powodem była przemożna potrzeba samotnej kontemplacji, zastanowienia się nad sobą, kim jest, dokąd zmierza. Miała nadzieję, że to, czego się dowiedział od niej o ostatnich latach Bobby'ego, pomoże mu zamknąć przeszłość. Jeśli tak, to udało się jej wypełnić misję. Niczego bardziej nie pragnęła.

A jak wyglądało „zamknięcie”, którego szukała dla siebie? Cóż, nie było to żadne zamknięcie. Pokochała Iana i raczej by nie potrafiła zrezygnować z tej miłości.

Raczej? Jak dziwnie w tym kontekście zabrzmiało to słowo...

Teraz jednak musi wrócić do domu. Nie może zawieść swoich bliskich.

Otworzyły się drzwi, lecz pogrążona w myślach nawet nie odwróciła głowy.

– Hej ty tam! Umiesz prowadzić hummera, młoda damo?

Jako że w zasięgu wzroku była jedyną „młodą damą”, więc odwróciła głowę.

O jej szoferskie umiejętności pytał Dok.

– Skądże. Jeżdżę volkswagenem.

– Nie umiesz, to się nauczysz. Mam ciężki przypadek, rana głowy, a Melindy nie ma. A ja nie mogę równocześnie prowadzić i opiekować się pacjentem. No już, idziesz ze mną.

– Ale ja muszę zaraz wyjeżdżać...

– Gówna prawda! – huknął Dok i otworzył drzwi. – Idziesz ze mną! I to migiem!

– Na litość boską! – Marcie chwyciła torebkę i pomaszerowała za Dokiem.

Ian wrócił do chaty, dorzucił do piecyka. Myślał, żeby zabrać się do rąbania drewna, może trochę poodśniezać albo zajrzeć do starego Michaela Jacksona, jednak żadnego z tych pomysłów nie wprowadził w życie. Usiadł przy stole i popadł w zadumę. Miał przed oczami twarz Marcie, pamiętał wszystko, każdą jej minę, każde wypowiedziane przez nią zdanie. W całym swoim życiu z nikim nigdy nie czuł się tak dobrze, tak słodko jak z nią.

To dobrze, że wyjechała, mówił sobie. Powinna wrócić do domu, tam jest jej miejsce. On nie miał do czego wracać. Nikt na niego nie czekał. Ojciec odwrócił się od niego definitywnie dawno temu. Nie miał nikogo bliskiego.

Poza Marcie, która nauczyła go śmiać się i kochać.

Ale to było tutaj. Okoliczności sprawiły, że spędziła z nim trochę czasu. Teraz, kiedy wróci do Chico, wszystko się zmieni.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście powinien zobaczyć się z ojcem, zanim będzie za późno. Nie miał złudzeń, stary zgred nie zamieni się nagle w czulego ojczulka. Prawdopodobnie jest jeszcze trudniejszy niż dawniej, biorąc pod uwagę wiek i choroby. Zamknięty, nieprzystępny człowiek, który nie potrafił wybaczać, nie wiedział, co to serdeczność. Jeśli nie potrafił być dumny z syna służącego w Marine Corps, co dopiero by powiedział, gdyby poznał prawdę o tym, jak Ian przeżył ostatnie cztery lata?

Może jednak spotkanie ze staruchem pomogłoby mu dojść do ładu z samym sobą. Może Marcie miała rację? Nie musiał wybaczać draniowi, raczej sobie powinien wybaczyć nienawiść. Niepotrzebnie pozwolił, żeby dez-

aprobata i podłość ojca zamieniły go w człowieka przepelnionego gniewem, złością, goryczą, najgorszymi truciznami dla duszy.

Ileż przenikliwości miał w sobie ten postrzelony, uparty rudzielec. Nie pojmował tego. Nic mu się tu nie zgadzało. A może jednak zgadzało się wszystko? Marcie nie była filozofem czy psychologiem, nie była intelektualistką. Ale sama głęboko zanurzona w życiu i otwarta na innych, zdobyła wielką mądrość i o sobie, i o ludziach. On zaś był zapatrzony tylko w siebie...

Przypomniał sobie, że zostawiła coś dla niego. Podeszedł do skrzyni. Na samym wierzchu leżała koperta zaadresowana do niej, na odwrocie była krótka notka:

Najdroższy Ianie,

Chciałam pokazać Ci ten list. Tylko pokazać. Nie sądziłam, że potrafię się z nim rozstać, ale w końcu uznałam, że powinieneś go zatrzymać. Zrozumiesz dlaczego. Jest tak, jak mówiłam. Pokochałam Cię.

Marcie

Zaczął czytać. Był to list od Bobby'ego do Marcie. Pisany na wojskowej papeterii, w cienkiej niebieskiej kopercie z amerykańskim orłem. Kiedy Bobby to pisał, najprawdopodobniej siedział obok niego i obaj w pośpiechu kreślił coś do swoich kobiet, żeby wysłać im wieści o sobie najbliższą pocztą wojskową.

Hej, Marcie. Tęsknię za Tobą. Myślę o Tobie bez przerwy, w każdej minucie. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będę trzymał Cię w ramionach. Dziękuję, kochanie, że jesteś taka dzielna. Inne dziewczyny opowiadają w swoich listach, jak im ciężko, wyplakują się. Nie mógłbym być z żadną inną kobietą. Skąd czternastoletni smarkacz wiedział, że jesteś tą jedyną? Jakiś przebłysk geniuszu!

Chcę, żebyśmy zawsze byli razem. Pewnie myślisz, że zwariowałem, że to mówię, szczególnie teraz. Tutaj jest strasznie. My na razie uchodzimy cało, ale inne oddziały mają za sobą zasadzki, ataki bombowe, ogień snajperów. W każdej chwili możemy być następni.

To, że dotąd nie znaleźliśmy się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, zawdzięczamy Ianowi. Facet jest niesamowity. Nie spotkałem nigdy nikogo takiego, a przecież poznałem w marines naprawdę niezwykłych chłopaków. Ale on jest zupełnie wyjątkowy. Zawsze wie, co robi. Wczuj się w sens tego zdania, a zrozumiesz, jakie to rzadkie, jakie to niezwykle. Ian pewną i twardą ręką prowadzi nas po terytorium wroga, nie pozwala rozczulać się nad sobą. I jest najlepszym dowódcą pod słońcem. Widziałem, jak uchronił jakiegoś żółtodzioba przed ogniem snajpera. Kiedy jeden z naszych chłopców skreślił nogę w kostce, Ian niósł go do obozu całych osiem kilometrów. Sam. Nie chciał niczyjej pomocy. Zaproponowałem, że poniosę kawałek tego ofermę, to mi powiedział, żebym pilnował własnej skóry, bo nie zamierza nieść nas obu. W czasie przeszukiwania domów natrafiliśmy na dwóch uzbrojonych Irakijczyków. Odebrał im broń, ot tak, gołymi rękami. Widziałem, jak bierze w ramiona jakiegoś malucha, rozmawia z jego matką, uspokaja ją, uśmiecha się. Nie wiem, jak on to robi, potrafi być najtwardszym dowódcą i najdelikatniejszym, najczulszym człowiekiem na świecie. Wieczorem, kiedy wszyscy są wykończeni, gada z chłopakami, dla każdego ma czas, pilnuje, żebyśmy się nie załamywali. Jeden z chłopaków dostał „Drogiu Johna”, wiesz, to takie listy, w których panienki zawiadamiają swoich żołnierzy, że odchodzą. Rozumiesz: "Drogi Johnie, jest mi tak ciężko na duszy, ale...". Nie próbował pocieszać dzieciaka, nie mówił mu, że ma być twardy, nie wykpiwał, kiedy tamten się rozbeczał. Mówił mu, że w życiu mało jest rzeczy pewnych, że trzeba wyjątkowej kobiety, by potrafiła być z żołnierzem piechoty morskiej, że

lepiej dowiedzieć się wcześniej niż później, co tak naprawdę dziewczyna jest warta.

On ma rację, trzeba szczególnej kobiety, żeby wytrzymała z kimś takim. Chciałbym zostać w Korpusie, jeśli Ty sobie z tym poradzisz. Mam nadzieję, że tak. Jeśli choć w połowie będę taki jak Ian, stanę się żywą legendą. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznasz. Zakochasz się w nim tak jak ja. A potem mu przyłożysz za to, że przez niego stałem się najprawdziwszym żołnierzem Marine Corps na całe życie. Ha, ha. Nie będzie zaskoczony. Mówiłem mu, że choć jesteś drobniutka, takie pięć minut minus jedna minuta, ale potrafisz się postawić, a jak trzeba, to i dokopać.

Bardzo za Tobą tęsknię. Ani się obejrzysz, jak będę w domu.

Kocham Cię, Marcie.

Ian kilka razy odetchnął głęboko i przeczytał list jeszcze raz. Bobby zwariował. Robił z niego bohatera, a on nie zasługiwał na te wszystkie zachwyty. Wykonywał swoje zadania, to wszystko.

Natomiast co do Marcie, to fakt, rzeczywiście była pistoletem. Małym, pięknym pistoletem, który przynosił z sobą śmiech i słońce wszędzie tam, gdzie się pojawił. Bobby miał szczęście. Niełatwo jest znaleźć kobietę tak silną, pewną siebie, mądrą, świadomą, czego chce od życia, a przy tym dobrą i szczodłą.

Po tym wszystkim, co razem przeszli, kim trzeba by być, żeby nie powiedzieć:

– Ja też cię kocham, Marcie...

Dok zabrał ją na farmę kilka kilometrów od Virgin. Musiała pomóc mu wyciągnąć nosze, na których ułożyli pacjenta. Farmer miał prawdziwego pecha. Osioł kopnął go w głowę i poważnie uszkodził czaszkę. Biedak widział podwójnie, ale był przytomny. Dok usiadł przy nim z tyłu i cały czas

wrzeszczał na Marcie, że fatalnie prowadzi. Natomiast ona była całkiem innego zdania. Uważała, że radzi sobie doskonale jak na kogoś, kto nigdy nie siedział za kierownicą takiej wielkiej maszyny.

Marcie chciała odpyskować gburowi, choć jednak miała diabła za skórą, to jednak odpuściła. Po prostu Dok, bez reszty oddany pacjentom wiejski lekarz, wzbudzał w niej szacunek, wiedziała też od Mel, że to świetny człowiek, choć bywa nieznośną starą zrzędą.

W Valley Hospital musieli poczekać na zdjęcie rentgenowskie. Dok zostawił pacjenta, dopiero kiedy je obejrzał. Do Virgin Marcie wróciła zupełnie wykończona.

– Chodź, postawię ci drinka – powiedział Dok łaskawie. – Zasłużyłaś na jednego. Dobrze się spisałaś.

– Tak pan na mnie wrzeszczał, że nigdy bym się nie domyśliła – odparła zgryźliwie.

– Jesteś zaledwie w połowie tak dobra jak Melinda, ale to i tak nieźle. Ona wyczynia takie akrobacje tym smokiem, jakby to była deskorolka. Czas na drinka.

– Zamierzałam wyjechać stąd pięć godzin temu.

– Nie czujesz się dumna, że mogłaś pomóc? Miałem szczęście, że cię zastałem w barze. Chodź, wypijesz jednego, zjesz kolację. Możesz przecież jechać po ciemku, prawda? Nakarmimy cię, napoimy kawą i pojedziesz.

– Zgoda – powiedziała zmęczonym głosem. – I tak nie zdążę już na wieczerzę.

– Najlepiej, jak wypijesz dwa drinki zamiast jednego, prześpisz się w naszej salce szpitalnej i ruszysz w drogę jutro o świcie – zaproponował Dok.

– Nie, muszę jechać. Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność.

– Jak chcesz.

W barze było rojno, tłoczno. Ludzie zbierali się w oczekiwaniu celebracji wokół choinki. Do Marcie podchodzili nieznajomi, przedstawiali się, pytali, skąd jest i czy zostanie na śpiewanie kolęd. Marcie poczęstowała się jakąś przekąską, których mnóstwo było na stołach, i poszła do kuchni, żeby zadzwonić do domu.

– Przepraszam, ale jestem spóźniona...

– Co? – Erin omal nie eksplodowała.

– Przyjeżdżam, tyle że trochę później. Zdarzył się wypadek. Osioł kopnął farmera w głowę. Dok musiał odwieźć go do szpitala i potrzebował kierowcy. Chciałam wyjechać wczesnym popołudniem, ale w tej sytuacji nie mogłam. Bardzo mi przykro.

– Jest już ciemno! Nie chcę się denerwować!

Marcie odetchnęła głęboko.

– Jestem przyzwyczajona do nocnej jazdy. Zjem coś, wypiję kawę i ruszam w drogę.

Marcie wróciła do baru przybita. Czuła się zmęczona i smutna. Najgorsze było to, że nie widziała żadnych perspektyw przed sobą i Ianem, nie wierzyła, że ich związek może trwać, rozwinąć się w coś stałego.

Ale czego właściwie się spodziewała? Że Ian zmieni się nagle, stanie się innym człowiekiem, że zamieszkają razem w chacie? Nie była pewna, czy po roku takiego życia nie zwariowałyby z kretesem. Przyniosła Ianowi trochę ulgi, ale nie uleczyła go. Przed nim było jeszcze wiele pracy. Na razie wiedział, czego chce, rąbał drwa, karmił jelenia, śpiewał wśród dzikich lasów i powoli wracał do świata.

Ludzie zaczęli wychodzić z baru, gromadzili się wokół choinki. Ona też wyszła. Na ganku ktoś wsunął jej do ręki świecę. Pomyślała, że może zostać i

zaśpiewać z innymi kilka kolęd. Parę minut w tę czy w tamtą nie miało już żadnego znaczenia.

Odśpiewali „Cichą noc”, potem byli „Trzej królowie” i „Srebrne dzwony”. Przy tej ostatniej kolędzie ponieśli klęskę. Fałszowali, nie pamiętali słów. W końcu wszyscy zaczęli się śmiać. I wtedy rozległ się cudowny śpiew, czysty, dźwięczny, melodyjny. Słodki.

Ludzie zamilkli porażeni pięknem głosu.

Marcie łzy napłynęły do oczu. Zaczęła przeciskać się przez tłum.

Ian stał po drugiej stronie ulicy. Ledwie go poznała. Ogolony, w dobrym ubraniu. Obok, na chodniku, stała torba podróżna, pękata, napakowana, bagaż na daleką drogę.

Poczuła ucisk w gardle. Łzy płynęły jej po policzkach. Ian uśmiechnął się do niej i śpiewał dalej tym swoim anielskim głosem, wkładał w kolędę całe serce. Ludzie słuchali zachwyceni, zaczarowani, nikt nie śmiał się przyłączyć. Skończył i spuścił głowę, czcząc świąteczny czas.

Rozległy się głośne oklaski, okrzyki. Marcie podeszła, ujęła jego twarz w dłoń.

– Co tu robisz?

– Ćwiczę się w śpiewaniu dla ludzi. To ja powinienem zapytać, co tutaj robisz. Pomyślałem, że zatrzymam się na chwilę, zaśpiewam jedną czy dwie kolędy i ruszę w drogę.

– Dokąd?

– Do Chico. Jest tam pewna dziewczyna...

– Chcesz być ze mną?

– Może przez jedną noc. Potem spotkam się z roznosicielem gazet i zapytam, czy wynajmie mi pokój.

– Och, Ian... – Marcie zarzuciła mu rękę na szyję.

Uniósł ją i pocałował przy głośnym aplauzie zebranych, po czym postawił na ziemi, położył jej dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj, Abigail. Muszę ci coś powiedzieć. Mam tysiąc czterysta jedenaście dolarów całego majątku, czyli tyle co nic, by w najbliższym czasie nie umrzeć z głodu. Żadnych oszczędności, funduszu powierniczego, inwestycji, żadnych zdolności kredytowych. Od lat nie miałem prawdziwej, normalnej pracy, tylko dorywcze dochody. Nie liczę na oblane łzami pojednanie z ojcem, nie mam w tej sprawie najmniejszych złudzeń. Najpewniej wykopie mnie na ulicę, bo taki ma już styl. Sama widzisz, w jak niepewnej jestem sytuacji. To, że zaśpiewałam dla ludzi, nie oznacza...

– Masz mnie za mięczaka, uważasz, że jestem aż tak słaba? Dlaczego w takim razie chcesz jechać do Chico? Przecież nienawidzisz słabości.

– Nie rozumiesz? Muszę się przekonać, czy możemy być razem, Marcie. Za nic w świecie nie chciałbym cię zranić. Tylko musisz zastanowić się... powiedz mi, że jeśli się nam nie uda, potrafisz to znieść. Bo potrafisz?

– Przerwał na moment, ona zaś milczała, patrzyła tylko na niego, tylko na niego. – Bo widzisz, w całym tym planie jest sporo minusów, ja sam jestem największym z nich.

– Zwróciłeś książki?

– Nie zwróciłem. Śpieszyłem się do ciebie.

– To dobrze, dwa razy dobrze. – Uśmiechnęła się. – Ty też musisz coś wiedzieć. Nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, dokąd zmierzam, lecz szłam i szłam, bo prowadziło mnie światło gwiazdy... Tej mojej Gwiazdy Betlejemskiej. Podążałam za tym światłem, ufając, że idę drogą, a nie bezdrożem, że idę dokądś, a nie donikąd. Aż wreszcie dotarłam. – Głos jej lekko zadrżał ze wzruszenia. – Kocham cię, Ian, bardzo cię kocham. Zacznę od tego i będę przyjmować wszystko, co los nam zdarzy.

– I ja cię kocham, Marcie. Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

– Musimy wierzyć, Ian.

– Tak, wierzyć... – powtórzył, jakby właśnie w tej chwili pojął najgłębszą tajemnicę. I nagle wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Jej Wysokość Siostra nie będzie uszczęśliwiona, kiedy mnie zobaczy.

– Erin Elizabeth, choć taka bystra i wszechwiedząca, nie pozna cię. W każdym razie nie od razu. Zabierze jej to kilka dni. – Poklepała go po policzku. – Wyglądasz wspaniale. Kto będzie karmił Bucka?

– Buck jest już dorosły, daje sobie świetnie radę. Spotkamy się z nim, kiedy śniegi stopnieją. Co ty na to?

– Brzmi wspaniale. – Jeśli tak pięknie jest tu zimą, pomyślała, jak cudownie musi być wiosną, kiedy zaczyna się nowe życie.

Jej nowe życie.

Jego...

Wspólne...